

Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku!

odgłosy



22-31. XII. 1968 r.
51-52 (581-582)
20 stron
Cena 2 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



Fot. A. Wach

Dziś w numerze:

WIECZÓR
KTÓRY WSPOMINASZ...

NA PAMIĄTKĘ
OWEJ GWIAZDY

WIERZYE O POLSCE

REPORTAŻE ZE ŚWIATA

NIE BYŁO I NIE MA
I NIE BĘDZIE W CAŁEJ
GALILEI

NIE MA BRZYDKICH
ZWIERZĄT...

ŁODZIANIE 1968

PRZED STULECIEM

LISTY DO DZIENNIKARZA

KIEDY JESTEŚ ŻONĄ BOKSERA

SCARLETT ZA 300 zł

SZCZĘŚLIWA PARA

KONKURS ŚWIĄTECZNY

Słowa, z którymi zwracamy się dziś do Was, Czytelnicy, powinny być pogodne, optymistyczne. I mamy chyba wszelkie powody, by się dziś w tym właśnie tonie wypowiadać. Czekają nas kilka dni świątecznego wypoczynku, czas, który od tysięcy ludzi zwykły traktować jako święta pokoju. Potem przyjdzie następna uroczystość — powitanie Nowego Roku. Jesteśmy z natury ludzkiej optymistami i nad nieodstępnym niepokojem: co też ten rok przyniesie, góruje zawsze optymistyczna wiara, że będzie on dobry, lepszy od poprzedniego, że przyniesie coś dawno oczekiwanego, spełni jakieś ukryte nadzieje, niezrealizowane dotychczas marzenia.

Jaki był ten rok stary, ustępujący? Na pewno bogaty w wydarzenia, pracowity, był to rok Czynu Zjazdowego, wzmoczonego wysiłku klasy robotniczej, aktywizacji społecznej, był to rok V Zjazdu, który wykazał spójność partii i solidarność narodu z jej poczynaniami. Ten rok odnotował wiele doniosłych dla życia naszego narodu i państwa rocznic, zapoczątkował nowe, które będziemy obchodzić w przyszłym roku. Był to wreszcie rok, który

przyniósł dalsze umocnienie sił postępowych w naszym kraju, dalszą stabilizację ekonomiczną wewnątrz i umocnienie pozycji Polski na arenie międzynarodowej.

Był to rok spokojnego słońca i niespokojnej ziemi. Rok niewygasłych ognisk wojny w różnych punktach kuli ziemskiej, ognisk zaostrzających się tym gwałtowniej, im bardziej popularne stają się idee komunizmu w świecie. Wietnam, Bliski Wschód, nasilenie sił rewizjonizmu w Europie — oto groźne i realne przejawy strachu przed komunizmem.

Ale zjawiskom tym towarzyszy przeciwdziałanie. Rośnie pragnienie pokoju, rośnie sprzeciw narodów przeciwko wojnie, umacniają się siły w obronie pokoju, potężnie protest przeciw przejawom agresji. Prości ludzie bez względu na szerokość geograficzną, kolor skóry i wyznanie chcą żyć w spokoju, chcą, by ich dzieci znały uśmiech a nie znały łęku i głodu, by ich dom był bezpieczny a rodziny syte.

Ten rok przyniósł dalszy rozwój nauki i techniki. Ten rok jak żaden inny dotychczas, przybliżył Człowieka do Kosmosu, a Ziemię do Gwiazd. Świat oczekuje dziś wy-

śnięcia w kierunku Księżyca pierwszego statku kosmicznego z człowiekiem na pokładzie. Co nam przyniesie zrealizowanie idei, która przez wieki była utopią, marzeniem literatury fantastyczno-naukowej, a którą urzeczywistniają nasze pokolenia? Tak samo można zadać pytanie co nam przyniesie fantastyczny wręcz rozwój nauki, techniki, atomistyki. To zależy od nas, od mieszkańców Ziemi. My zdecydujemy o tym czy nasze wspaniałe wynalazki będą służyć nam czy obrócić się przeciwko nam. Musimy wierzyć, że zadecyduje rozsądek i naczelną zadanie nauki — dobro człowieka.

Ale wróćmy do naszych codziennych, dzisiejszych spraw. I z okazji świąt złożmy sobie życzenia. Niech tegoroczna gwiazdka będzie dla nas dobra, pomyślna, niech przyniesie nam radość i wypoczynek. Spotkamy się z Wami Czytelnicy dopiero w 1969 roku. Więc przedtem, kiedy będziecie wznosić toast na cześć Nowego Roku, łączymy się z Wami we wspólnych życzeniach. Niech będzie dobry, spokojny, szczęśliwy dla naszego kraju i miasta, dla nas wszystkich, niech przyniesie upragniony pokój tym, którzy go dziś nie mają.

Rok 1968 — taki pozostanie w naszej pamięci

STYCZEŃ

● Radiostacja „Wyzwolenie” oznajmiła, że w 1967 roku Front Wyzwolenia Narodowego wyeliminował z walki ok. 365 tys. żołnierzy nieprzyjacielskich. W tej liczbie już połowa — to żołnierze amerykańscy oraz żołnierze satelitów USA. Liczba samolotów USA straconych nad DRW prze-kroczyła 2.700.

Dowództwo amerykańskie USA przyznaje: od początku wojny straty USA wynoszą — 16 tys. zabitych i ponad 100 tys. rannych i zaginionych.

Rzecznik rządu DRW w Paryżu powtarza, że pierwszym krokiem na drodze do pokojowego rozwiązania konfliktu musi być zaprzestanie bombardowań DRW, papież Paweł VI apeluje o zakończenie działań, ale wojna trwa...

● Na Bliskim Wschodzie utrzymuje się stan napięcia. Premier rządu Izraela Eshkol przebywa z 9-dniową wizytą w USA. Może rozmowy te zarysują pokojową perspektywę? Skądże! Końcowy komunikat zapowiada tylko... pomoc wojskową USA dla Izraela.

De Gaulle oświadcza: „Izrael przekroczył granicę niezbędnej powściągliwości”.

Próba uwolnienia statków zablokowanych w Kanał Sueski nie powiodła się, Izrael ostrzelał kutry ZRA. W kilka dni później raport ONZ stwierdził: Całkowitą winę za przerwanie prac nad oczyszczeniem kanału ponosi Izrael.

● Nowy rok rozpoczyna się w USA pod znakiem ratowania dolara. Rezerwy złota w St. Zjednoczonych zmniejszyły się o 1,175 mld dolarów. Johnson zakazuje więc inwestowania firm amerykańskich w Europie i Afryce oraz apeluje do Amerykanów: przez 2 lata podróży tylko po zachodniej półkuli. Wszystko w imię ratowania dolara.

● Marynarka wojenna KRL-D w niewielkiej odległości od portu Wonsan — na wodach terytorialnych — zatrzyma amerykański okręt „Pueblo”. Przyniesiony jest on znakomicie do celów szpiegowskich. 83-osobowa załoga okrętu nie zaprzecza — tak, byliśmy jednostką szpiegowską. A więc wyraz akt agresji.

● W Czechosłowacji odbywa się plenarne posiedzenie KC KPCZ. Nowotny przejawia być i sekretarzem partii, pozostaje jednak prezydentem Republiki. Plenum wybiera na I sekretarza Aleksandra Dubczeka.

● Delegacje 67 partii komunistycznych i robotniczych spotykają się w Budapeszcie na posiedzeniu konsultatywnym. Toczy się dyskusja nad tematyką i terminem światowej narady. Delegacja Rumuńskiej Partii Komunistycznej opuszcza Budapeszt w związku z odmową uczestników spotkania potępienia KP Syrii.

LUTY

● Siły wyzwolencze Wietnamu Północnego w ofensywie. Atakują równocześnie 40 miast. W USA przerwanie i decyzja o... zwiększeniu kontyngentów wojskowych. Amerykańskie samoloty bombardują centrum Hanoi. U Thant tymczasem oświadcza w ONZ: Wietnam — to problem czysto polityczny, siła militarna nie da się go rozstrzygnąć.

● Prezydent de Gaulle ogłasza pięciopunktowy program uregulowania konfliktu bliskowschodniego. Podstawowy punkt zbieżny z naszym stanowiskiem — niezbędnym warunkiem: wycofanie się Izraela z zagarniętych terenów, Izrael tymczasem prowokuje nadal. Nowe agresywne akty wobec Jordani.

● W Ostrawie spotykają się Władysław Gomułka i Aleksander Dubczek.

MARZEC

● Budapeszteńskie spotkanie konsultatywne kończy się ważną decyzją: narada partii komunistycznych i robotniczych od będzie się w Moskwie i zawierać będzie tylko jeden punkt porządku dziennego: walka przeciwko imperializmowi na obecnym etapie.

Uczestnicy spotkania postanawiają utworzyć komisję przygotowawczą z siedzibą w Budapeszcie.

● Tuż po spotkaniu konsultatywnym — w Sofii zbiera się Doradczy Komitet Polityczny Państw — Stron Układu Warszawskiego. Przyjmuje on teksty dwóch deklaracji: o zagrożeniu pokoju w wyniku amerykańskiej agresji w Wietnamie oraz o nierozpowszechnianiu broni jądrowej.

● W Polsce dochodzi do znanych wydarzeń marcowych. Połączone siły reakcji, rewizjonizmu i syjonizmu przypuszczają atak na partię i jej kierownictwo. W Warszawie i niektórych innych ośrodkach akademickich dochodzi do wystąpień części młodzieży studenckiej.

W Katowicach z udziałem 100 tys. członków partii odbywa się wiec. Śląsk i Zagłębie udzielają stanowczego poparcia Władysławowi Gomułce. Odbywają się manifestacje także w innych miastach wojewódzkich.

Na spotkaniu z aktywnym stolicą I sekretarz KC PZPR szeroko omawia to, źródła i przyczyny wydarzeń. Stanowisko za jeje w tym przemówieniu znajduje gorące poparcie w depeszach i rezolucjach, napiływających z całego kraju. Inicjatorzy wydarzeń są całkowicie izolowani.

● Zgromadzenie Narodowe CSRS wybiera 73-letniego L. Svobodu prezydentem republiki.

● W Czechosłowacji odbywają się sily antysocjalistyczne.

● Komitet Rozbrojeniowy 18 państw przyjął długo dyskutowany projekt układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej. Wejście na pod obrady Zgromadzenia Ogólnego NZ.

● Prezydent Naser dokonuje rekonstrukcji rządu ZRA. W składzie gabinetu — 14 nowych ministrów.

● Izrael prowokuje nadal. 15 tys. żołnierzy Dajana biorze udział w kolejnym akcie agresji przeciwko Jordani.

KWIECIEŃ

● W Memphis ginie od morderczej kuli przywódca ludności murzyńskiej w USA — dr M. L. King. W następstwie — 46 miast amerykańskich staje się widownią ostrych wystąpień ludności murzyńskiej. Są zabici i ranni. Policja dokonuje masowych aresztowań.

● W Czechosłowacji dalsze zmiany personalne. O. Czernik tworzy nowy rząd, w którym ministrem spraw zagranicznych zostaje J. Hajek. A. Dubczek raz po raz wygłasza przemówienia. Zgromadzenie Narodowe wybiera swym przewodniczącym J. Smrkowskiego.

● Polska zgłasza propozycję spotkania w Warszawie przedstawicieli USA i Wietnamu. Jest to następstwo oświadczenia Johnsona o częściowym wstrzymaniu bombardowań DRW. Propozycję Polski popiera U Thant. USA nadal jednak prowadzi ataki lotnicze. Co dzień ponad sto samolotów nad terytorium Wietnamu Północnego. Unia sił demokratycznych i pokojowych Wietnamu uchwała manifest ocalenia narodowego. Johnson odwieka kontakty z DRW.

● W Budapeszcie odbywa się posiedzenie Komisji Przygotowawczej Światowej narady w Moskwie.

● Nowy dzwonek alarmowy z NRF. W Badenii — Wirtembergu NPD uzyskuje 9,9% głosów. A więc znów wzrost wpływów neohitlerowców.

● Sejm PRL powołuje na stanowisko przewodniczącego Rady Państwa marszałka Mariana Spychalskiego.

MAJ

● Francja staje się widownią zamieszek studenckich, które następnie przekształcają się w falę strajków. Bierze w nich udział 10 mln ludzi. Kryzys społeczny i polityczny pogłębia się. De Gaulle przemawia raz i drugi. Rozwiązuje parlament. Francuska Partia Komunistyczna wysuwa propozycję utworzenia rządu jedności narodowej.

● A. Dubczek proponuje zwolnienie w wrzesień nadzwyczajnego zjazdu partii. Plenum usuwa z KC A. Novotnego. W Czechosłowacji zarysowuje się sytuacja kryzysowa. Rozwija się kampania antypolska, przeciwko której składamy oficjalny protest.

● W Moskwie odbywa się spotkanie przywódców partii Bułgarii, NRD, Polski, Węgier i ZSRR.

● Północnowietnamskie MSZ wita propozycję rządu francuskiego, aby miejscem rokowań z USA był Paryż. Wstępne rozmowy rozpoczynają się 10 maja.

● Na Bliskim Wschodzie nie ma postępu. Rada Bezpieczeństwa — wobec prowokacji Izraela — uchwała rezolucję, domagającą się utrzymania statusu Jeruzolimy.

● Bundstag zdecydowaną większością głosów przyjmuje ustawy wyjątkowe.

CZERWIEC

● Komitet Centralny KPCZ zebrał się na kolejne plenarne posiedzenie. Uchwalono oświadczenie do całego narodu, a także rezolucję o aktualnej sytuacji. Przyjęto postanowienie o zwolnieniu nadzwyczajnego XIV Zjazdu KPCZ.

W kilkanaście dni później Zgromadzenie Narodowe CSRS przyjmuje większość głosów ustawę o ustroju federacyjnym Czechosłowacji. Równocześnie uchwalono ustawę o rehabilitacji oraz zmieniono ustawę prasową.

● W Stanach Zjednoczonych nowy mord! Tym razem kula zamachowca goździ w Roberta Kennedy'ego, któremu rokowano duże szanse w wyborach prezydenckich. Niewygodny rywal schodzi ze sceny politycznej w sposób, który staje się w USA regułą.

● KPD w związku z uchwałami przez parlament zachodniemiecki ustaw wyjątkowych wyzywa do „stworzenia frontu oporu wobec prawnicowego kursu i neonazizmu”. Rada Państwa NRD przedstawia nową propozycję odroczenia.

● W pierwszej rocznicy napadów Izraela na kraje arabskie odbywają się liczne demonstracje. W tym czasie minister obrony Izraela Dajan apeluje o nieakceptowanie rezolucji Rady Bezpieczeństwa z listopada ub. roku, która żąda, aby Izrael wrócił do granic sprzed agresji.

● Premier Cyrankiewicz składa wizytę w Danii. Przedmiotem rozmów są zagadnienia gospodarcze i polityczne.

● We Francji odbywają się wybory do Zgromadzenia Narodowego. Przytaczając większość zdobywają kandydaci gaullistowscy.

LIPIEC

● W Moskwie, Waszyngtonie i Londynie podpisany został układ o nierozpowszechnianiu broni nuklearnej. Równocześnie podany zostaje do publicznej wiadomości tekst memorandum rządu ZSRR. Jest w nim pakiet propozycji, zmierzających do pohamowania wyścigu zbrojeń i odwrócenia tego procesu.

Kroki odprężeniowe — jak zwykle — kontruje Bonn. Kanclerz Kiesinger uzależnia podpisanie układu o nieprolifacji od wielu elementów.

● W Warszawie odbywa się dwudniowe spotkanie przywódców partii i rządów Bułgarii, NRD, Polski, Węgier i ZSRR. Uczestnicy spotkania, po analizie wydzarzeń w Czechosłowacji, wystosowują list do Komitetu Centralnego KPCZ.

W dwa dni później Biuro Polityczne KC KPZR proponuje Prezydium KPCZ dwa stronne spotkanie partyjne.

● Kolejne spotkania przedstawicieli DRW i USA w Paryżu nie przynoszą żadnych rezultatów. Strona amerykańska wciąż odmawia przerwania bombardowań Demokratycznej Republiki Wietnamu.

● We Francji Couste de Marville tworzy nowy rząd. Ministrem spraw zagranicznych zostaje M. Debre. Przedstawia on Zgromadzeniu Narodowemu zasadnicze tezy francuskiej polityki zagranicznej.

● Delegacje ze 142 krajów w Sofii. W stolicy Bułgarii odbywa się IX Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów.

SIERPIEŃ

● W Czernej nad Cisą kończy się spotkanie Biura Politycznego KC KPZR i Prezydium KC KPCZ. Zapadają ważne postanowienia. W dwa dni później w Bratisławie odbywa się narada przedstawicieli sześciu bratnich partii politycznych. Przyjmuje się na niej wspólne oświadczenie.

Ale w Czechosłowacji aktywizacja sił antysocjalistycznych wzmagają z dnia na dzień Prasa, radio i telewizja prowadzą oszczercze kampanie przeciwko bratnim krajom. Występują przeciwko oświadczeniu bratysławskiemu. Trwają różnorodne kampanie zbierania podpisów. Przedmiotem otwartego ataku ze strony sił prawicowych jest Milicja Ludowa.

Jest już jasne, że imperializm, przy aktywnym zaangażowaniu NRF, chce wywrzeć Czechosłowację z obozu socjalistycznego. Zapada więc wspólna decyzja Bułgarii, NRD, Polski, Węgier i ZSRR o wprawdzeniu wojsk na teren Czechosłowacji. Teraz okazuje się, jak dalece zaawansowany był w tym kraju proces kontrrewolucyjny.

● W dniach 23—26 sierpnia toczą się w Moskwie rozmowy radziecko-czechosłowackie, w wyniku których osiąga się porozumienie o drogach normalizacji sytuacji.

W tym samym czasie w stolicy ZSRR przebiega Kierownictwa partyjno-rządowe Bułgarii, NRD, Polski i Węgier. Prowadzą one konsultacje w związku z sytuacją w Czechosłowacji.

7 państw zachodnich inicjuje posiedzenie Rady Bezpieczeństwa. Ich zamiar wykorzystania forum Rady przeciwko 5 krajom socjalistycznym pali jednak na panewce — prezydent Svoboda występuje o zdjęcie z porządku obrad „problemu czechosłowackiego”.

● Można się zbrojne incydenty, wywoływane przez Izrael wobec krajów arabskich. Więcej — premier Eshkol zapowiada, że jego kraj nie będzie rezygnował z aktów agresywnych i w przyszłości.

● W Paryżu nadal toczą się rozmowy amerykańsko-północnowietnamskie, ale wojna wciąż trwa.

● W szranki wyborcze w USA stają Humphrey — kandydat partii demokratycznej i Nixon — kandydat partii republikańskiej.

● W Genewie rozpoczyna się konferencja krajów nienuklearnych z udziałem 80 delegacji.

WRZESIEŃ

● Uwagę opinii publicznej przykuwają wydarzenia w Czechosłowacji. Pięć bratnich państw socjalistycznych, które wpro-wadziły swe wojska na teren CSRS w dniu 21 sierpnia, zabiega o rychłą normalizację sytuacji. Proces ten przebiega jednak trudno. Tymczasem NRF próbuje maksymalnie wykorzystać sytuację, jaka wytworzyła się na arenie międzynarodowej. W Bonn rozpetano kampanię, która ma umocnić pozycję NRF w sojuszu atlantyckim.

● W Algierze zebrała się konferencja Organizacji Jedności Afrykańskiej. Bierze w niej udział 39 delegacji, w tym 17 szefów państw.

● Albania, praktycznie od dłuższego czasu nie uczestnicząca we wspólnym działaniu, postanowiła formalnie zgłosić wystąpienie z Układu Warszawskiego.

GRUDZIEŃ

Zamiast kalendarza wydarzeń — proponujemy Czytelnikom małą refleksję roczną.

Dobiegający końca rok przyniósł na arenie międzynarodowej wiele ważkich faktów. Raz jeszcze wykazał, jak złożone są zagadnienia współczesnego świata i jak różnorodne mogą występować powikłania. Walka dwóch przeciwnych sił — socjalizmu i kapitalizmu — toczy się każdego dnia. Przybiera ona różnorodne formy — czasem jak po dzień dzisiejszy w Wietnamie, czy też w ub. roku na Bliskim Wschodzie — ma charakter otwartej walki zbrojnej, czasem — jak w Czechosłowacji — cichej kontrrewolucji. Najczęściej jednak występuje w formie dywersji ideologicznej. Siły imperialistyczne nie chcą dać za wygraną. Kola historii toczą się jednak nieubłaganie naprzód. Wietnam, małe Wietnam, przeciwko któremu stanęła ogromna i nowoczesna potęga miliona Stanów Zjednoczonych, stał się symbolem niezwykłej odwagi i siły w walce o prawo decydowania o swoim losie.

Mijający rok utrzymał i zaostriął te światowe konflikty. Inne jednak wprowadził na drogę łagodzenia i rozwiązywania. Rzeczywistym dorobkiem 1968 roku są: przyjęcie układu o nierozpowszechnianiu broni nuklearnej i zarysowanie perspektyw — mimo wszystkich trudności — pokojowego rozwiązania konfliktu wietnamskiego.

Jest to rezultat konsekwentnej — pryncypialnej i elastycznej — polityki państw socjalistycznych, a w szczególności światowego mocarstwa — Związku Radzieckiego. W tej polityce odprężenia i pokoju ma i Polska swój niemały wkład.

Przedstawiony powyżej kalendarz wydarzeń międzynarodowych 1968 roku — daleko zresztą niepełny — budzi refleksję nad minionym czasem i każe zastanawiać się nad nadchodzącym. Mamy nadzieję, że nowy rok zaozbecki ludzkości międzynarodowych napięć i przybliży świat do trwałego pokoju.

W. SŁAWSKI

Wieczór

który

wspominasz...

PROFESOR DR STEFANIA
SKWARCZYŃSKA
KIEROWNIK KATEDRY TEORII LITERA-
TURY UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Najczęściej wracam we wspomnieniach do Bożego Narodzenia w roku 1945. Do pierwszych świąt w Polsce wyzwolonej. Nie wspominam świąt z okresu dzieciństwa, ani tych późniejszych we własnym domu, bo groza wigilii wojennych przyprószyła radośniejsze wspomnienia. Czekano się przecież na tę pierwszą polską wigilię aż sześć lat, sześć razy zyczyliśmy sobie na świętowanie w Polsce wolnej. Mieszkałyśmy już wtedy z córkami w łodzi i wprawdzie małe jeszcze nie zdążył wrócić z obozu, ale wiedziałyśmy że żyje, że niedługo się spotkamy. Było więc się z czego cieszyć, chociaż wigilia, święta miały być najskromniejsze. Z ogromną radością przystajaliśmy z córkami do stołu. Były to wprawdzie tylko papierowe ozdoby, ale i tak choinka wydawała się nam najpiękniejszą. Przypadkowo przyszedł do nas tego dnia syn dawnych znajomych. I proszę sobie wyobrazić, przyniósł doniczkę świeżych, pachnących konwali, a ponieważ nie miał wtedy nikogo w Łodzi, został u nas. Pomógł ubierać choinkę, a potem, razem usiedliśmy do wigilijnego stołu. Po raz pierwszy od sześciu lat można było nareszcie nie życzyć a winnować.

MIECZYSLAW JAGOSZEWSKI —
DZIENNIKARZ

Najmłazsze moje wigilie to na pewno wigilie dzieciństwa. A najbardziej przykre te, które spędziłem za drutami obozów koncentracyjnych. Przedostatnia wojenna wigilia zasiała mi w Oświęcimiu. Ale miałem tam garść dobrych przyjaciół łódzkich — był tam Henio Barloszewicz, Tadeusz Lewandowski, Wacek Pokusa i inni, z którymi zamiast opłatkami podzieliłem się kawałkiem chleba, przy czym wszyscy krzepiliśmy się nadzieją, że jest to nasza ostatnia wigilia za drutami. Niestety, rok później dane mi było spędzić ją w podobnie Buchenwaldzie — osławionej „Dorze” — Nordhausen. Pracowałem tam w podziemnym kombinacie, produkującym V-1 i V-2. Od miesiąca racje żywności były minimalne, codziennie menu stanowiły dwa ziemniaki w lupinach, mieniąca „kawy” i talerz wodnistej zupy z brukw. Chleb otrzymywaliśmy co kilka dni — bochenek na osiem osób. W dzień wigilijny wypędzono nas na dworzec towarowy, gdzie ładowaliśmy żelazny złom na lory. Wszyscy niemal byliśmy bez płaszczy, a jak na złotą tego dnia chwycił mroź. Ja parę dni przedtem brałem udział w opróżnianiu pociągu pełnego zmarłych więźniów. Trupy ich układaliśmy niby stosy drewna przed małym krematorium. Udało mi się przy tej sposobności „zorganizować” sobie sweter. Teraz więc było mi nieco cieplej, ale moi towarzysze ubrani w dręczkowe bluzy cierpieli prawdziwie męki. Wraz ze mną pracował mój osiemnastoletni przyjaciel, harcerz, kapral AK, Ryś. Okazywał mi dużo sympatii i pomocy. Był to chłopak o wielkich wartościach. Miał zawsze ambicję, aby nie pokazać po sobie, że jest mu tu ciężko. I teraz także nadrobił miłą. Przez rozmowy wszystkich przewijało się pełne troski pytanie — co dadzą nam na dzisiejszą wigilię? Pewnie będzie kawałek chleba, którego nie widzieliśmy już od kilku dni. Niestety, czekało nas wielkie rozczarowanie. Każdy dostał na wieczór wigilijną dwa ziemniaki i szklankę kawy. — A chleba nam nie dali — szepnął mi młody przyjaciel, i po raz pierwszy zobaczyłem, jak z jego oczu spłynęło kilka ciężkich łez. Przygarbiłem go do siebie. Nie płacz — pocieszyłem go — to już ostatnie miesiące naszej niewoli. Następną wigilię spędzisz już w domu, z matką, ojcem i siostrą. Ale proroctwo moje nie spełniło się. Parę dni potem powieszono go w masowej egzekucji na placu apelowym. Jak wielu innych więźniów również

I ja cierpię na pewne kompleksy obozowe. I tak, kiedy dzisiaj spoglądam na choinkę, wydaje mi się, że wśród wielu cacek i zabawek świecą wielkie krople łez mojego młodego przyjaciela.

WACŁAW SWIERCZYŃSKI
KONDUKTOR PKP

Kilka lat temu w wieczór wigilijny „mój” pociąg jechał do Zakopanego. Późno było i największy tłok mieliśmy za sobą. O tej porze ludzie wstawali już od wigilijnych stołów. W pierwszej klasie było niewiele pasażerów. W jednym z przedziałów samotnie siedział starszy mężczyzna. Kasowałem mu bilet już wcześniej, ale w ten wieczór chciałem sobie z kimś pogadać, a on wydawał mi się najodpowiedniejszy. Z początku służył mi opornie, mężczyzna mówił niewiele, ale w pewnym momencie zaproponował — wie pan co, zróbmy sobie wigilię. Nie bardzo wiedziałem o co chodzi, a on już zaczął wyciągać z torczy chleba, zimne pierogi, owoce, a na końcu gałązkę choinki i opłatek. Złożyliśmy sobie życzenia, zaczęliśmy jeść, a pasażer w dalszym ciągu mówił niewiele. W końcu nie wytrzymałem i zapytałem go, dlaczego tak dziwnie spędza wigilię. Potem żądałem tego pytania. Okazało się, że stary mężczyzna nie ma od dawna nikogo bliskiego, że zapomniał o nim przyjaciele i od lat wigilię spędza samotnie. Właśnie w pociągu, bo wydaje mu się, że jedzie do kogoś, że ktoś na niego czeka przy wigilijnym stole. I tę wigilię pamiętam najdokładniej, chociaż była to bardziej wigilia samotnego człowieka niż moja.

MARIAN KOCIEMBA — LEKARZ STACJI
POGOTOWIA

Przywykłem już do tego, że kiedy inni odpoczywają w święta w gronie najbliższych, ja pracuję. I to o wiele bardziej intensywnie niż w dni powszednie. Prasa poświęcona informuje, ile to razy karetki pogotowia wyleźdzały do chorych cierpiących na dolegliwości przewodu pokarmowego, a wezwania takie stanowią około 60 proc. ogółu. I często budzi to u czytelników niedowierzanie. A to jest oczywiście prawda. Przejadamy się powszechnie. Lekarze bardzo nie lubią świąt. Podczas zwykłego dyżuru można wypić herbatę, czasem wejść do naszej kawiarzki. Podczas dyżuru w święta nie ma na to czasu. Hość wezwań zwiększa się mniej więcej o jedną trzecią, a jeśli przyjeżdżamy na stację to najwyższe na dwie, trzy minuty. Ale przeważnie jeżdżymy bez przerwy. Zawsze jesteśmy ciekawi jaka będzie pogoda w Boże Narodzenie. Jeśli bowiem jest ciepło, pół biedy, ale nie daj Boże jakiejś zadyrki lub ślizgawicy. Dochodzą jeszcze wtedy przypadki złamań i sytuacji. Jeździłem już karetkami sześć lat i nie bądzę przesadą, jeśli powiem, że moje święta Bożego Narodzenia częściej spędzam u pacjentów, niż we własnym domu.

STARSZY SIERŻANT STANISŁAW WOJCIK
DZIELNICOWY KM MÓ SRODMIEŚCIE

Święta są dla mnie takim samym dnem pracy jak każdy. Bardziej jeszcze trzeba uważać na to, co się wokół domów, które mam pod swoją opieką, dzieje. Ludzie wyjeżdżają, zostawiają puste mieszkania, a to przecież wymarzoną okazją dla złodzieja. Mało tego. Nieroztropni mieszkańcy często zostawiają w drzwiach karkę „zaraz wrócę”. Czego trzeba więcej?

W milicji pracuję już dwadzieścia lat i przez ten czas rodzina zdążyła się przyzwyczaić do moich wigilijnych nieobecności. Jeżeli w mojej dzielnicy jest spokój, mam po dyżurze wolne np. drugie święto. Jeśli jednak zdarzy się jakiś wypadek, nie ma nawet tego. Dzięki współpracy ze społecznymi organizacjami na moim terenie, jest dużo łatwiej, bo ludzi w pracy bardzo pomagają. Ale świąt właściwie nie mam,

JEST TAKA CHWILA W ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA. INNA DLA KAŻDEGO. DLA JEDNYCH WTEDY, GDY SIEDZĄ Z NAJBLIŻSZYMI PRZY WIGILIJNEJ KOLACJI, DLA INNYCH, GDY ZAPALAJĄ PIERWSZĄ ŚWIECZKĘ NA CHOINCIE, JESZCZE DLA INNYCH, GDY PATRZĄ PRZEZ OKNO W CIEMNOŚĆ WIECZORU. CHWILA, W KTÓREJ WRACA SIĘ NA KRÓTKO DO ŚWIĄT JUŻ MINIONYCH, DO LUDZI, KTÓRYCH JUŻ NIE MA, DO WŁASNYCH WSPOMNIEŃ, CZASEM SMUTNYCH, CZASEM RADOSNYCH. KAŻDY Z NAS PRZEŻYŁ ŚWIĘTA, KTÓRE NAJBARDZIEJ ZAPADŁY MU W PAMIĘĆ. ZWRÓCILIŚMY SIĘ DO KILKU OSÓB Z PROŚBĄ O WYPOWIEDZ NA TEN TEMAT W PRZESWIADCZENIU, ŻE UJAZNAJĄCI WAM TA LEKTURA WASZE WŁASNE, TEGOROCZNE ŚWIĘTA. MOŻE DA TEŻ OKAZJĘ DO CHWILI ZADUMY — KONIEC ROKU SPRZYJA PRZECIEŻ WSZELKIM OBRACHUNKOM.

A odrobić, tak jak inni wigilię, też nie można. Ba, nawet podczas wigilijnego spaceru z rodziną nie jestem zupełnie prywatnie.

KONSTANTY MACKIEWICZ — ARTYSTA
MALARZ

Colając się pamięcią, nie mogę znaleźć świąt radosnych, wszystkie były mniej lub bardziej smutne. Nawet święta mojego dzieciństwa. Potem życie przynosiło różne zmiany, ciągle było jakieś nowe otoczenie, byli inni ludzie, niektórych już brakło. Z okresu mojego dzieciństwa pamiętam przede wszystkim choinki, które w Rosji nie bardzo były przyjęte, ale w naszym Grodnie drzewko przystrajano. Po tym jak było ozdobione określano zamieszkałość domu. Jeśli na gałązkach wisiały bombki, to wiadomo było, że rodzina jest bogata. U biedaka paliły się trzy świeczki. Przyleciałem nosa do szyby i podglądałem te pięknie ubrane choinki. Pamiętam, że pod jedną zauważyłem kolorową trąbkę. I odtąd zacząłem o niej marzyć. Któregoś dnia znalazłem na ulicy pieniądze i oczywiście natychmiast kupiłem za nie trąbkę i lary. Potem skończyło się podglądanie choinek. Podczas wojny, a potem rewolucji nikt nie myślał o świętowaniu i ubieraniu drzewka. W 1919 roku święta spędzałem wspólnie z moimi rosyjskimi kolegami z teatru. Za składkowe pieniądze kilkunastu osób, po wielu trudach, udało się nam kupić gęś. To była wielka uroczystość.

BARBARA NOGACKA — STUDENTKA UŁ

Moje święta były zawsze radosne, spędzane w gronie najbliższej rodziny, przy obryzmie, pachnącej choince. Drzewko zawsze musiało być okazałe i wysokie, ale zanim już było w domu cała rodzina, oczywiście oprócz mnie, była czynnie zaangażowana w poszukiwanie. W efekcie kiedyś mieliśmy aż trzy drzewka. Trzeba było zwołać familijną naradę, która miała wybrać to najładniejsze. Jak zwykle najlepsza okazała się choinka taty. Potem, w wigilijne popołudnie, kiedy mama w kuchni gotowała potrawy na kolację, z ojcem i siostrą zczynaliśmy przystrajac drzewko. Bombek wieszac mi nie pozwolili a wieszania gwiazdek bardzo nie lubiłam. Płatałam więc wokół choinki, pod choinką, i kończyło się to zwykle tragicznie, bo zdenotowany tata krzyzcze, że po raz ostatni zajmuje się choinką — mówi to zresztą do dzisiaj — ładował mi na głowę obrzymie pudło, w którym przechowywane są choinkowe ozdoby. Pudło przykrywało mnie niemal zupełnie, ja zaczynałam strasznie rysość i mama musiała łagodzić sytuację. Potem wieczorem oczywiście przychodził Mikołaj. Zawsze był to tata, z obryzmą czarną brodą zrobioną ze starego materaca i w cudacznym stroju, którego szczegóły były mi jakoś znajome. Kiedyś miał ze sobą duży kij, bardzo podobny do tych, które latem podtrzymywały w ogrodzie pomidory. I od tego czasu zaczęła się moja niewiara w Mikołaja. Przed wigilią wysyłałam do Mikołaja list, pisany przez któregoś z domowników, w którym umieszczono było abstrzalne zamówienie. Kiedyś „zazyczyłam” sobie dużą lalkę. Mikołaj nie wszedł tym razem do mieszkania, tylko strasznie tupal i wrzeszczał w korytarzu. Wrzeszczał i wrzeszczał, aż w końcu ja zaczęłam strasznie płakać i schowałam się pod stół. Nie wyszłam nawet po prezent, który zostawił na sianiance. Oczywiście dostałam wymarzoną lalkę, ale długo nie mogłam się jeszcze uspokoić. Potem okazało się, że wrzeszczącym Mikołajem była mama, która w tej dziedzinie debutowała. Następnego roku wczeczenie prezentów zostało unowocześnione. Każdy szukał dla siebie paczki pod choinką.

Notowała: B. M.

STANISŁAW CZERNIK

PASTORAŁKA

Już nie ma tego siostrzana i belki.
Rozpadła się chata sprzed wieku.
I nie ma starego Ojca.
Ale pozostał wnuk.
I przypomina —
Jak znad sosrębu
I spomiedzy ziół
Ojciec czarne wybierał bochenki,
I kładł na stół,
Dumał, obmyślał,
Dzielił i podział uściślał,
Usprawiedliwiał.

Usprawiedliwiał tak:
Oto pól
Najczarniejszego razowca
Niech czarny weźmie król —
Biedny, bo czarny.
Drugą połowę
Dwaj biali królowie
Niech dzielą pomiedzy siebie.
A resztę chleba
Niech zjedzą — osioł i wół.

A gdy uściślił i usprawiedliwił,
„Synu — powiedział — zanieś do szopy.
Bo może w niebie
Nie pamiętali o chlebie,
W dniu, gdy zbratani — wół, osioł i król.
Zanieś do szopy
Chleb czarny z polskiego pola,
Niech je kto głodny.
Zanieś i zaraz wróć.
Nie mieszaj się z królami,
By nie powiedział kto, żeś nie jest godny”.
Tak mówił Ojciec — stary i pogodny.



Fot. E. Kudaj

Wiersze o Polsce

SIERGIEJ OSTROWOJ

Melodie Warszawy

KONCERT SZOPENOWSKI

Młodych kasztanów zielenienna,
Miasto znów serce ci odmyka.
Słyszysz? Warszawa gra Szopena —
Szopena gra — i płacze z cicha.

Ona pamięta wciąż, Warszawa
(A powiedz, ty byś nie pamiętał?)
Jak przez Warszawę przemoc krwawa
Szia równo z ziemi kosząc piętra.

Ulice zdarte przez żelazstwo,
Ziemia kolebie się w posadach —
Lecz trwa i trwa w opozycję Miasto,
Pardonu nie chce — i nie pada.

W kościołach płoną feretrony,
Krokwie jak ręce przez pogorzeli...
I płacze kamień niewolony,
O który tamci niewolony.

Z popiołów, z dymu, zgonu w mece,
Z nocy pogardy, z nocy hardej —
Sięgają, wciąż sięgają ręce
Po wilka żelaznego gardziel.

Zbir chepli się, pijany mordem,
Bies sabatowej orgii krwawej...
O, Miasto! Jakież Ty ogromne!
Jak unieść wierszem Twoją chwałę!

Czarny kir daty tej pamiętam,
Lecz ukarawszy wrogów Wisła —
Wolnego ludu rzeka święta,
Znów wizerunkiem Twym rozbiła.

Głaz odrzuciło, wstało z martwych
I zmywszy skrzep po ranie,
Znów się o tęczę Wisły wsparło,
Piękniejsze niżli przed Powstaniem.

O, Miasto! O wieczysta sceno
Niezwykłych i zwyczajnych zwycięstw! —
Słyszysz? Warszawa gra Szopena,
A dzieje

klaszcza Jej
w zachwycie.

WIEK DWUDZIESTY

Stoję przy tamtej Świętojańskiej Farze,
Wtem zakonnica (Niech jej Bóg da zdrówko!)
By na czas zdążyć przed Pańskie ołtarze,
Na mszę poranną zajeżdża taksówką —

I wygładziwszy habit, roześmiana,
Kornet załotnie podgiąwszy przy uszach,
Wionęta nawą jak podmuch, jak granat,
W którym się klebi, w sprężona dusza.

Potem opadła na klęcznik u ściany,
Gdzie konał Chrystus w wotywnych płomieniach —
I przypomnia wszystkie polskie panny
Niedostępnością, pozorną, wejrzenia.

„Taksówka”, „córka”, „kukuleczka”*)
Jakie to miłe, wdzięczne słowa!
Na nic się zdadzą w burdach, sprzeczkach —
Miękkie jak w deszczu ruń majowa.

Czuję w nich spokój i pogodę,
Tylko ten może je z połotem,
Kto posmarował serce miodem,
Puścić w wymowny kolowrotek.

Jest czar serdeczny w ich trzepocie
I jakieś ludzkie ciepło drogie...
I jeśli poddam się tęsknocie,
I jeśli kiedyś zaniemogę —

Zacznę nie głośno — toć nie sprzeczkę —
Lecz miękko niby ruń majowa:
„Taksówka”, „córka”, „kukuleczka” —
Bowliarzać tamte polskie słowa.

przełożył:
TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

* - w oryginale napisane po polsku.

TO HUU

O, SIOSTRO, POLSKO!

(fragmenty)

O, siostrze, Polsko
kiedy tają śniegi
droga w zamglonych brzozech
i w słońcu uśmiechach
słyszysz się jakieś głosy
niewidzialnych ludzi
i polskie poematy,
pieśni polskich echa.

Może to duch Adama
potężny i wzniosły
świat cały poprzez wieki
przenika swym żarem
może dźwięczy Chopina
miłość przeogromna
w śpiewie polskiej dziewczyny
i w strunach gitary.

Kiedy byłem w Krakowie
twej dawnej stolicy
świątynie jak i w mojej
błyszczały z oddali,
podobnie też twój Wawel
dziękował Zwycięzcom
jak u nas — gdy Jen-Tjajzen*)
królową ocalił.

Widziałem także Bałtyk
o czyste wybrzeże
niebieszcza się fale
jak morskie klejnoty
i na zawsze dzieje Gdańska
głoskami historii
na herbie twóim Polsko
wyrzyły się zieleni.

O, siostrze, Polsko,
kiedy tają śniegi
zieleni się droga
upojona słońcem
wiosennie rozbrzmiewa
piękno twoich pieśni
i dźwięczy twe imię
na zawsze, bez końca.

przełożyła KRYSTYNA MACIŃSKA

* Jen-Tjajzen — bohater wietnamskiej legendy, pochodzący z Indii.

GUNTER KUNERT

POLSKIE DRZEWO

Drzewo stało na uboczu, ale jeszcze w zasięgu ma-
lo znanego miasta Kielce, które znajduje się daleko
od świata i ciągle na marginesie historii.

Z gęstwiny zagajnika, z ciemnozielonych wierz-
chołków dochodził, niekiedy jakby płacz dzieci, gdy
wiał wiatr, słyszano się krzyk, jęk i wzdychanie, a po-
tem cicha, szept, ginący w bezbrzeżnej ciszy. Nie
każdy, mówiono w Kielcach, ma tak dobre uszy, aby
usłyszeć to, co dzieje się wśród gałązek.

Bawien uczonej niemiecki, uzbrojony w magneto-
fon, długo i chętnie nasłuchiwał pod wielkimi koro-
nami liści, ale że nic szczególnego nie zauważył, ga-
danie o drzewie i dzieciach włożył między bajki. Po-
wiedział: Z wyjątkiem jednego dębu i dwóch sójek,
wszystko inne, naukowo rzecz biorąc, jest czczym
wymysłem.

przełożył: JAN KOPROWSKI

OBIEKTYW

Na ten Nowy Rok...

Nie bardzo czuję się na siłach ocenić program Telewizji Polskiej w 1968 roku. Na to trzeba by po pierwsze oglądać jego całość, lub przynajmniej większość, a to jest przecież niemożliwe. Po wtóre trzeba by mieć jakiś układ odniesienia, a więc np. oglądać jednocześnie dla porównania programy zagranicznych telewizji, a to już podwójna niemożliwość. Opierać się zaś na odczuciu własnym, czy na opiniach znajomych w rodzaju: „ostatnio program telewizji stał się bardzo nudny” — to już rzecz zawodna.

Zaryzykuję jednak twierdzenie, że kończący się rok przeszedł pod znakiem ofensywy telewizyjnej. Sprzyjała temu sytuacja w kraju, wielkie batalie polityczne, wzrastająca temperatura ideowa.

Ofensywa publicystyki TV wyrażała się jednak bardziej w ilości niż w jakości programów. W propagandzie zaś — nie bez znaczenia jest intensywność oddziaływania — decyduje sposób, w jaki się przemawia. Tymczasem publicystyka TV jest w dużej części nudna, werbalna, bezkonfliktowa. W materiałach filmowych za wiele pokazuje się ludzi obradujących, a za mało w pracy, działaniu.

W dodatku wlewa się na ogół publicystyczne treści w gotowe foremki różnych magazynów i cykli, których namnożyło się w ostatnich czasach ponad miarę. Programy to robione stale przez ten sam wąski krąg osób usychają i kostnieją, a wszystko to odbywa się na rachunek telewidza. Nic dziwnego, że zrywa się on i ście do telewizji listy zawierające ostrą krytykę programu.

Jak słyszałem, ocena kierownictwa Polskiej Telewizji pokrywa się w tym względzie z powszechną opinią. Dojrzała konieczność dokonania zwrotu w publicystyce. Jak go osiągnąć? Chyba przede wszystkim udzielając „zielonej drogi” dla inwencji i pomysłowości, a obok tego przez poszerzenie i doskonalenie kadry współpracowników telewizji.

„Zielone światło” dla inwencji. W tej mierze władze Telewizji Polskiej wprowadzają w roku 1969 pewien eksperyment. Zachowują mianowicie w swojej dyspozycji 30 godzin rezerwy programowej, nie rozdzielając jej między redakcje. Czas ten i związane z nim środki finansowe przydzielone będą na realizację interesujących propozycji nie mieszczących się w istniejącym schemacie programowym. Niezależnie od tego, czy będą one pochodziły od pracowników Telewizji Warszawskiej, z ośrodków regionalnych, czy też w ogóle spoza kręgu telewizyjnego.

Co do doskonalenia kadry, to prowadzone są intensywne rozmowy między Komitetem do Spraw Radia i Telewizji i Państwową Wyższą Szkołą Teatralną i Filmową w Łodzi w sprawie powołania do życia Wydziału Telewizyjnego na tej uczelni.

W związku z nowym rokiem uzyskałem dla czytelników TEO szereg informacji dotyczących Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego od jego redaktora naczelnego Edwarda Szustra. Zwierzył mi się on, że pracownicy LOT żywią poważne obawy związane z uruchomieniem krakowskiego Telecentrum. Jednak rozmowy programowe w Warszawie rozwiązały niepokój.

Na rok 1969 nie tylko nie zmniejszono udziału Łodzi na antenie ogólnopolskiej, ale nawet nieznacznie go powiększono. Dotyczy to przede wszystkim Teatru TV. Łódź wypelnia na ogółem 18 godzin programu teatralnego, czyli o 2 godziny więcej niż w r. 1968. Raz w miesiącu LOT nadawać będzie spektakle tzw. teatru płatkowego i raz w miesiącu — teatru niedzielnego. Co do tego ostatniego, to Łódź będzie emitować 50 proc. ogólnej ilości spektakli niedzielnych w programie krajowym. Tym samym od niej zależeć będzie w dużej mierze profil tego teatru.

Łódź zrealizuje także w 1969 roku 20 godzin programów rozrywkowych i muzycznych, w których wciąż pozostajemy klasą dla siebie, i 6 godzin widowisk teatralnych dziecięco-młodzieżowych, co oznacza jeden spektakl co dwa miesiące. I tutaj preferowana będzie tematyka współczesna.

Na progu roku 1969 należałoby jeszcze poruszyć sprawę perspektyw rozwojowych LOT. Dopinguje nas do tego wspomniany prezent, jaki otrzymał w upływającym roku Kraków w postaci Krzemionek. Parę lat przedtem nowoczesne Telecentrum w Bytkowie uzyskały Katowice. Warszawa obejmuje i wprowadza do eksploatacji coraz nowe obiekty Centrum przy ul. Woronicza.

A Łódź? Z produkującego w sensie technicznym ośrodka w kraju spada na miejsce coraz dalsze. To co było „ostatnim krzykiem” techniki w 1958 r., dziś jest już przestarzałe, zużyło się i zostało zdystansowane w szybkim pochodzie techniki telewizyjnej. Tymczasowa siedziba LOT w wietowcu przy ul. Sienkiewicza stała się zbyt szczyplą. Czas więc i u nas budować...

I będzie się budować. W 1970 r., a najdalej w 1971 rozpocznie się budowa łódzkiego centrum radiowo-telewizyjnego na terenach przyległych do Rozgłośni PR przy ul. Narutowicza. Jest więc może nieco odległa ale realna perspektywa.

Na marginesie tylko jedna uwaga. Ani w Katowicach, ani w Krakowie nie łączono inwestycji telewizyjnych z radiowymi. W Łodzi inaczej. Nie bierze się pod uwagę ogólnowiatowej tendencji do rozdziału tradycyjnej spółki radio-telewizyjnej. M. in. przewiduje się tego typu reorganizację w Związku Radzieckim. Czy zatem słuszny jest łódzki projekt centrum radiowo-telewizyjnego? Czy w momencie zrealizowania nie stanie się anachronizmem?

I parę słów o najbliższej przyszłości. Łódź ma szansę uzyskać w 1969 r. dźwiękową kamerę filmową. Nie trzeba udawać, jak bardzo przyczynił się ta aparatura do uatrakcyjnienia programu. Potrzeba jednak pomocy władz miejskich. Dla kamery dźwiękowej wraz z aparaturą fotografującą LOT potrzebuje lokalu o powierzchni około 120 m kw. Nie należy wątpić, że władze miejskie postarają się tę potrzebę jak najszybciej zaspokoić.

Ale na tym nie koniec. Również w 1969 r. istnieje możliwość przydzielenia Łodzi wozu transmisyjnego. Po tylu latach starań postulat ten staje się wreszcie realnym. I znów warunkiem spełnienia się marzeń jest pomoc władz miejskich w zdobyciu przez LOT odpowiedniego pomieszczenia dla wozu. Chyba i w tym wypadku Prezydium Rady Narodowej nie zawiedzie!

I tą optymistyczną apostrofą zamykam tę garść informacji. Abyśmy zdrowi byli! „Na ten Nowy Rok!”

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Na pamiątkę owej gwiazdy

Kolberg
W. Ks. Poznańskie, tom 9

KULIG — NOWY ROK



Kolberg
Krakowskie, tom 7

BOŻE NARODZENIE

„Lud, które to święto zowie godami rozpoczyna go śpiewem od Północy. Noc ta zowie się pasterską na pamiątkę Narodzin Syna Bożego w Betleem w stajence, witanego naprzód przez pasterzy. Z tym więc dniem, kiedy po klasztorach kołyjski huśtają nowonarodzonego, a dzieci bawią się sadem, rozpoczyna się Kołęda; a z nim także jasełka, inaczej szopka zwane.

Jasełka te bywały dawniej po kościołach (Jasła), skąd przeniosły się ruchome i zmniejszone na ulicę w ręce żaków lub miejskich parobków, a wreszcie i w wiejskich chłopaków, którzy z niemi od dnia św. Szczepana począwszy obchodzą miasto lub wieś, ukazując widowiska po domach, aż do dnia Trzech-Króli, a nawet przez cały styczeń”.



Kolberg
Łęczyckie, tom 22

KOLEDA

„Dzień ten, jak i wigilia jego, bywają w Łęczyckiem zarówno jak w całej Polsce obchodzone nader uroczysto i w sposób jak to w ogóle wskazaliśmy w Seryi V Ludu (str. 194) i Ser. IX — (str. 115).

Z pieśni i kołęd znanych zresztą powszechnie, ze szczególnym zamiłowaniem śpiewane tu bywają niżej przywiedzione”.



Kolberg
Mazowsze, tom 24

ŚW. SZCZEPAN (26 GRUDNIA)

„Świętego Szczepana, pierwszego wiary Chrystusa męczennika, pamięć jest czczona zaraz po Narodzeniu Bożem. Lud dawniej owies na ten dzień święcić dawał, i gdy kapłan miał go kropić wodą święconą idąc środkiem kościoła, rzucano nań garściami owsa, jakoby dla pamiątki ukamienowanego męczennika. Dzień ten jest też i dla czeladzi ważnym, zwłaszcza na Mazowszu, iż w tym czasie tak po dworach jak i chatach zmienia się ona. Starający się o nowego sługę gospodarze i gospodynie zmagają do siebie upatrzonych służących i raczą ich wódką, — że parę dni upływa, nim parobek zgodzi się do którego z gospodarzy i te dnie spędza swobodnie, a jeszcze prosić się go trzeba by objął obowiązki, więc mówią że:

1. NA ŚWIĘTY SZCZEPAN
— KAŻDY PAROBK PAN.
2. ŚWIĘTY SCEPON
— KAŻDY SE PON.
3. ŚWIĘTY SCEPON
— WIĘCEJ SŁUGA (znaczy)
JAK PON”.



Kolberg
Lubelskie, tom 16

TRZEJ-KRÓLE

„Na dzień Trzech-królów (mówi Gluziński), zamiast z szopką chodzą szopkarze z gwiazdą papierową olejem wy smarowaną, w środku której pali się świeca i daje jasne światło na wystawie, istotnie w kształcie gwiazdy o ośmiu lub sześciu promieniach od środka. A to czynią na pamiątkę owej gwiazdy, która trzech Królów do Betlehemskiej szopki doprowadziła. Dziwną jest rzeczą, gdy czasem nawet, Żydzi muzykanci podchodzą z podobnymi figlami, grają na instrumentach i poprzekręcane śpiewają kołędy”.



Kolberg
Kujawy, część I

OSTATKI. POPIELC. PODKOZIOLEK

„W ostatki, a osobliwie w ostatni wtorek zapustny, z rana albo po południu, przebierają się parobcy za żydów, cyganów, niedźwiedzi, koni, kozłów, bociaków itp. i w tem przebraniu chodzą w kilku po wsi, wyprawiając różne igraszki (powszechne).

We wsiach Kurowie, Klótnie, Baruchowie i przyległych, parobcy i mniejsi chłopcy obchodzą po chałupach po południu, przebrani za żydów, cyganów i niedźwiedzi. Jest tam i koza drewniana, to jest: drąg z kozim łbem, gdy sam chłopak pod nim przykryty płachtą, skacze, bodzie, rzuca się itp.; ma on sznurzek przeprowadzony od gęby (niby brody) i sam sobie dziama (szczegółą rozdziewia gębę), gdy drudzy ciągną za sznurek. Stanąwszy na progu chałupy, jeden z nich przemawia:

Trza my było torby dziurawy (e)
Bylbym dostał mąki dla baby
I słoika starego, (by większą litość
wzbudzić)

Bylbym dostał masła młodego.

Zeby wom Bóg dopomóg(!)
i waszej córce.

W stodółce, w obórce
Jakby mietelką wymiót(!)
Na polu kumora (zielsko),
Nie będzie w stodołę ni kłosa.
„Bóg!” — omaga

Wygnała JEwa bydło
do boru na kadzido.
Bierze JEwa, spod bydła,
niech nie łomie kadzida.
Nie pójdę ja sama,
Bo się boje JAdama.
Bo JAdam za chójką stoł,
i figle ze mnie stroł,
Stary Tatar tatarke sieje
kalota mu się chwijeje.
Przyszła do niego ślepa
Za kalotę go siepa
Nie ślepać mnie za nią,
Bo my nie dasz za nią.



U TOŁ STOJA W JASNEJ POLANIE

Zastanawialiśmy się, którego dnia pojechać do Jasnej Polany. Wiktor Borysow powiedział: „W niedzielę jest zazwyczaj mnóstwo wycieczek. Myślę, że sobota będzie najstosowniejsza.” Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Był słoneczny dzień sierpniowy. W Tułę, słynnej niegdyś z samowarów, szukaliśmy po księgarniach książki Walentyna Bulhakowa, ostatniego sekretarza Tołstoja, pt. „Lew Tołstoj w ostatnich dniach jego życia.” Drugie wydanie tej książki ogłoszono przed kilku laty. Ale poszukiwania nasze okazały się daremne, nawet w antykwariatach stanowi ona wielką rzadkość. Już w Moskwie, zwiędając tamtejszy dom Tołstoja, dowiedzieliśmy się, że autor „Wojny i pokoju” kilka razy w swoim życiu szedł z Moskwy do Jasnej Polany na piechotę. Ta piesza podróż trwała tydzień, gdyż Tołstoj zatrzymywał się po wsiach, gdzie prowadził długie rozmowy z chłopami. Nasze auto przebyło drogę w niecałe trzy godziny.

Jasna Polana leży na lekko sfalowanej równinie. Pewien Francuz, który odwiedził Tołstoja w roku jego śmierci, napisał później, że „obszar tułski znajduje się w głębokim sercu Rosji”. Rychło przekonaliśmy się, że sobota niczym nie różni się od niedzieli i innych dni tygodnia. Ludzi przybyło tu tak wiele, że gdyby nie obecność z nami Wiktora Borysowa, być może nie dostalibyśmy się w ogóle do domu Lwa Tołstoja. Spórą ilość turystów odprawiono z kwitkiem, po prostu nie można ich było zmieścić w czasie. Jasna Polana jest miejscem stałych pielgrzymek nie tylko ze wszystkich zakątków ZSRR, lecz także z zagranicy. Słysze-

liśmy tu języki: węgierski, niemiecki, francuski, angielski, wietnamski, no i oczywiście polski, albowiem oprócz nas było jeszcze kilka innych grup rodaków.

Lew Tołstoj urodził się w Jasnej Polanie, tu spędził trzy czwarte lat swojego życia i napisał najwspanialsze dzieła: „Annę Kareninę”, „Wojnę i pokój”, „Zmartwychwstanie” oraz wspomnienia „Dzieciństwo i lata młodości”, a także wiele pism filozoficznych, pedagogicznych i politycznych. W kiosku zaopatrujemy się w przewodniki, w restauracji zamawiamy obiad na godzinę czternastą i wybieramy się na oględziny posiadłości po Lwie Tołstoj. Niegdyś było tego ponad tysiąc hektarów, dziś pozostało około trzysta. Wchodzimy w wielki park ze starymi drzewami, idziemy słynną „aleją brzoźową”, sledzimy na ławeczce, na której sadywał pisarz, kapłamy się w stawie, w którym i on się kąpał. Nie, nie kąpał się, bo nie wolno. A szkoda, pogoda była piękna, prawie upał. Długo stoimy nad mogiłą Tołstoja pod wysokim kłosem. Żadnej tablicy, żadnego napisu. Usypisko pokryte zieloną darnią, świeże kwiaty polne, to wszystko. Czy jest druga mogiła na świecie, do której by ludzie tak ciągnęli? Czy Tołstoj zdawał sobie z tego sprawę, gdy w testamencie nakazał pochować się właśnie tu, w tym parku, wśród drzew, z dala od świata i ludzi?

Zwiedzanie domu Tołstoja zabiera nam kilka godzin. Ależ to bardzo mało. Trzeba by spędzić tu tydzień, dwa, może dłużej, przyrzuć się wszystkim dokładnie, przeczytać szereg książek, zajrzeć do notatek, listów, posmakować atmosfery tego domu, pochodzić po wsi i porozmawiać ze starymi ludźmi, którzy pamiętają Tołstoja z czasów swego dzieciństwa.

O domu tym słyszało się i czytało wiele. Syn Tołstoja, Iłja, w swoich wspomnieniach o ojcu pisze: „W ostatnich latach życia ojciec czuł się dobrze tylko w Jasnej Polanie.” Zona pisarza, Zofia Andrejowna, zmarła w roku 1919, ale w książce pt. „Moje małżeństwo z Lwem Tołstojem”, ogłoszonej drukiem w dwa lata po jej śmierci, możemy przeczytać: „Mieszkam w

Jasnej Polanie, utrzymuję dom dokładnie tak jak z życia Lwa Nikolajewicza i pielęgnuję jego ostatnie miejsce spoczynku”. Jasna Polana była w czasie drugiej wojny o krok od zagłady. Jak wiadomo, armia hitlerowska zajęła Tułę i okolice 29 października 1941 roku. Dom Tołstoja zamieniono na koszary, w wyniku czego niektóre rzeczy uległy zniszczeniu. Na szczęście nie wszystkie i nie najważniejsze. Zdołano bowiem nieco wcześniej wywieźć do Tomsku w Syberii zachodniej znaczną część eksponatów, w tym bibliotekę Tołstoja, jego wspaniałe biurko, dzieła sztuki, fotografie i wiele cennych dokumentów. W przeddzień ucieczki z Jasnej Polany, hitlerowcy podłożyli w kilku pokojach na pięterku lonty, ale służba potrafiła w porę zlikwidować niebezpieczeństwo. Wywiezione do Tomsku eksponaty powróciły na dawne miejsce i już w maju 1945 roku dom Tołstoja otwarto dla przyjezdnych i miejscowej ludności.

Gdy przez mały przedróżnik wejście się do tego domu, z miejsca otacza nas atmosfera piarska. Ściany przedpokoju zastawione żółtymi szafami z brzoźowego drzewa, w których pełno książek z różnych dziedzin i w różnych językach. Tołstoj władał biegle francuskim, niemieckim i angielskim, a jak oświadczyła nam przewodniczka, znał również język polski do tyłu, że mógł w nim czytać i rozumieć go bez pomocy tłumacza. Tołstoj miał zwyczaj robienia uwag na marginesach czytanych książek. Mogliśmy się o tym przekonać zwłaszcza w jego gabinecie i po koju bibliotecznym, gdzie zachowały się zbiory podręczne, potrzebne mu w pracy. Obok drzwi wejściowych wisi torba, w której przywożono mu codziennie pocztę, w ostatnich latach — bardzo obfitą i z różnych stron Europy i świata. Z przedpokoju wchodzimy do małego korytarza i następnie do pokoju Duszana Makowickiego, Słowenka, domowego lekarza Tołstoja od roku 1904 aż do jego śmierci. Duszan Makowicki, zwolennik filozofii Tołstoja, po zostawieniu sobie bardzo cieka-

we dzienniki, częściowo drukowane, z których przebiega miłość i wierność dla mistrza. Po śmierci Tołstoja, Duszan Makowicki przebywał czas jakiś w Rosji, ale że życie jego straciło sens, powrócił w końcu do kraju, gdzie w 1921 roku popelniał samobójstwo. Tołstoj bardzo lubił Makowickiego, przez kilka lat miał nawet obok swojej pracowni, zwaną „pokojem pod sklepieniami”, z której mógł w każdej chwili pójść do izby swego domowego lekarza. Trudniejsze ustępy w języku polskim czytał Tołstojowi właśnie Makowicki, który jako Słoweniec lepiej wyczuwał ducha naszej mowy. I w „pokoju pod sklepieniami” i w dawnym pomieszczeniu Makowickiego wszystko pozostało bez większych zmian. Z jeszcze większym piętyzmem urządzono i za chowano pokoje na piętrze, na które wchodzi się po dość stromych schodach. Z czterech drzwi jedne prowadzą do salonu (który służył jednocześnie za jałnią), drugie do izby gościny i przylegającej do niej sypialni, następne do biblioteki i ostatnie na strych.

Na ścianach pokoiów pełno portretów Tołstoja i jego rodziny, malowanych głównie przez Repina, Kramskiego i Sierowa. Przybyszowi z Polski przyjemnie stwierdzić, że wśród tych malowideł znajduje się portret Tołstoja, wykonany przez Jana Stykę. Styka nie był nigdy w Jasnej Polanie i nie znał Tołstoja osobiście. Pisali do siebie listy, a portret pisarza namalował artysta na podstawie nadesłanej mu fotografii. Tołstoj zadawolony był z pracy Styki i powiesił ją sobie w gabinecie nad drzwiami wejściowymi. W tymże gabinecie znajduje się fotografia Joachima Lelewela, z którym Tołstoj spotkał się wiosną 1861 roku w Brukseli, skąd przywiózł sobie tę właśnie podobiznę polskiego historyka i niepodległościowca. Na obrzytmym biurku Tołstoja przybory do pisania, pudełko na ołówki, skórzana mapa, przyciski do papieru, lichterze ze świecami, na ściennej półeczce, tuż nad biurkiem, tak żeby ręką osiągnąć, wielotomowa encyklopedia, wo-



JERZY URBANKIEWICZ

BITWA NAD RZĘKĄ WRAN

Bułgarzy nazywają to miejsce „Monastyrska Izba” — a więc cela klasztorna. W istocie — w cieniu jej kamiennych ścian przycupnęła mała cerkiewka, niepozorna od zewnątrz a błyszcząca złotem wewnątrz. Tu zaś, pod ceramicznym dachem i na klasztornej podwórku, krzątają się małe pracownicy, nie mają czasu, by choć na chwilę minąć z wycieczką — kryć skrzyżowane dłonie pod habitem na piersiach. Mijając się w przejściach między stolikami, mrużą jedno z czarnych jak agat oczu i szepczą pobieżnie, niosąc Euxinogradzkie wino: „Memento vivere”. Ich młody strój składa się z białego czepka oraz przypiętego do czarnego kwatera żyrzebnego jedwabiu, mini-habity nie skąpią pątkom widoku zgrabnych nóg. Roznoszą kebab, ciocięcinę po monastyrsku i białe wino, ale mocna rakija zrobiona z winnych gron cleszy się tu pełnymi prawami, na równi zresztą ze słowacką. Miejsce dzwoniące klasztornych zafala zgola świecka perkusja, a saksofon i elektryczna gitara wyręczają chór mieszek.

Przeplęta pod tym nietypowym klasztorze para mew, zniżyła lot ku wierchołkom kasztanów, zając za kasztanami urwisko nadmorskich skał, wąską plażę i morze. Już szumi rytmem łagodnym fal, które idą od horyzontu. Tam dalej — bez białych grzebieli, tu zaś pienia się na niewidocznych, oblepionych matkami głazach i z głośnym szumem biją o brzeg. Rodzi się fala jako fala na pomarszczonej zieleni morza, potem zaostriża się, wreszcie jej grzebiel pędzi ku brzegowi wyprzedzając zbrocz, lecz białą pianą w dół, wpełza na płaskość plaży, ale ucieka z niej pozbawionym impetu rozlewiskiem, by ustąpić miejsca następnej fali i następnej. Tym samym rytmem kołysało się morze przed rokiem i pół tysiąclecia wstecz, wtedy kiedy przeznaczanie wiodło w te strony Władysława, syna Jagielly i wcześniej jeszcze, kiedy wódz grecki wznosił warownię na skałach Kałiakry i wtedy nawet, kiedy nie było człowieka na ziemi.

Gdzieś w zaranu tej części dziejów, w których uczestniczył człowiek, nosiło nazwę Euxinus Pontus, co — znaczy

„morze niegościnnie”. Kogoś niegościnnie burza przyjęła. Albo też Trakowie zamieszujący jego brzeg okazali się niegościnni — nazwy mórz i oceanów nierazko są wykładnikiem czyjś pierwszego wrażenia, nie zaś cech charakterystycznych. Ta niegościnnosc zagałęla przecieł w pamięci ludzkiej, a pojawiła się nazwa wręcz przeciwna — Euxinus Pontus, tj. morze gościnnie. I to określenie weszło na stałe do międzynarodowego leksykonu geograficznego. Ale można je też znaleźć w opisaniej wyżej „Klasztornej celi”. Złoci się ono w smukłych butelkach z napisem „Wino Euxinogradzkie”. Są bowiem w pobliżu Wozny winnice, z których wino ma smak specyficzny, niepowtarzalny. Podobnie jak wyjątkowe ma cechy perlisty napój z pół Szampanii. Podobnie jak swoiste ma zależy burzypynowy płyn z rzeki Charente, z miejscowości o nazwie Cognac. Wino Euxinogradzkie — bo gród na brzegu Euxinus Pontus zwał się Euxinogradem. Nosił też nazwę „Odesus”, gdyż w miejscu tym miało być w starożytności miasto o tej nazwie. Kto je założył? — Chyba Grezy z Miletu w owych zamierzchłych czasach, kiedy Ateny słynęły jako stolica świata.

W wieku piątym czy szóstym pojawili się Słowianie i bodaj z tych czasów wywodzi się nazwa Warna, być może — od uchodzącej tu do morza rzeki Wrań. W wieku zaś dziesiątym uformowało się pierwsze państwo bułgarskie, przeżyło swój okres świetności i legło do bizantyjskich mieczy. Odrodziło się później, by w XIV wieku ulec Turkom. Zamykam tę długą i bogatą historię w parę zdań, gdyż celnik interesuje jedna stronica historii Bułgarii, tą mianowicie, którą właśnie odkrywam.

Oto czas, kiedy dorósł Władysław, najstarszy syn Jagielly, kiedy Polska przywykła do roli przedmurza chrześcijaństwa, roli, która wprowadziła rzadko dawała zyski polityczne, ale zapewniała papieskie błogosławieństwo. Kiedy zaś nie było dosadnej potrzeby walki z najeźdźcą na własnych rubieżach, tworzyliśmy — przedmurze z własnych piersi z dala od ojczyzny. Cesarz niemiecki nie uważał na przykład, że sukcesy wojenne Turków w

Bułgarii mogą być groźne dla cesarstwa. Władysław dał się przekonać Zbigniewowi Oleśnickiemu i legatowi papieskiemu, że interes Polski leży nad Morzem Czarnym i ruszył tam z garstką rycerstwa przeciwko potędze tureckiej. Szli z nim wprowadzić Węgrzy dowodzeni przez Jana Hunyady, szli Bułgarzy, Czesi, Serbowie i Rumuni, ale niewiele to znaczyło wobec stu i więcej tysięcy Turków. Przecieł w pierwszej fazie wojska sprzymierzone pod wodzą Władysława zwyciężyły. Dopiero w bitwie pod Warną losy wojny przybrały inny obrót. Oto wzgórze, z którego sultan Amurat dowodził potęgą turecką. Dziś biega się tu ściany marmuru polskiego króla, który był dzielnym rycerzem ale niegłębokim politykiem. Nie jedyna to w dziejach Sarmatów wyprawa w obce kraje, której sens ginie w cudzych kombinacjach politycznych, w cudzej przebiegłości. Nawet stosunek współczesnych Bułgarów do polskiego króla, który poległ za ich wolność pod Warną, graniczy z czcią. Ale — na moje wyczucie — woła w swoim kraju oglądając tych turystów, którzy wywodzą się z poddanych nie Władysława Warneńczyka, ale raczej z poddanych cesarza niemieckiego, tych zwłaszcza, którzy korzystają z usług sklepów dolarowych.

Porzucmy jednak te refleksje, stoimy bowiem w obliczu marmurowych zwłok króla. Leżą w tym miejscu, w którym padł, pioną u węgłowia elektryczne słupce, w ile biega się i czerwienią orty i proporce, obok — czerń herbowych gryfów.

A stało się to 8 listopada 1444 roku.

Wojska nasze opuściły mury Warny, by stoczyć bój w otwartym polu. Przed nami skłon ku dolince dawał możliwość rozpedu dla koni, a za dolinką, na wzgórze błyszczał przepychem pocel Amurata. On sam młotłsi brode w przedbitewnej emocji i szukał wroźb pomyślnych w układzie obłoków, w szczupłości sił przeciwnika, w lopecie chorągwi.

Przy królu polskim stali doborowi polscy rycerze, ale w ilości tak małej, że tylko pamięć niedawnych przewag mogła w nich rodzić wiarę w zwycięstwo. Z przodu rycerze sławońscy i Waloza, obok Szymon, biskup Roz-

gonu z niewielkim oddziałem i dalej w lewo Węgrzy i chorągwie siedmiogrodzkie pod wodzą Jana Hunyadego. W prawo od króla — legat papieski Cesarini na czele roty kościelnej i biskup Waradynu.

A kiedy wojsko stanęło gotowe do boju, rozwinęła się chorągiew rycerska św. Jerzego, a giermek, Falco z Faemlecha, podał królowi szyszak stalowy z czubem ze strusich piór. Nim jednak król ochronił nim głowę, drgnęła ręką giermka i szyszak upadł pod nogi królewskiego rumaka. Była to zła wróżba. A do tego wiatr powiał od morza tak silny, że tu i ówdzie trząsnęły drzewce proporców trzymanych w krzepkich, rycerskich dłoniach. Była to też zła wróżba.

Ruszyli wtedy anatolscy spahisi pod bitnym Karadza-bejem, a biskup Waradynu skoczył, by przecięć im drogę. W ciżbie i krzyku dźwięczą stale o panterze, a obie strony parły na siebie, więc tylko skrzydła chodzący to w jedną, to w drugą stronę, aż gład się poczęły ku nam, spychane liczebnią przewagą Turków. Wtedy pchnął król kościelną rotę Cesariniego, Walochów i garść Węgrów. To zmieniło układ sił w owej ciżbie i odchyliły się skrzydła w przeciwną stronę, ku wzgórzom z czterema chorągiewami. Wpadł wtedy chorągiew sultanski na piekielny pomyśl, 200 wielbłądów obciążonych złotem sultana puścił ku walczącym i Wolosi skulił się latwym tu pem i odeszł z hojną, by zapelnic własne sakwy. Więc bliski był triumf murza now póki polskie posłki nie pręczyły szali zwycięstwa w tej fazie bitwy na naszą stronę. Zginął biskup Waradynu, ale padł też Karadza-bej z rozprutą pierśią, a Turcy uciekli w poplochu. Więc zdawać się mogło, że ów szyszak pod kopytami i owe drzewce potamone na wietrze nie wyróżzyły zła. Król chciał ruszyć odwody i korzystać z poplochu w szeregach wroga, uderzyć na główne siły i zostać na polu zwycięzcą. Ale mu Hunyady odradził, wciął hojąc się liczebnej przewagi Turków. I może w tym tkwił błąd. Może w królewskim wahanu i przyjeću rady Węgra był ów zły oman, który go przywiódł do śmierci, nie zaś z niechętności giermka, ni w silie czarnomorskiego wiatru. Bo dał

Ról fotografie pisarzy. Fotografie wiszą wszędzie. Tolstoj miał przecież wielu znajomych i przyjaciół wśród żyjących współcześnie ludzi pióra, malarzy i wydawców. Za biurkiem i fotelami, przysunięta do ściany skórzana kanapa, na której Tolstoj odpoczywał. Przy tym biurku (mniejszym, niż owo moskiewskie biurko z barierkami) pisał „Hadzi-Murata”, „Po balu”, „Szczęście rodzinne”, „Młodość” i wiele innych. Tolstoj był niezwykle pracowity. Potrafił wiele godzin przesiedzieć za biurkiem. A po pracy literackiej przyjmował gości, czytał, rozmawiał z młodzieżą, słuchał muzyki. W salonie znajdują się dwa fortepiany: duży tzw. koncertowy i mały. Koncertowali tutaj wybitni pianiści, m. innymi Polka Wanda Landowska. Rosyjski pianista, Aleksander Goldenweiser, częsty gość w Jasnej Polanie, tak pisze o tych wieczorach muzycznych w swojej grubej księdze wspomnień pt. „Tolstoj wśród bliskich”: „Gdy odbywał się koncert, pisarz zasiadał w starym, niskim i głębokim fotelu jego dziadka, obitym tanim sukmem, który znajdował się między fortepianem a drzwiami wejściowymi i słuchał uważnie, niekiedy z zamkniętymi oczami.” W powieściach, opowiadaniach i dramatach Tolstoja znajdziemy liczne dowody jego zainteresowań muzycznych. Ze wszystkich kompozytorów najwyższą cenę Tolstoj Chopina. Za chowało się jego słynne powiedzenie: „Szopien w muzykę to że, czto Puszkina w poezji”. Posiadał wszystkie dostępne wydania utworów Chopina. Dziennikarz francuski, Paul Boyer, pisząc w „Les Temps” (2 listopada 1902 roku) o swoich odwiedzinach w Jasnej Polanie, zanotował m. innymi: „Tolstoj kazał sobie grać Chopina. Przy końcu czwartej „Ballady”, jego oczy były pełne łez. „Ah, l'animal!” wykrzyknął, wstał i opuścił pokój.” Najlepiej jednak ocenił muzykę Chopina sam Tolstoj. Oto jego słowa, zanotowane przez Goldenweisera. „Wielkość Chopina polega na tym, że nawet najprostsze jego utwory są dalekie od trywialności, a naj-

wznoślejsze nie odznaczają się przesadnym wykwintem.”

O Tolstoju napisano na świecie całe biblioteki. Wiele pisano również i pisze się o nim w Polsce. Ale spośród wszystkich książek. Jakże się u nas ukazały, za najpiękniejszą i chyba najciekawszą uznaję pracę Bazylego Białokozowicza „Lwa Tolstoja związki z Polską” (1966), która wprowadza nas w świat zainteresowań polskich autorów „Zmartwychwstania” w sposób wręcz znakomity. W obfitej korespondencji, jaka została po Tolstoju, znajdujemy się około tysiąc listów, których autorami są Polacy. Pisali do niego pisarze, uczeni, tłumacze jego dzieł, działacze, zwolennicy jego sztuki i poглядów filozoficznych. Odsyłam do tej książki czytelników, pragnących dowiedzieć się, co Tolstoj myślał o Polakach, ich historii i literaturze.

A teraz zajrzyjmy jeszcze do pokoju żony Tolstoja — Zofii Andrejewny. Biurko, fotele, łóżko, toaletka, pełno fotografii na ścianie. Dużo mebli i najrozmaitszych drobiazgów. Ta wytrwała i silna kobieta nie posiada dobrej sławy. Biografowie i historycy literatury pisali i piszą o niej źle. Na naszym gruncie z wyjątkową zjadłością odsądza ją od czci i wiary Stanisław Cat Mackiewicz. Aż trudno to zrozumieć. Wspomniany już przeze mnie syn pisarza, Ilja, zastanawiał się, „dlaczego ojciec, po przeżyciu z matką czterdziestu ośmiu lat, w osiemdziesiątym trzecim roku swego życia nagle nie wytrzymał i musiał od niej uciec”, ale nie umiał odpowiedzieć na to w sposób zadowolający. Myślę, że historycy i biografowie skrzywdzili Zofię Andrejewną, żonę Tolstoja i matkę jego licznych dzieci, administratorkę majątku i cierpliwą przepisywaczkę jego rękopisów, autorkę opowiadań, prozy poetyckiej, wspomnień i dzienników. Tolstoj był wielkim pisarzem i wielkim dzieckiem, człowiekiem łatwownym, którego każdy mógł nabrać i oszukać. Zofia Andrejewna broniła go przed fa-

szwym przyjacielami i gniewała się, gdy jej nie słuchał, a on gniewał się na nią za rady, których nie udzielał. Cokolwiek by jednak nie powiedział o charakterze Zofii Andrejewny, kochała ona swego męża i robiła wszystko, aby stworzyć mu idealne warunki do pracy pisarskiej, gdyż świadoma była jego wielkiego talentu. A że nie zawsze i nie wszystko jej się udawało? Niemalą przeszkodę we współpracy stanowiły ich zupełnie odmiennie poglądy i upodobania. Któryś z biografów Tolstoja wspomina, że istniały tzw. ideały Jasnej Polany. Otóż Tolstoj

mawiał, że jego ideałem jest „spalić wszystko, co dotąd czcił — czcił wszystko, co spalił”. Na tomiast Zofia Andrejewna była takiego zdania: „Mieć 150 dzieci, które nigdy nie staną się dorosłe.”

Patrzę na ten zagracony pokój Zofii Andrejewny i zaczynam myśleć o ucieczce Tolstoja, który wbrew temu, co twierdzi jego syn, Ilja, sam mawiał często, że nie cierpi Jasnej Polany. Aż któregoś dnia, dokładnie na dzień przed śmiercią, uciekł z tego pięknego dworku wśród

drzew, porzucił wygodne pokoje i ustalony tryb życia, aby zacząć wszystko od nowa. Zmarł na małej stacyjce Astapowo, nie dopuszczając do siebie Zofii Andrejewny, która przez okno zaglądała do leżącego na łożu śmierci męża. Po zgonie wrócił do Jasnej Polany, z którą zrosło się na zawsze jego życie i jego twórczość, tak pełna opisów jasnopolanskiej przyrody, jasnopolanskiego domu i ludzi w nim żyjących. Kto był w domu Tolstoja, ten nigdy go nie zapomni.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA

Władysław Turkom czas ochłonać i miast do końca mieszać im szyki własnym natarciem, znów przyjął rolę atakowanego. Do walki poszli Węgrzy i tylko pół tysiąca Polaków zostało przy królu, jako ostatni odwód, który rozstrzygnie bitwę. Hunyady nie wierzyli w zwycięstwo. Meźnie sławał, ale radził królowi ucieczkę. Tej rady Jagiellończyk nie usłuchał. Nie po to wiodł skromne zastępy taki świat drogi, by wracać z hańbą ucieczki. Włocł się mleczem i pomknął na czele rycerstwa prosto na wzgórze, na którym widniały sztandary sultana, gdzie janczarowie murem stali, gotowi zginać, a nie przepuścić atakujących do władcy. Ale odurzył króla polskiego zgłębieniem błędnym i żądza sławy lub śmierci. Stary wyga ocenił w lot nierozwagę młodzika i kazał się janczarom rozstąpić, by wciągnąć młodego króla w zasadzkę, ku której mknął. Kiedy zaś znalazł się w przejściu pomiędzy janczarów, ci zwarli znów szyk zgodnie z sultanskim rozkazem, odgradzając króla od swoich. I uniósł Władysław miecza, by zetrzeć się z Amuratem, ale stary janczar strzegący sultanskiego życia ściął pod nim konia a drugim cięciem odebrał życie królowi.

Dwa elektryczne światełki rzucają mdły blask na marmurową postać króla i wyglądają dość tanto. Na zewnątrz jasny, wesoly blask południowego słońca a wzgórze, po którym cwałował królewski koń zieleni się kępami południowych drzew. Tablice z marmuru głoszą chwałę jedności sultana i króla.

A więc tam, gdzie zginął Karadja-bej i gdzie damascenski stał przetrwał nie żywota waradyńskiego biskupa, skziem się świecą ściany fabryki części zamiennych do samochodów. Dużo w Bułgarii Węgry i Warszaw. Widocznie trzeba, by jeździły, skoro się problem rozwiązuje. Długo rząd żurawi to fabryka manometrów. A oto Elprom dający lodówki i pralnice. Dalej wótkienictwo, konserwy i Winprom odpowiedzialny nie tylko za białe wino Exigogradzkie, ale również za Płiskę, siłownicę i rakiję.

I oto znów ulice Warny pełne słoneczników i turystów, z których jedni po-

prostu zajędają pod dolarowe sklepy. Inni odbywają bezcelowe dyżury pod magazynami futrzarskimi. Kioski pełne dość tandetnych drobiazgów mających upamiętnić pobyt w Bułgarii, lody sprzedawane na wagę, obok w kociołku gorące kaczany kukurydzy, a wszędzie wielkie, złote winogrona po 20 stotinek kilo z bogatych bułgarskich winnic. Ciągną się kilometrami, setkami hektarów. Włocł się nie wiem, czy opuścić miasto i sycić oczy oraz zmysł smaku winobranielem na zboczach wzgórz, czy też jeszcze wypatrywać osobliwości miasta. Ale chcąc je opuścić muszę raz jeszcze otrzeć się o rzymskie termy i oto w oczy rzuca się dziwny architektoniczny, jedyny chyba na świecie. Otóż ruiny termów kryją się częściowo pod wzniesionymi w sąsiedztwie budynkami. M. in. stoł tam zamieniona na muzeum cerkiew, której front zdobi rząd kamiennych kolumn. Jedną z nich postawiono na odwróconym marmurowym kapitele z rzymską ornamentacją i tak to wygląda, jak gdyby wziął ktoś rzymską kolumnę i przez przekorę przewrócił ją do góry podslawą. Po prostu — kto budował w tym miejscu, używał jako budulca wszystkiego, co znalazł na miejscu. A jest to zwyczaj w Bułgarii powszechny, bowiem skal wszędzie pełno. A ich odłamki dają w budownictwie piękne efekty bez tynku. Toteż kamień widać na każdym kroku. I w domkach mieszkalnych i w architekturze licznych hoteli, restauracji, domów wypoczynkowych, w urządzeniu plaż, dróg i zbocz.

Na północ od Warny, kiedy się tylko minie urządzenie portowe, zaczyna się to, co w znaczeniu przyrodniczym jest brzegiem morza, a w znaczeniu gospodarczym — wielkim, świetnie urządzonej kombinatem turystycznym. Na wybrzeżu tym przypływ wód morskich jest niedostrzegalny. Natomiast przypływ twardej waluty nie może ująć niczyjej uwagi. W ciągu 10 lat w najbliższej Warny położonym uzdrowisku Družba zbudowano 45 hoteli. Prawie wszystkie powyżej 10 kondygnacji, wszystkie piękne architektonicznie, wjele z nich — tuż nad morzem, wszystkie — niedaleko morza. Każdy pokój w



takim hotelu to 6 lub więcej dolarów dziennie, lub ich odpowiednik w innej, najczęściej dość mocnej waleucie. Nieodłączny od handlu pokojami hotelowymi jest handel jadłem, napojami, pamiątkami i luksusowymi towarami w sklepach dolarowych. Družba, leżące tuż za nią Złote Piaski i Słoneczny Brzeg na południe od Warny, to miejscowości wypoczynkowe całkowicie wykończone, wykończone w szczególności, od urządzeń do zabawy na plażach, poprzez parki i zielonice na zboczach nabrażonych wzgórz, do kamiennych, często muryowanych okładzin na skarpach oddzielających szosę od ogrodów i winnic. Bułgarzy rozumieją, jak bardzo opłacalne są inwestycje turystyczne. Ich wysiłkom sprzyja bujna przy-

roda wybrzeża, co przecież nie zrodziło lekkomyślności w szafowaniu istniejącymi drzewami. Do starych drzew przynajmniej pod topór w pewnym miasteczku, zwanym niekiedy polskim Manchesterem! Jest w Złoty Piaskach tuż przy szosie publiczny szaleł w podziemiu. Z samego środka wiodących w dół schodów wyrasta wielkie drzewo i nikomu nie psuje architektonicznego zamysłu. I jeszcze inny przykład, kiedy budowano dom gry, zarazem hotel i restaurację — casino, pozostawiono drzewo... wewnątrz budynku i rośnie sobie za szklaną ścianą dużej, dwukondygnacyjnej sali restauracyjnej. Gdyby urbanisci łódzcy i pracownicy budownictwa zdawali sobie sprawę, jak wolno rośnie drzewo,

i jak jest cenne dla zdrowia i pięknego krajobrazu, zapewne znajdowałby również sposoby wkomponowania istniejących drzew w swoje projekty, zamiast je wycinać.

Dbałość o krajobraz, więcej — dbałość o kraj, widać w Bułgarii nie tylko na wybrzeżu. Tam gdzie nie turystyka a rolnictwo służy krajowi, podciąga się winnice i pola kukurydzy pod same skały i strone zbocza. A jeśli powierzchnia zbyt mała, by sadzić winną latorość, sadzą zagajnik i odnosi się wrażenie, że Bułgar ani jednego metrowi kwadratowemu ziemi nie przepuści. Każde najmniejsze poletko musi dać turystycznemu dolarowi, garść kukurydzy, winne grono lub sosnę. Urlop jesienią bywa pouczający.

NIE BYŁO NIE MA INIE BĘDZIE WCAŁEJ GALILEI

Staliśmy z Pomykalskim przed wejściem do kina, bo wybraliśmy się na amerykańską komedię „Kasia Ballou” o temacie z Dzikiego Zachodu, gawędziliśmy o różnych sprawach, wreszcie utkneliśmy na temacie miłości własnych śmieci. W pewnej chwili Pomykalski zerknął na wiszącą w gablotce fotografię aktorki francuskiej, Michelle Morgan, i jego oczy pościemniały z gniewu.

— Lubię sobie podrwić z własnej osoby — rzekł on wybaluszając ślupia na to zdjęcie i poczesując sobie wasy szczoteczką do zębów — lubię sobie nawet dobrze pobimbać. Tego nie potrafi żaden maniak chory na punkcie miłości własnej ważności. Lubię jednak, gdy sam drwie z siebie, nie ktoś ze mnie podrwiwa... Kiedyś, proszę ja pana, panie święty, a było to w Łódzkiej kinoteatrze na filmie, w którym występowała aktorka, co ją widzi w tej gablotce obok wejścia...

— Michalina Morgan — rzekłem. — Chociaż nie napisane, to wiem jak się nazywa. Michalina Morgan, czyli Michelle Morgan. Wyborna aktorka. Oryginalna uroda.

— Otóż właśnie ona. Grała wtedy rolę ślepej.

— Grała ją w samej rzeczy. Pamiętam. Był to film „Symfonia pastorałna”, według Andre Gide'a. Grano ten film w kinie Polonia. Było to przed laty... W tej ślepej zakochał się na zabój grzeszny pastor, zaś ona znowuż zakochała się ze swej strony w synu tego pastora. A potem wskoczyła do przerebli, bo się jej w miłości nie powiodło.

— W rzeczy samej tak było... Otóż siedzę w tym kinie, ciekaw, komu też z nog tak niepospolicie zajeżdża, gdy o spoza kapelusza siedzącej przede mną damy... Ale jakże to był kapelusz? Było to chyba w roku 1946... Nie był to kapelusz, ale po prostu — cyklistówka; cyklistówka trzykrotnie przejechana przez



tramwaj, zapewne znaleziona na śmietniku — i ozdobiona kogucim, niby bączkiem piórkim. — Tu pan Pomykalski obsadził papierosa w cygarniczkę, czyli jak mówią w Łodzi: „dulawce”, i ciągnął dalej:

— Siedzę więc w tym kinie, gdy oto spoza kapelusza tej damy wysuwa się zakazana, przyszcząta gęba Kaszeńskiego i z tej gęby syczą, w moją stronę skierowane, jego słowa: — Aaa, kogóż my tu nie widzimy? Pana Pomykalskiego!... A to znaczy się pan centus nie w swojej Krynicy z powrotem, nie w Monte Carlo, lecz ciągle w Łodzi, bo tu pachnie.

— Pachnie — odpowiadam — pachnie z Widzewa, aż trzeba nos zatykać. A ja gdzie mam być? W pana Głównie za stajennego, u flakra, u pana ciotki w Smorągoni za chłopca do pociągania linki z niedźwiedziami? W Ozorkowie u pańskiego stryja albo wui papierosnika?... W Białkach, w Pipidówku, czyli też Kłaju?

Kaszeński poskrobał się za uchem, bo mu gracko dobodłem. Zaczął poruszać wargami jakby sobie urabiał w ustach smarowidło do dalszego objężdżania mnie. Ale go wyręczył w podrywaniu kto inny. Jakaś pani w dzianej czapeczce i różowych tenisówkach.

— Napchało się do Łodzi różnego talatajstwa — rzekła ona patrząc z niechęcią w stronę mej osoby. — Wyszarpują łodzianom sprzed nosa najsmaczniejsze kaski, targają nimi jak pies flakiem, przetrzymują je pod swym nochem i jeszcze do tego warczą! Jakby to Łódź była jejich paralia, nie naszal A ty, łodzianinie, oberwańcze, stoją ciągle na tej samej szajśli!... A co kogo zapytać gdzie co dawniej było, jaki sklep. Gdzie na przykład „Piątkowski” albo „kolonialny” Ignatowicza, gdzie „Zynderman”, gdzie „Szezyng”, to nikt tego nie wie... Zapamiętaj jak w Warszawie, gdzie nikt nie wie, co jak się nazywa. Jakby dopiero co czterema parami wołów przyjechał. A idy w ciortu, centusiul! Po coś tu przyjechał? Ryby łowić w mętnej wodzie?

Do głosu kobiety dołączył się siedzący parę krzesel dalej kinoman:

— Ulica świętego Andrzeja, to dla nich Andrzeja Struga, pani Kociołkowa. Kolonia Biskupia, to osiedle. A zamiast powiedzieć, że nim „ciepie” albo go „wku-rza”, to powie, że go sztag tralia... Jaki szlak, pytam się ciebie, przybłodo? Szlak kolejowy czy na sukni?... A znowu inny skubaniec, pewnie wilniak ze Zmudzi, powie w sklepie niby do siebie „Bu anie wszystkie dabra aliw”... Prasy mnie daccz kilka konserw”. A inna znowuż diablaca wenecka z Sambora, centusica, ciort z nią skąd ona jest — powie: „Proszę bombonów za czterdzieście złotych. I pół bułki za trzydzieście groszy. I rozmałości, po ichniemu, a po naszymu: mieszaniny. Ale nie tłustej, bo to dla pieska, a ja chudej nie mogę.” A kto inny znowuż poprosi o dwie bułki prasnego albo światłego chleba... Istna wieża Babel, pani Kociołkowa, ta nasza Łódź... Zamiast powiedzieć: „rozrabiaka”, to powie: „rozrabiacz, baciarz”, albo: „batiar”... A idźże skądś przyszedł, gawancki luju, centusiul! Iry twoja był!

Słowa tego kinomana wznęciły w naszym rejonie pod płachtą burzę śmiechu.

Ponieważ ślepa już się przygotowywała, żeby się utopić pod lodem i nastąpiła pełna grozy cisza, a potem tużma się urwała i światło zgasło, ktoś na pierwszych miejscach wykrzyknął: „Nie zatrzasną swych mord kumaryńskie muzyki, jak Boga tego kocham. Ręka się operatorowi zapewne strzęsła ze złości.

Bardzo mi się wtedy smutno zrobiło, panie kolego... Dlatego smutno, że tak jedni drugich za nic mają, a wszystko

co najgorsze to na obcych; że ten owemu od przybłędów wymyśla, a wina zawsze po stronie przybyszów; że pamięć rozdarcia kraju jeszcze w ludziach nie zgasła. A najbardziej mnie jęrzyło, że w tych czasach miało się odbyć spotkanie z Zosią Nalkowską przy ulicy Piotrkowskiej, na którym mieli wystąpić inni znani powieściopisarze i poeci. No, coś szczęściu ich, czy siedmiu miało wystąpić. Ale jakich?... I to spotkanie nie odbyło się, bo żaden łodziak nie przyszedł... A wyklarzyło ogłosić w innych miastach, że jutro ma się odbyć spotkanie z palcem od rękawiczki autorki „Domu nad łkami”, „Charakterów”, na którym to spotkaniu będzie można także zobaczyć guziki od marynarek różnych znanych polskich autorów, a sałe by były wybite po brzegi... Więc gdy światła zapaliły się i znowu zgasły, aby po chwili znowu się zapalić i zgasnąć, i film zaczął dalej iść, podniosłem nogę, żeby ją przełożyć przez nóżki siedzącej obok damy — i wyjść z tej zapowietrzanej sali — i splunąć na tych łódzkich parafian, malomiasteczkowych wielkomieszczan. Ale dama pociągnęła mnie za połę piaszeczki i przygłębła do mego ucha.

— Nie bądź taki obraźliwi, kochany — szepnęła. — Oni wszystkie są po tych



Troszeczkę bowiem miała zęza. Ale takiego powabnego, że należałoby życzyć wszystkim polskim kobietom, żeby go miały. Takiego on jej ten „kiks” dodawał lajara.

Albowiem, panie kolego, żebyśmy, panie święty, nie wiem jak chcieli pisać na Łódź: że jest ciemna i brudna; że jeszcze czuć ją zaborem i brutalnością, to najpiękniejsze klejnoty jej korony to — łódzkie kobiety.

Zapewne wskutek ciągłego mieszania się ludzi różnej maści i różnego pochodzenia powstał w tym mieście i ciągle się udoskonala, zwłaszcza po ostatnim przemianowaniu ludności i wzroście kultury kosmetycznej i konfekcyjnej, bo jest i taka panie kolego, powstała tu taka gama urody niewieściej, jakiej nie ma w żadnym innym polskim mieście. Ale wchodzić! Ludzi w poczekalni nie widać, pewnie weszli.

— Prawde pan mówi, panie Pomykalski — rzekłem popychając mego rozmówcę ku wejściu, bo chciał się zatrzymać, aby z bliska przyjrzeć się fotografii Michelle Morgan. — Takiej skali uród kobiecych jak w Łodzi nie było, nie ma — i nigdy już chyba nie będzie w całej naszej zakochanej Galilei... Ale też takiej przebiegłości kobiecej i pazerności, jak w tym mieście, nigdzie pan nie uświadczysz, żebyś nawet pękł! Wystarczy stanąć w byle ścisisku sklepowym, aby się o tym przekonać.

— Wiadomo — mruknął Pomykalski oddając bilet bileterowi. — Łódź! Drugie pod względem wielkości miasto w Polsce. I pierwsze w Europie!... Bo nigdzie nie było akademii złodziejskiej, a tu w Łodzi, przed wojną, była... No, ale z tego zbyt wiele nie wynika. Bo w Smorągoni była Akademia dla Niedźwiedzi, a to nie dowodzi, że te piękna okolice zamieszkiwały wyłącznie niedźwiedzie.



samych piniondźkach i dobre na chrześkie bioty. Dokuczają ci od centusiów, a wsty stkie są albo z powiatu, albo innych województw... One wszystkie by stąd uciekły, gdyby tylko mieli dokąd. A każdy patryjotę łódzkiego z siebie robi, póki proił z tego ma!... Stądaj, nie nie mów — i patrz! Zie ci przy mnie nie będzie. Ja Galileę, centusku, dobrze znam. Byłam w Krakowie na wysiedleniu. Wiem gdzie Emaus, Rękawka, gdzie Sikornik, Krowodrza — tu na dowód szczerości swych słów uszczyplęła mnie w łydkę, potem w ucho.

Potem jedną ręką przygarnęła do siebie swego przyjaciela w gimnastycznej koszulce, drugą — wionniejszą, jako nawiązkę za mój ból moralny i poniżenie mnie niby jako „centusia, dała mi do trzymania.

Wreszcie takiego do mnie nabrała zaufania, że jak w Szwecji i Danii, gdzie podobno już nie ma złodziei, oddała mi torebkę z pieniędzmi do potrzymania.

Nie przeliczywszy nawet, czy jej czego nie brakło, odebrała ją po filmie, wyjaśniając, że jej przyjaciel to jej kuzyn — i podała mi nawet swój adres. Potem odeszła szeleszcząc przepiękną taltową sukienką i raz po raz puszczając w stronę mej osoby „kiks”. Czyli mówiąc nie po naszymu: zezika.



WYZNANIE

Ta kawiarnia nie cieszyła się dobrą sławą. Spotykali się w niej drobni handlarze walutą, kombinatory, narkomani i dziewczyny o ustalonych cenach. Toteż niechętnie uległem namowom Jana by właśnie w „Lunie” wyjaśnić do końca nasze drażliwe i mocno zakłócone sprawy. Jan był starszy ode mnie, a przy tym jego poślizgi i sucha twarz nadała mu wygląd schorowanego staruszka. Krótki siwy język, uczernione wasy, starannie wygolone policzki i nienaganne ubranie czyniły go podobnym do emerytowanego profesora gimnazjum. Byliśmy obaj przekonani co do tego, że tę sprawę należy wyjaśnić do końca. Pozostawienie status quo było absurdem. A sprawa nie była blaha!

Znałem Jana od lat. Opiekował się mną jeszcze w szkole, przychodząc od czasu do czasu do internatu.

Ale zbliżenie nastąpiło jakieś pięć lat temu, kiedy po raz pierwszy zaproszono mnie do udziału w dorocznej wystawie sztuki współczesnej. Pamiętam, że zadziwiły mnie wówczas ogromne plötna w stylu wczesnego Cezanne'a, a przy tym inne, przesycone ekspresją, ruchem. Opublikowałem nawet niewielką recenzję w jednym z dzienników. Potem w klubie ZPAP przy kawie Jan wypowiedział wiele ciepłych słów na temat mojej grafiki. Tak zaczęło się nasze zbliżenie i wielka przyjaźń. Mimo znacznej różnicy wieku zaczęliśmy sobie mówić po imieniu, odwiedzaliśmy kilkakrotnie Jana w jego pracowni, urządzaliśmy wspólne wystawy, nawet wspólnie projektowaliśmy elewację budynku nowego Domu Technika w Turzewie, zwiedziliśmy Paryż, Lizbonę i Moskwę. Jan okazywał wiele troski o moje sprawy, dzięki swym stosunkom pomagał mi urządzić wystawę, organizował konferencje prasowe. Był przyjacielski, troskliwy, uczynny. Któregoś lata zaprosił mnie do domu, o którym wspominał niechętnie, jakby ten bardzo intymny temat, zawierał przykre dla niego wspomnienia. Wiedziałem, że jest żonaty, że żona jest piękna i trochę ekscentryczna, ale on nigdy nie mówił o niej, unikał tego tematu, kierował rozmowę na zupełnie inne sprawy. Ze swojej pierwszej wizyty zapamiętałem tylko oczy kobiety i jej rozsypane czarne włosy. Potem zjawiała się twarz. Zaczęłam malować jej portrety, obsesyjnie pojawiały się na moich kartonach twarze kobiet o niesamowitym spojrzeniu. Wiedziałem, że to miłość i starannie ukrywałem ją przed sobą. Bałem się tego uczucia i zacząłem unikać spotkań z Ireną. Ale gdy przez miesiąc nie zjawili się w mieszkaniu Jana, Irena przyszła sama. Tak się zaczęła ta nieprawdopodobna przygoda, której postanowiliśmy wreszcie dać zakończenie.

W kawiarni powitano nas wrogo lecz z ciekawością, widocznie nie pasowaliśmy do jej stałych bywalców. W szatni zdejmując płaszcze, zrezygnowaliśmy z usług garbatego rudzielca, który wręczając numerki szeptał:

— Może adres dwóch samotnych intelektualistek? Wobec tego służę aktualnymi kursami dolara i funta...

Ale my, zajęci swoją sprawą, szybko odeszliśmy w stronę stolika i zanim zjawiała się kelnerka o nachalnych i wyzywających oczach, Jan powiedział:

— Decyduj.

— Dwie kawy — nie patrzyłem na kelnerkę, a odchylając się na oparcie fotela powiedziałem do Jana — Przepraszam, to ty musisz zdecydować Irena jest twoją żoną i do ciebie należy pierwszy strzał. Tak jest w kodeksie honorowym.

Jan siedział z zamkniętymi oczami, zacisnąwszy złozone na stoliku ręce.

— Sprawa jest prosta — mówiłem — Popeniłem wobec ciebie przestępstwo, ale to było silniejsze ode mnie. Przecież znasz Irenę!

— Znam — w głosie Jana zabrzmiała rezygnacja.

— Nie mogłem z nią walczyć. Sam wiesz: siebie pokonałem od razu, jeszcze wtedy u ciebie, w domu mówiłem ci przecież, ale jej nie dałem rady. Przegrałem. Masz prawo mna gardzić, napiuć mi w twarz, bo ja wiem zresztą co zrobić, ale nie mogę się od niej uwolnić. Rozumiesz Jan, ja ją kocham!

— Ja także — powiedział i otworzył nieobecne, dalekie i obce oczy. Zrozumiałem, że w tym momencie rozmawia z Ireną.

— Ale nie możemy kultywować tego trójosobowego związku, przecież to absurd.

Nachalna kelnerka postawiła dwie kawy i pochyłona nad stolikiem zaczęła pisać rachunek. W wyciętym dekolcie leżały dwie okrągłe, duże piersi. Przez chwilę spoglądaliśmy na nie i widzieliśmy Irenę.

Często zastanawiałem się, skąd ta troska Jana o

TERESA WOJCIECHOWSKA

Nie ma brzydkich zwierząt

Mówi stara legenda, że w noc wilgijną zwierzęta ludzkim głosem gadają i udzielają ludziom mądrych rad. Ale nie wszystkim, tylko człowiek dobry może dostąpić tego zaszczytu, by usłyszał głos bydlatka. Więc wolałam nie ryzykować. Lepiej spojrzeć się ze zwierzętami w porze kiedy rozmawiają tylko ze sobą, językiem dla nas niezrozumiałym. Zrezygnowałam na spotkanie ze zwierzętami każda pora jest dobra. Bo ludzie lubią zwierzęta. Pewno dlatego, że są od nich mądrzejsi, silniejsi nawet jeśli to nie jest siła fizyczna. Zwierzęta są nam posłuszne. Myślę, że one wyrównują w naszym bilansie uciołowym te straty, które wyrządzą inni ludzie — egościwczy, interesowni, niewierni. Zwierzęta za miłą jeźdźnia, dobre słowo, trochę przeczoty jest przyjacielem wernym, takim który nigdy nie zdradzi.

Pewno dlatego możemy nie mieć najwierniejszej żony, najlepszego męża, najinteligentniejszych dzieci, ale zawsze mamy najpiękniejszego psa, najmądrzejszego kota, najbardziej śniwającego kanarka. Obliczyłam pobieżnie, że pracownicy naszej redakcji mają najpiękniejsze i najmądrzejsze na świecie: trzy psy, dwa koty i 25 rybek w akwarium. Oczywiście moim kolegom tylko się tak wydało. Nawarwie najpiękniejszego na świecie dwa żółwie mam tylko ja.

CZY ZOO TO WIĘZIENIE?

Dawno nie byłam w łódzkim ZOO, chyba kilkanaście lat. Dlatego, choć mój listopadowy deszczyk, choć piękny leśny teren ogrodu usłany był żółkimi liśćmi, a pagie konary drzew oczekiwały skłisną mżawką, dziwiłam się zmianom jakie tu zaszły, zagospodarowaniu terenu. Przyjęli mnie gościnnie przedstawiciele grona pracowników naukowych ZOO — mgr Elżbieta Słusarska i mgr Stefan Posmyk. Opowiadali o pracach badawczych i naukowych, o nowych nabytkach i tegorocznym przychówku. A kiedy skrzywiłam się nieco na wspomnienie nietoperza, który po raz pierwszy tu zawitał, pan Posmyk powiedział z pobłażliwym uśmiechem: nie ma brzydkich zwierząt. Każde jest w swoim rodzaju piękne, inne.

W trakcie tej rozmowy po raz pierwszy, wstyd powiedzieć, uświadomiłam sobie, że ogród zoologiczny, to nie tylko przechowalnia zwierząt ku ucieście publiczności, to placówka naukowa, w której można przeprowadzać doświadczenia, o których w warunkach naturalnych nie mogłoby być mowy. Na przykład prowadzone od wielu lat badania nad ciężarem ciała noworodków ssaków kopytnych. Albo słynne już szeroko eksperymenty z niedźwiedziami. Warto o nich powiedzieć coś bliższego, bo to zupełna nowość w świecie zoologicznym.

CZY KARWIK BĘDZIE MIAŁ WNUKI?

Przed trzynastu laty łódzki Ogród Zoologiczny zakupił w ZSRR białego niedźwiedzia-Karwika. Ponieważ łódzka biała niedźwiedzica była już leciwa i nie było mowy o małżeństwie w tej parze, małego przybysza umieszczono w jednej klatce z rówieśnicą, brunatną niedźwiedziczką Kają. Zrobiono to z dwóch powodów. Pierwszym był fakt, że zwierzęta chowane samotnie nabierają złych narowów, nudzą się, źle jedzą, drepczą nerwowo po tych samych torach. Drugim powodem były plany naukowo-badawcze — próba skrzyżowania niedźwiedzi, które należą nie tylko do innego gatunku, ale i do innego rodzaju. W warunkach naturalnych byłoby to absolutnie niemożliwe. Oba gatunki niedźwiedzi żyją na innych przestrzeniach, w innych warunkach, poza tym białe niedźwiedzi na wolności jest niebezpieczny i o skojarzeniu dwóch dorosłych osobników: białego i brunatnego nie ma mowy, nawet gdyby się spotkały.

Niedźwiadki zaprzyjaźniły się, dorosły i z tego mieszanego małżeństwa uzyskano w 1961 roku potomstwo: dwie samiczki: Rosę i Rafę. Jedna miała więcej cech matki, lubiła chodzić po drzewach, unikała wody, druga wdała się w ojca — kąpała się chętnie, na drzewa nie wchodziła. Jedną z nich skrzyżowano z Karwikiem. Z tego małżeństwa uzyskano dwa niedźwiadki, jeden był biały, drugi mleczno-kawowy. Od tego czasu przychodzi co roku na świat potomstwo, którego ojcem jest wciąż Karwik. Łódzkim zoologom chodzi między innymi o to, by uży-



skazać z mieszanych przodków białe niedźwiedzie. Co o tym myślą genetycy nie wiem, ale zoologowie próbują, to ich prawo. Nadchodzi moment dla badań naukowych bardzo doniosły. Czas skrzyżowania mieszanego potomstwa między sobą. Jeśli się to uda — obalona zostanie teoria, że potomstwo mieszane jest nieplodne. Są to prace całkiem właściwie nowatorskie, dotychczas bowiem w światowej historii zoologii odnotowano kilka tylko przypadków krzyżowania niedźwiedzi białych z brunatnymi, ale tylko w jednym pokoleniu.

JULIETTE GRECO WIE CO ROBI

W jesienny, słotny dzień wybiegli są prawie opustoszałe, zwierzęta chowają się przed deszczem, tylko niektóre tę aurę lubią. Rzecz dziwna — chłód odpowiada parze młodych gepardów, tegorocznego nabytku ZOO. Rozłożyły się na trawie, wyciągając przed siebie długie łapy. Na nasz widok podnoszą głowy i nastawiają uszu. To nie z sympatii, po prostu zbliża się pora obiadowa. Zrobiły się czujne, obiad jest atrakcyjnym punktem porządku dziennego.

Te dwa piękne, smukłe cętlowane koty były przyczyną wielu niepokojów. Jest to pierwsza para gepardów w Polsce. Zakupione zostały w Gelsenkirchen, gdzie przebywały przez rok, przedtem żyły, na wolności. Jak przyjmą nasz klimat, nasze warunki, oto było pytanie. A potem następnym problem — jak zachowają się po raz pierwszy na wybiegu. Zabezpieczywszy teren przed ewentualnymi niespodziankami, wypuszczono zwierzęta pod okiem kamery filmowej. Obešlo się bez niespodzianek. Gepardy zwie dziły zafaszerowany im teren, szukały wyjścia, ale pogodziły się z tym, że prowadzi ono do klatki.

Gepardy były dawniej używane do polowań na antylopy. Są najszybsze ze ssaków. Mają szybki zryw, ale są krótkodystansowcami. Mimo groźnego wyglądu dają się łatwo oswojać. Ekscentryczne aktorki, dawniej Greta Garbo, ostatnio Juliette Greco, wiedzą co robią prowadząc na smyczy właśnie gepardy. Jest to bardzo efektywne i stosunkowo mało niebezpieczne.

W Łodzi już się zdomowily, a inauguracja ich pobytu została uczczona konferencją, na którą przyjechali przedstawiciele innych ogrodów zoologicznych w Polsce. Łódzkie gepardy obudziły duże zainteresowanie zoologów, a szczególnie fakt, że trzymane są w warunkach naturalnych, to znaczy na wybiegu.

TEGO NIE LUBIĄ TYGRYSY

Ten wybieg jest dumą łódzkiego ZOO. W tym roku zbudowano nowy, piękny, można rzec luksusowy pawilon dla lwów, tygrysów i gepardów. Położony jest na hektarowej przestrzeni, podzielonej na oddzielne wybiegi dla poszczególnych gatunków. Ten wspólny dom z ogrodem za-

mieszkują jeszcze dwie weteranki — Iwice, Kasia i Marynka (jakkże krótki jest wiek kotów: Kasię 10 lat temu karmiono z butelki, Marynkę 12 lat temu wykarmiła suczka, dziś obie są już staruszkami). One, wychowane w klatce, nie potrafią już ocenić dobrodziejstwa swobody, którą otrzymały zbyt późno. Przyzwyczajone do czterech okratowanych ścian klatki, chodzą po ziemi jak księżniczki po grochu, zatraciły też wrodzoną lwom dalekowzroczność, nie umieją oce-



niać odległości. Na przyszły rok planuje się kupienie młodych lwów, staruszki odbędą swą emeryturę w warunkach, w jakich im wygodniej.

I jeszcze trzy piękne okazy kociej rodziny. Tygrysy syberyjskie, a raczej trzy panny tygrysice, zakupione w tym roku, młode, a już ogromne, potężne. Zwabione porą obiadową wchodzą do swych pomieszczeń, gdzie otrzymują posiłki. Zostały oszukane, podrzucano im dorsze, żeby przyszyły mi się pokazać. Czego nie lubią tygrysy? Właśnie dorszy. Wycho-dzą obrażone na powietrze. Im też nie straszne zimno. Nic dziwnego, w takim futrze!

Te tygrysy są przedmiotem dodatkowej dumy. Pani Słusarska mówi: pół tygrysa kupiliśmy z własnych zarobków. Jak to się stało? Żeby wyjaśnić, trzeba się przenieść do ptaków.

EMU — OJCIEC KARMIĄCY

Choć australijskie strusie emu na wolności nie tworzą trwałych par małżeńskich, łódzka para jest wyjątkowo dobrana. Od dwóch lat rozmazają się udanym potomstwem, co w warunkach ogrodu zoologicznego jest zjawiskiem raczej niezwykłym. W zeszłym roku wyległa się parka, którą sprzedano ogrodom w Gdańsku. Dolary przeznaczone na kupno emu Gdańsk przekazał Łodzi i to właśnie starczyło na pół tygrysa.

Małżeństwo emu jest tak zasłużone, że należy się mu jeszcze kilka słów. W tym roku spisało się jeszcze lepiej, wychowało cztery pisklety. Znowu będzie można sprzedać część przychówku. Małe w tej chwili oddzielone od rodziców, znajdują się w zamkniętym pomieszczeniu, starym deszcz nie przeszkadza. Pani emu zdenerwowana biega wzdłuż siatki, wydając z gardła przedziwne głuche, rytmiczne dudnienie. Czujne, że jest brzydko obmawiana. A ja właśnie w tej chwili dowiaduję się, że w tym stadle ojciec buduje gniazdo, ojciec wysiaduje jajka (trwa to 64 dni) i przez pół roku wychowuje dzieci. Matkę trzeba oddzielić od potomstwa, bo wyjada małym co lepsze kaski. Ojciec zawsze czeka aż się dzieci najedzą.

Zwyczajnie ptaków są w ogóle ciekawe. Istnieje ptak zwany dzioborożcem. Kiedy samiczka składa jajka, samiec zamurrowuje ją w dziupli zostawiając otwór, przez który podaje jej pokarm. Dopiero gdy pisklęta wylegną się, ojciec otwiera dziuplę i uwalnia swych więźniów. Jeśli w czasie wysiadki jaj przez samicę samiec zginie, jego funkcję przejmuje inny, obcy dzioborożec.

MAKS ABDYKOWAŁ

Słynną łódzką rodzinę pawianów zastajemy przy obiedzie. Pomieszczenie wygląda jak polowa kuchnia podczas przygotowywania zupy jarzynowej. Podłoga zasypana kawałkami marchwi, cebuli, selerów. Malpy wyrrywają sobie co lepsze kaski, kłocą się, hałasują. Nie mogę powiedzieć, bym osobiście przepadała za pawianami. Ale ponieważ nie ma brzydkich zwierząt, więc staram się patrzeć na nie z sympatią. Podobno zwierzęta czują emanujące od ludzi uczucia. Coś w moim

wzroku musi być nie tak, bo mały pawianek podbiega do siatki i zaczyna mi strasznie wymyślać. Krzyczy, wymachuje łapami, szczyrzy zęby. Potem biegnie do ojca na skargę. Tarmosi go, coś opowiada. Stary podchodzi do siatki, ogląda nas uważnie, bada sytuację. Widzisz, dałeś się napuścić — mówi pani Słusarska. Zdaje się, że on też tak ocenił sytuację, bo odszedł bez słowa. Ale mały nie dał za wygraną. Wrócił do siatki i zrobił nam histeryczną awanturę.

Kiedy ostatnio odwiedzałam ZOO Maks był królem stada. Teraz jego miejsce zajął syn, Agapit. Autorytet Maksu spadł do zera. Zachowuje mu wierność jeszcze kilka starych żon, ale reszta stada należy już do Agapita. Teraz on pierwszy je posiłki, rozstrzyga spory, likwiduje bójkę, karci dziatwę, dla której jest zresztą bardziej wyrozumiały niż dla żon, on pilnuje porządku. W tym pozornie chaotycznym malpim stadzie, rozkrzyczanym, rozbieranym, rządzą określone prawa, panuje porządek. A swoją drogą pomyśleć, że starożytni Egipcjanie oddawali pawianom cześć boską...

Inne gatunki małp mieszczą się w dalszym pawilonie. Po awanturze, jaką mi urządził młody pawian, mogę powiedzieć bez skrępowań — są ładniejsze. Wdzięczne małe kapucynki podobne do niedźwiadków, koczkodany brazza z białą bródką i paseczkiem futerka nad brwiami wyglądają jak gwiazdkowi Mikołaje. Większy nieco mandrill ma kolorową mordkę rzeźbioną jak maska indiańska. Trzasnawszy drzwiami właśnie wyszedł na powietrze dokumentując swą alienację w tym mieszanym towarzystwie. Długoręki gibbon o pięknym beżowym futerku kontemplanuje jakąś szparę w podłodze. Koczkodan sowiogłowy ma błękitnoniebieskie futro na wewnętrznej stronie ud i zawsze zdziwionie pytające spojrzenie. Sprawia to biały pas biegnący przez głowę, który upodabnia go nieco do sowy, który upodabnia go nieco do sowy.

NIEMY ŚWIAT

W budynku zwanym Akwarium panuje cisza. Przerzywa ją uroczyste cykanie świerszczy umieszczonych tu jakby specjalnie, by nie było zbyt cicho. Mieszkańcy akwarium są na ogół niemi. Różne rodzaje ryb w akwariach, gady, płazy w terrariach przeżywają w ograniczonych pomieszczeniach wieczne lato. Olbrzymi aligator drzemie nad wodą, pozornie nie zwracając uwagi na to co się dokłada dzieje. Ale niech by ktoś spróbował wejść do jego pomieszczenia!

Mnie specjalnie interesują żółwie. Mam żal do świata, że tak mało poświęca uwaga ci coraz bardziej u nas zdomowionym zwierzętom. Dopiero ostatnio Związek Radziecki uhonorował je wysyłając na Sondaż-5 w przestrzeń kosmiczną. Dużo tu żółwi. Ludzie zmudzeni bułgarskimi i jugosłowiańskimi zdobyciami odnoszą je do



ZOO. O, widzi pani, z tym to jedna pani spała przez 18 lat — opowiada mi ktoś z personelu. To ja jednak mam za mało uczucia dla moich — budzą się we mnie wyrzuty sumienia. A przecież moje są najładniejsze, przekonana jestem o tym ostatecznie. Ale niech śpią dalej w liściach.

ZOO można zwiedzać godzinami. Ale najlepiej kiedy każdy to robi sam. Roczna liczba zwiedzających jest łodzian oscyluje wokół 433 tysięcy. To podobno nie-dużo. A przecież obcowanie ze zwierzętami kształci. Czasem nawet uszlachetnia. Nie wiem czy udało mi się to udowodnić w niniejszym artykule.

Kiedy opuszczałam Ogród wśród nasilającego się deszczu, żegnało mnie łagodne, smutne i pytające spojrzenie białego daniela. Zapewne chodziło mu o obiad, którego jeszcze nie dostał, a'e mnie się wydawało, że chce mi powiedzieć: prawda, że wszystkie jesteśmy ładne?



MARIAN PIECHAL

Marian Piechal urodził się w r. 1905, pierwszy wiersz wydrukował w r. 1924, a pierwszy zbiór poezyjki pod znanym tytułem „Kryk z miasta” ogłosił w r. 1929. Już ten pierwszy zbiór wierszy zwrócił uwagę na młodego poetę, który wystąpił jako twórca artystycznie i społecznie dojrzały. Potem przyszły dalsze książki poezyjki: „Elegie calopalne” (1931), „Garsć popiotu” (1932), „Srebrna waga” (1938) a z prac krytycznych i eseistycznych: „Rozmowy o pacyfizmie” (1930), „Aniol i Jakub” (1935) oraz „O Norwidzie” (1937). Warto tu zwrócić szczególną uwagę na „Garsć popiotu”, poemat poświęcony ratowaniu skarbów kultury w płonącym pałacu Dzikowskim przez chłopów. Obecnie poemat ten wznowiony będzie przez oficynę Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie. Po wojnie Marian Piechal nie zawiesił liry na kolku. Napisał rzeczy różne i dobre. A więc „Wybór poezji” (1952), wzbogacony o wiersze okupacyjne i powojenne, osobno tomiki „Nowa wiosna” (1954), „Ognie” (1957), „Miasto nadziei” (1964), „Punkt oparcia” (1965), oraz dwa wybory: „Wiersze” (1958) i „Miara ostateczna” (1965). Ale to nie wszystko. Trzeba wymienić jeszcze dwa zbiory satyr: „Diabeł za skórą” (1959) i „Malpy w kąpielni” (1961), wiersze dla dzieci „Raj na ziemi” (1947), komedię sceniczną „Konkury” (1955), graną w Teatrze Ziemi Łódzkiej i Teatrze Kozalińskim. Sylwetka artystyczna i społeczna Mariana Piechala nie byłaby pełna, gdybyśmy nie wspomnieli, że w okresie międzywojennym był on organizatorem życia literackiego w Łodzi, należał do grupy literackiej „Meteor” i „Kwadruga”, redagował czasopisma „Prąd”, a następnie „Odnówę”. Po wywołaniu pracował jako kierownik literacki Rozgłośni Polskiego Radia, był członkiem kolejnych zespołów redakcyjnych w „Łodzi Literackiej”, „Kroniki” i „Odgłosów”. Od szeregu lat Marian Piechal stoi na czele zarządu Związku Literatów Polskich w Łodzi, redaguje kwartalnik „Odnowa”, sprawuje kierownictwo literackie w Teatrze im. Jędrzeja, za zasługi na polu literatury otrzymał nagrodę miasta Łodzi. Rok 1968 przyniósł Marianowi Piechalowi państwową nagrodę literacką za całokształt twórczości. W tymże roku powołano go na stanowisko zastępcy redaktora naczelnego w miesięczniku „Poezja”. Widzimy więc, że jest to życie czynne i bogate, twórczość obfita i różnorodna, działalność szeroka i owocna. Słowem: Marian Piechal, człowiek roku 1968.



WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Jest pisarzem. To określa właściwie wszystko. Dodajmy jednak: jest pisarzem lubianym, cenionym przez czytelników. „Polonez Świętokrzyski”, książka o Kielecczyźnie, jego rodzinnej ziemi, przyniosła mu sympatię kraju i laury w międzywydawniczym konkursie. Ze względu na wysokie walory ideowe stała się nawet bez mała obowiązkową lekturą wojska.

Jego piarstwu patronuje idea spuścizna Zeromskiego. Aktualnie pracuje nad powieścią mocno osadzoną w tej tradycji. Zwierza się, że z realizacją tą nosił się już od dawna, ale obawiał się przystąpić do niej zbyt pośpiesznie. Wiedział zresztą, że od niej nie odejdzie. Traktuje bowiem tę książkę jako moralny obowiązek, jako dług wobec ludzi, którzy od dzieciństwa nauczyli go brzmienia słowa ojczyzna. Zużytkuje w niej dzieje pułku, którego jest synem, pułku zabląkanego kiedyś w manowcach historii ale słynnego z tego, że wychował wielu ludzi lewicy. Służyli w nim przecież ludzie tacy jak Broniewski, Orkan czy generał Berling. W powieści tej opowie o losach rodziny z pokolenia na pokolenie zaangażowanej w walce o niepodległość i sprawiedliwość społeczną. Trzy daty zwrotne w dziejach Polski, rok 1905, 1914—18, 1939—45 są niejako metrykami bohaterów książki: dziadka, ojca i wnuka.

Ukończył już inną powieść, „Sprawy”, która aktualnie znajduje się w druku. Mówi ona Jacy jesteśmy wobec siebie, odpowiada na najprostsz, ale wiecznle żywe pytanie. Jest to jego dziesiąta książka, a więc coś na kształt maleńkiego piarskiego jubileuszu. Już to jest dobrym pretekstem, aby zaproponować Wiesławowi Jażdżyńskiemu na łódzkiego człowieka roku, pretekstem tym lepszym, że w jubileuszu tym liczą się nie lata, ale realizacje piarskie, ważkie realizacje.

Od niedawna ceniony piarsz stał się jednocześnie wydawcą, dyrektorem w Wydawnictwie Łódzkim. Zabrał się do tej pracy z energią. W ciągu krótkiego czasu łódzka oficyna wydawnicza rozrosła się o nowe działy: literaturę dziecięcą i młodzieżową, sięgnęła po przekłady, eseistykę, krytykę literacką, zabiega o wydawanie klasyków. Innymi słowy zaczęła się liczyć z możliwościami i potrzebami łódzkiego środowiska literackiego. I co zabrzmi może nieprawdopodobnie zdobyła się na stawki, jakie do tej pory mogły sobie zafundować tylko wydawnictwa centralne.

Dobrze się więc stało, że wydawnictwem kieruje wreszcie piarsz, który potrzeby środowisk twórczych doskonale rozumie i docenia.



ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968



JERZY KRAWCZYK

Historia, o której chcemy opowiedzieć wydarzyła się wiosną tego roku. Jerzy Krawczyk pracował wówczas jako kierownik Spółdziel-

ni Fryzjerskiej „Postęp” przy ul. Zeromskiego 43. Klientka, którą właśnie skończył czesać, chciała jeszcze umyć ręce. Zdejła zegarek i położyła go na konsoli. I jak to często w takich wypadkach bywa, zapomniała o nim. Na szczęście, podczas rozmowy z inną, czekającą na uczesanie panią, zwierzyła się, że jest nauczycielką języka rosyjskiego w szkole na Karolewie. Pan Krawczyk nie namyślał się długo, co w tej sytuacji robić. Nie czekając, aż klientka zgłosi się po zgubę do zakładu, sam odszukał ją w szkole i

wręczył zegarek. Było to już na drugi dzień z samego rana. Radość i dziwienie rozstagnionej nauczycielki było ogromne. Młody człowiek nie chciał przyjąć nagrody, wobec tego napisał do redakcji „Głosu Robotniczego” list z podziękowaniem i prośbą, aby go opublikować.

Może ktoś powiedzieć, że nie ma właściwie o czym pisać, że to zupełnie zwyczajna rzecz, bo rzeczy znalezione należy właścicielom oddawać, a w tym wypadku, klientka zakładu na pewno przypominałaby

sobie, że właśnie tam zostawiła zegarek. — To nie była żadna uczciwość, to po prostu obowiązek — mówi Jerzy Krawczyk. I z pewnością jest to racja. Tyle, że nie mamy znowu zbyt wielu okazji do spotkań z tak pojętym obowiązkiem. W nawale spraw wielkich i ważnych, w natłoku spraw własnych, często przywykliśmy nie reagować na to, co nie nas dotyczy. Coraz mniej uwagi poświęcamy sprawom zwyczajnym i małym, w których życiowość dla ludzi odgrywa największą rolę. Zyczliwość, która powinna być wizytówką każdego,

ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968 ● ŁODZIANIE 1968

IRENA DRYLL

Wybraliśmy ją nie tylko dlatego, że jest laureatką naszego konkursu „Młodzi Polacy lat 60-ych”. Także z innych powodów, o których niżej.

Jest dziennikarką dopiero od dziesięciu lat, choć sama mówi, że to już dziesięć. Studia dziennikarskie ukończyła na Uniwersytecie Warszawskim i po uzyskaniu magisterium zaczęła pracę w „Dzienniku Łódzkim”, gdzie pracuje do dziś. W dwa lata po podjęciu pracy zawodowej rozpoczęła następne studia: socjologię na Uniwersytecie Łódzkim. I to stacjonarne, bo zaoczną socjologię nie prowadzono. Nie przerywając pracy zawodowej, pełniąc obowiązki rodzinne. To był na pewno wielki wysiłek i tym większa satysfakcja z piątki za pracę magisterską. Ceni ją sobie tym bardziej, że to piątka od prof. Szczepańskiego, którego uwielbia za mądrość, wiedzę i talent pedagogiczny. Jej specjalizacją jest socjologia przemysłu. Mówi, że to wspólna dziedzina.

— Gdyby to były moje pierwsze studia, na pewno zostałabym na uczelni. Ale dziennikarstwo jest jak nalóg. Kiedy się raz zaczęło nie sposób się potem z tego wyleczyć — powiada.

Więc Inka pozostała wierna swoim dwóm namiętnościom: dziennikarstwu i socjologii. Pracuje w redakcji, w dalszym ciągu chodzi na seminaria prof. Szczepańskiego. Nawyk uczenia się? Nie tylko.

— To brzmi może paradoksalnie — mówi — ale socjologia dała mi więcej dla zawodu niż studia dziennikarskie. Pokazała człowieka w procesie produkcji. Fabryka przestała być dla mnie zbiorowiskiem maszyn, ożyła, a stosunki produkcji stały się interesujące.

Jest kierownikiem działu społeczno-ekonomicznego w „Dzienniku” i swe zainteresowania koncentruje na tematyce przemysłowej, głównie na stosunkach międzyludzkich w zakładzie pracy. Lata 1967—68 przyniosły jej satysfakcję w postaci nagród. Przede wszystkim tę najcenniejszą — im. Juliana Bruna, która jest dla polskiego dziennikarza dużym wyróżnieniem. Potem kilkakrotnie nagrody CRZZ, kilkakrotnie — Zw. Włókniarzy, a ostatnio „Odgłosów”. Te nagrody honorują nie tylko jej pracę zawodową. Poczucie sprawiedliwości, wrażliwość na ludzką krzywdę, odwaga podejmowania walki o słuszną sprawę, te podstawowe cechy jej charakteru sprawiają, że jest nie tylko utalentowanym dziennikarzem, ale i społecznikiem. Sprawy, o których pisze, angażują ją osobiście. Zawsze znajdzie jakąś robotnicę, sąsiadkę, znajomą znajomej, której trzeba pomóc, zając się jej sprawą.

Nic dziwnego, że cztero i pół-letnia Agnieszka co dzień rano pyta mamę: „Kiedy wrócisz”? A potem prosi: „Czy mogę przyjść do ciebie i zobaczyć jak przerabiasz artykuły”? Inka uważa, że dziecko ma rację. Prof. Szczepański twierdzi, że dziennikarze to przezuwacze cnych myśli.



HALINA KRYSIŃSKA

Jest lekarzem dzieci. Piękne, ale jednocześnie jakże trudne i odpowiedzialne zajęcie. Denerwujące urocne dyzury, gdzie liczą się minuty i sekundy, sekundy przede wszystkim. Kruszyńny, o wykrzywionych bólem ustach, nie potrafią się nawet skarżyć. Te dzieci mają tylko oczy, Ufne oczy.

Kiedy doktor Krysińska osiem lat temu ukończyła Akademię Medyczną w Łodzi bez wahania postanowiła specjalizować się w pediatrii. Uprzymiła sobie nagłe, że właściwie zawsze nosiła się z tą myślą. Ale w szpitalu przeraził ją ogrom odpowiedzialności: lekarz dzieci tak często musi prowadzić wyścig ze śmiercią. Bala się samodzielnych dyzurów, kiedy w trudnych, decydujących chwilach nie mogła już liczyć na pomoc bardziej doświadczonych kolegów. Ale jednocześnie ta walka o życie dzieci, walka, w której lekarz najczęściej jednak zwyciężył, dawała ogromną satysfakcję. Pamięta z tamtych lat szczególnie ciężki przypadek: maleńkie, wyniszczone dziecko, z zaawansowanym zapaleniem płuc. Zdawało się, że pacjent nie przeżyje nocy. Była to noc czuwania, nieustannych interwencji. Kolejne noce: Kiedy wreszcie zdrowe już dziecko wypisywała ze szpitala i oddawała uśmiechniętym rodzicom, w pełni dzieliła ich radość: jak matka, bo sama jest matką i jak lekarz, który pomógł, który nadludzkim wysiłkiem zwyciężył chorobę, wyrwał dziecko śmierci.



Od pięciu lat dr Krysińska pracuje w Szpitalu im. Korczaka, w szpitalu, który nosi imię człowieka oddanego dzieciom bez reszty. Pracuje tu zespół szczególnie ofiarnych lekarzy, z ogromną wiedzą, z wielkim doświadczeniem. Dr Krysińska nawiązała do dobrych, szlachetnych tradycji tego szpitala: jak wcześniej kilku innych lekarzy zdecydowała się przetrzeć swoją krew maleńkiemu pacjentowi. Trzymiesięczny Piotruś mimo intensywnego leczenia bez cienia poprawy walczył ze śmiercią na oddziale obserwacyjno-zakaźnym. I nagle nastąpiła poprawa, pełne wyzdrowienie. Krew, którą ofiarowała dziecku, pomogła.

Dziś Piotruś, rumiany i wesoły, ma 9 miesięcy. Niedawno jego rodzice zjawili się w szpitalu Korczaka i wręczyli dr Krysińskiej zdjęcie roześmianego bobasa: na pamiątkę.

Pytam: — Dużo pani doktor ma takich dzieci? Dr Krysińska uśmiecha się. Ma sporo takich wdzięcznych pacjentów. Telefonują, przysyłają pocztówki z wakacji. Do szpitala już nie wracają.



HENRYK DEBICH

Sopot już po raz drugi, przedtem było Opole i Zielona Góra — Henryk Debich i jego orkiestra stali się już niemal „etatowymi festiwalowcami”. Nas łodzian cieszy

to szczególnie, bo wiadomo, że stolica niechętnie godzi się na awans prowincji.

O karierze dyrygenta zdecydowały studia. Henryk Debich ukończył klasę teorii kompozycji i dyrygentury u prof. Wodiczki i prof. Klesewettera. Potem, jako uzupełnienie, wyjazd na stypendium do NRF, gdzie miał doskonałą okazję do poznania pracy wielu dyrygenckich sław. Sam dyrygować zaczął bardzo wcześnie. Kiedy miał 16 lat musiał zastąpić ojca w rozgłośni, która wtedy mieściła się jeszcze przy ulicy Radwańskiej. Potem, po wojnie, objął prowadzenie redakcji muzyki rozrywkowej w łódzkim radio, a w 1949 roku zaczął organizować orkiestrę radiową. Mieliśmy ją już w 1950 roku. Potem był cały szereg występów, kolejne sukcesy, wreszcie orkiestra Debicha została mianowana Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji. A sam dyrygent? Mówi o sobie znacznie mniej; festiwal w Ostendzie, nagrania i koncerty w Moskwie, stała współpraca z orkiestrami w Berlinie, Brnie, Brukseli, prowadzenie orkiestr filharmonicznych w kraju, aktualnie — przygotowywanie operetki „Księż-

niczka Czardasza” dla Telewizji Warszawskiej i Telewizyjna Giełda Piosenki. I zaraz szybko dodaje, że łódzka orkiestra będzie miała dużą piętę w edycji krajowej i zagranicznej.

Zainteresowania muzyczne Debich ceni sobie przede wszystkim dobrą muzykę, stąd jego „ciągoty” w stronę utworów klasycznych, na których się przecieży wychowywał. Stąd w programach, obok pozycji typowo rozrywkowych — Bach, Vivaldi, Gounod, Schubert.

Marzenia dyrygenta? — Oczywiście, jeszcze większe osiągnięcia orkiestry, nowe studio z salą koncertową dla potrzeb telewizji i nowoczesna aparatura do nagrań. A przede wszystkim, żeby energii, siły i zdrowia starczyło, by reszta przychodziła jakoś sama. Już w tej chwili pan Henryk ma nakreślony plan pracy do końca przyszłego roku i martwi się, jak tu jeszcze wykrócić trochę czasu dla wymienienia fachowych uwag z jedenastoletnim synem, który idąc w ślady taty, również uczy się muzyki, a nawet dyrygował już raz szkolnym chórem.

HELENA LANCKORZYŃSKA

Zaśpiewałbyśmy pani Helenie Lanckorzyńskiej „sto lat”, ale byłoby to wielkim nietaktem z naszej strony, gdyż p. Helena w ubiegłym roku, 9 maja, właśnie sto lat skończyła. Jest to ogrom czasu — jeden wiek z kart naszej historii. Nasuwają się tutaj miłe a zarazem przykre refleksje. Wiele wspomnień, prawie trzy pokolenia. To wszystko zawarte w zmarszczkach wyrytych przez czas na twarzy staruszki.

Czy nasza łódzka stuletnia jest niedołączona? Na taki wiek, to chyba nie! Mimo, że słabo słyszy i nie wychodzi z domu, lubi wspominać, opowiada ciekawie i długo.



Pani Lanckorzyńska urodziła się we wsi Działo koło Strykowa. Ma trzech synów, z których jeden nie żyje, 7 wnuków i 3 prawnuków. Mieszka od 10 roku życia w Łodzi. Pracowała w wielu łódzkich zakładach włókienniczych jako gremplarka. Zyczymy więc naszej babci drugiej setki lat życia.

ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968



STEFAN JUST

Stefan Just jest znanym w Łodzi malarzem, niedawno obchodził 35-lecie swojej twórczości i z tej okazji na wystawie w Ośrodku Propagandy Sztuki zaprezentował bogaty dorobek. To co maluje od tylu już lat jest autentyczną, niefałszowaną sztuką, jest malarstwem lirycznym, o ludziach i przyrodzie, która ich otacza — malarstwem dla ludzi. Studiował w warszawskiej ASP pod okiem takich artystów, jak Tichy, Pruszkowski („nauczył mnie światło-cienia” — mówi p. Stefan), Skoczylas. „A od Kowarskiego nauczyłem się koloru” — dodaje. Właśnie ten kolor, pyszny, szlachetny w tonacjach i zmianach tak bardzo jest dla malarstwa Stefana Justa charakterystyczny.

Wystawiał w „Zachęcie” i Instytucie Propagandy Sztuki jeszcze w roku 1936, potem było wiele wystaw i galerii których zliczyć nie sposób. Ale twórczość to tylko jedna, choć najpełniejsza, strona życia Stefana Justa. Przez całe lata uczył rysunku — najpierw w szkołach warszawskich, potem, od 1945 roku w łódzkich. Wielu jego uczniów to dziś uznani malarze — Jerzy Cwiertnia, Rafał Pomorski, wielu obecnych architektów u niego uczyło się pierwszych zasad perspektywy i kompozycji. To także twórczość, to także pozostawienie swojego „śladu na drogach” — na drogach innych, młodych ludzi.

Albo jeszcze wcześniej — tuż po wyzwoleniu Stefan Just wędrował po ziemi łódzkiej z etnografami, malował stare, zachowane jeszcze stroje regionalne, ocalał od zapomnienia w swoich akwarelowych szkicach, być może ostatnie ślady kultury materialnej. Chłopi chętnie pozwolili w swoich ludowych przyodziewkach, ale czasem i narzekali: „Teki jeden z aparatem — mówili — to ino mig i było gotowe. A pan to tak na długo każe nam się ustawiać”...

Albo malarstwo pozostało jego największą pasją. Tworzy dużo, choć jest bardzo w stosunku do siebie wymagający. Choć ma za sobą setki obrazów wciąż szuka lepszych, pełniejszych środków wyrazu... „W każdym temacie malarskim — mówi — jest zawsze wśród wielu wariantów, ten jedyny, najlepszy. Tylko trzeba go znaleźć”. Więc wciąż szuka — lecz nie wpada w kręte i mamiące uliczki formalizmu. Maluje dla ludzi i maluje tak jak mu każe jego sumienie artysty. Jest wierny sobie.

BARBARA NIEMCZYK

Pani Barbara znana jest dobrze łódzkiej publiczności sportowej. Reprezentowała w tym roku nasz kraj na Olimpiadzie w Meksyku, gdzie siatkarki polskie zdobyły brązowy medal. Siatkownicę zaczęła uprawiać już w szkole, następnie przeszła do zespołu ligowego KS „Start”. Warto przy tej okazji wspomnieć, że ówczesna żeńska „Startu” zdobyła w tym roku mistrzostwo Polski w siatkówce.

Pani Barbara jest równocześnie od trzech lat zawodniczką kadry narodowej. Ma za sobą udział w 95 spotkaniach międzypaństwowych. Ambitna, wszechstronna, zdyscyplinowana jest wzorem sportsmenki dużej klasy. Rodowita łodzianka, z zawodu nauczycielka, utalentowana zawodniczka — zawsze godnie reprezentuje na boiskach sportową Łódź. Tegoroczny udział w Igrzyskach Olimpijskich był uwiekowieniem jej dziesięcioletniej kariery sportowej. Za wybitne osiągnięcia sportowe otrzymała Srebrny Krzyż Zasługi i wiele innych odznaczeń. Miejmy nadzieję, że w dalszym ciągu będzie rozwijać swój sportowy talent i nie zawiedzie łódzkich kibiców na... następnej Olimpiadzie.

Zyczymy jej tego z całego serca. Olimpiada jest przecież największą przygodą życiową dla sportowca, najwyższym wyróżnieniem.

— Uczestnictwo w Igrzyskach Olimpijskich było dla mnie wielkim i niezapomnianym przeżyciem — oświadczyła pani Barbara. Meksyk jest krajem pięknym, barwnym, a jego mieszkańcy nadzwyczaj miłi i gościnni, kibice zaś wyjątkowo taktowni choć z południowym temperamentem. Oglądałam również w Meksyku corridę, widowisko niestety nie podobalo mi się. Taka publiczna rzeź zwierząt przeraża mnie. Albo coś, co kraj to obyczaj.



ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968 • ŁODZIANIE 1968

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI



— Siedemnaście lat pracy w szeregach Milicji Obywatelskiej, to sporo. Ogromne doświadczenie, wiele wspomnień tych miłych i przykrych — opowiada o swojej pracy sierż. Zygmunt Wojciechowski. Do milicji wstąpiłem z zamiłowaniem. Poprzednio pracowałem jako robotnik w fabryce pilników. W końcu zostałem pracownikiem Komendy Miejskiej MO Baluty.

Sierżant Wojciechowski wykrył wielu przestępców w swojej długoletniej pracy — czuwa nad porządkiem i naszym bezpieczeństwem.

19 marca br. uratował z płomieni dwoje małych dzieci. Pełniąc służbę wraz ze swoim kolegą z ORMO zauważył ulatniający się dym z okna w budynku przy ul. Wojska Polskiego. Drzwi do mieszkania zastał zamknięte. Bez namysłu je wyważył. Zza drzwi buchnęły kłęby dymu. Sierżant Wojciechowski po omacku zaczął w pomieszczeniach szukać dzieci. Po chwili wyniósł z dymu 5-letniego Piotrusia i 3-letnią Mariolke. To zdarzenie spośród wielu w swej pracy wspomina z dumą i zadowoleniem, bo sam jest ojcem czwórki dzieci.

Konkurs — plebiscyt

Tradycyjnie już, bo rozpoczęliśmy naszą akcję parę lat temu, publikujemy w numerze świątecznym sylwetki łodzian, którzy według skromnego rozeznania redakcji, wyróżnili się w ciągu mijającego roku. Mikroportrety te złożą się już mogły na obszerny sztabuch, na pamiątkową kronikę miasta, bo miasto, to przede wszystkim ludzie, którzy w nim mieszkają, ich kłopoty i radości, ich kłeski i ich sukcesy.

Chcielibyśmy jednak wyciągnąć z tej akcji jeszcze dodatkowe korzyści. Przecież portrety te odbijają jakiegoś wzorce postaw zasługujące na szerszą popularność. Są to często wartości społeczne, obok których nie można przejść obojętnie.

Z tą świadomością postanowiliśmy po raz pierwszy przeprowadzić Plebiscyt Czytelnicy na Łodzianina Roku, aby w głosowaniu ustalić kandydata, który najbardziej zasługuje na ten zaszczytny tytuł. Zapropionowane tutaj portrety prosimy traktować jedynie jako materiały pomocnicze z ogromną przyjemnością rozszerzymy je nieopólną przecieży listę łodzian, którzy swoją pracą, swoją postawą zasłużyli na podobne wyróżnienie.

W głosowaniu może wziąć udział każdy, kto w przeciągu miesiąca, a więc do dn. 31.1.1969, nadesłanie do „Odgłosów” list z podaniem nazwiska kandydata na Łodzianina Roku wraz z uzasadnieniem. Szczególnie starannie prosimy uzasadnić kandydatury spoza zapropionowanej przez nas listy.

Kandydat, który otrzyma w plebiscycie największą ilość głosów otrzyma od nas dyplom honorowy wraz z pamiątkową plakietką: Łodzianin Roku 1968.

Na Czytelników, którzy wezmą udział w głosowaniu, czekają nagrody. Trzy najciekawsze listy wyróżnimy nagrodami rzeczowymi: inne listy, które opublikujemy w „Odgłosach” nagrodzimy upominkami w postaci książek.

Wyniki naszego konkursu-plebiscytu ogłosimy 1 marca 1969, w kolejnym rocznicę powstania naszego tygodnika. Wybranemu przez Czytelników Łodzianinowi Roku poświęcimy jednocześnie obszerny reportaż. Listy nie podpisane i bez adresu nadawcy nie będą nagradzane.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Mroźna była paryska noc z 25 na 26 stycznia 1855 roku. Termometry wskazywały 18 stopni poniżej zera. Wiatr wiał i padał śnieg. O godzinie 3 nad ranem z małego hoteliku, nie cieszącego się zbyt dobrą sławą, przy ulicy Vieille-Lanterne wyszli chłopiec i dziewczyna. Przeszli zaledwie kilka kroków, gdy dziewczyna ujrzała wśród śnieżnej zamieci nie ruchomą postać mężczyzny w ciemnym płaszczu i popielatym cylindrze. Człowiek ów stał nieruchomo, jakby przyklejony do zakratowanego, parterowego okna. — Co on tu robi? — spytała dziewczyna. — Chyba zamarł — dodała. Gdy zbliżyli się do dziwnej postaci ujrzała, że mężczyzna wisi na chuście z surowego płótna, zwiniętej na kształt sznura i zaczepionej o jeden z poprzecznych prętów kraty. Chłopiec i dziewczyna w śmiertelnym przerażeniu zaczęli stukać w najbliższe drzwi i okna. W chwilę potem zjawili się zaspiani ludzie. Odcięto wisielca. Powieszony zdradzał jeszcze oznaki życia. Wkrótce zjawił się lekarz i policja. Niestety wszelkie próby odtworzenia zawieszono zawiodły. W kieszeni płaszcza znaleziono dwa sous i jakieś zapisane kartki. Okazało się potem, że o wym mężczyzną był Gérard Lebrunne, jeden z najbardziej interesujących poetów dziewiętnastego wieku, podpisujący się Gérard de Nerval. Do dziś nie wiemy czy w tę styczniową noc Gérard de Nerval powiesił się sam w przystępie obłędu czy też padł ofiarą rzeźmieszków.

Gérard Lebrunne, poeta, nowelista, dramaturg, przekładowca, urodził się w roku 1808 w Paryżu w rodzinie lekarza wojskowego, oficera armii napoleońskiej. Ponieważ wcześniej umiera mu matka, chłopca wychowuje dziadek w Mortefontaine koło Ermenonville. W roku 1815, gdy Gérard ma lat siedem, mieszka już z ojcem w Paryżu. Później uczęszcza do liceum Karola Wielkiego, gdzie zaprzyjaźnia się z przyszłym wybitnym poetą Teofilem Gautier. Gdy Gérard ma lat kilkanaście spędza wakacje na wsi u swego wujka de Montagny. Bierze wtedy udział w ludowej zabawie w lasku Valois. Dziewczęta przystrojone w girlandy kwiatów jadą na umajonym wozie, ciągniętym przez woły. Potem trwa zabawa, tańce, śmiech dziewcząt, śpiewy. Gérard, jak to przewidywała jedna z figur tańca, całuje swą partnerkę, śliczną Adrienne w policzek. Jasne, kręcone loki dziewczyny muskają delikatnie jego twarz. Później dziewczyna śpiewa starą, francuską romansowaną o smutnej miłości. Gérard patrzy na dziewczynę, z zachwytem i słucha jej śpiewu. Gdy dziewczyna kończy pieśń, chłopiec zrywa dwie gałązki lauru i przewiązawszy je kolorową wstążką kładzie na głowie dziewczyny. Ona zaś ucieka zażenowana. Gérard nie zobaczy jej już nigdy więcej, choć będzie ją szukał przez całe życie. Adrienne wstąpiła do klasztoru, ale Gérard nie chce w to uwierzyć. W kilka lat potem spotka w Mortefontaine wędrowną trupę aktorów. Patrzy ze zdumieniem na aktorkę. To Adrienne. Prowadzi ją do starego, opuszczonego zamku. Błaga aktorkę, aby przypomniała sobie, że tu już była kiedyś z nim razem i że zna dobrze zakamarki starej budowli. „Nigdy tu nie byłam” — od-

powiada tamta. „W tym starym domu muszą być szczury” — mówi z przerażeniem. Boi się pajaków i niezdrowego płomienia w oczach chłopca. „Uciekajmy! Uciekajmy!” — błaga. „Uciekajmy!” — tłumaczy, że nigdy tu nie była i że nie jest Adrienne. Po latach, gdy Gérard pozna śpiewaczkę Jenny Colon, znów będzie twierdził, że to jest właśnie jego dawna ukochana Adrienne. I będzie ją nazywał Adrienne i kochał się w niej jakby była tamtą, wyidealizowaną, nierzeczywistą, wysnioną.

Na razie uczy się w liceum. Interesuje się literaturą, zwłaszcza poezją. Mając

z tych wojaży obszerny materiał pisarski. Zapiski z podróży ukazują się w druku w latach 1840 do 1850. W rok potem zostają zebrane i opublikowane drukarni w ostatecznej już formie. Mamy możliwość zapoznać się z ich obszernym wyborem dzięki wydanej przez „Czytelnika” w zeszłym roku książce Nerval pt. „Podróż na Wschód” w tłumaczeniu Jadwigi Dmochowskiej. Dzisiaj te zapiski nazwalibyśmy zbiorem reportaży i to reportaży znakomitych. Choć Nerval dał nam obraz zwiedzanych krajów sprzed ponad stu lat, a więc wiele spraw, oby-

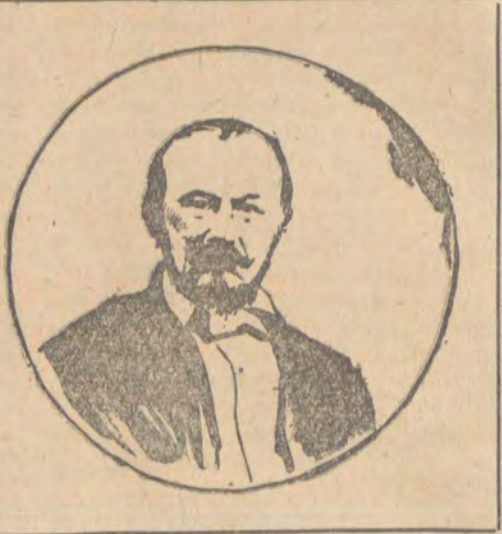
miłość do kobiety realnej i z rzeczywistego świata. Krąży teraz nocą ulicami Paryża biedny i wygłodzony Gérard de Nerval, z kieszeniami wypchanymi rękopisami swych utworów, a gdy spotykają go przypadkiem przyjaciele, rozmawia z nimi normalnie, by nagle zapaść w dziwny stan marzenia jakby uciekał od rzeczywistego świata, po czym znów wraca z krainy swych dziwacznych wizji. Kilkakrotnie leczony w klinice doktora Blanchet'a wychodzi za każdym razem pozorowanie zdrowy, a wkrótce znowu popada w obłęd.

Miał lat 48, gdy w nocy z 25 na 26 stycznia 1855 roku zawędrował na ulicę Vieille-Lanterne. Stukał do drzwi nędznego hoteliku. Ukazała się głowa zaspanej właścicielki. „Nie ma już miejsc” — burknęła stara i zatrzasnęła przed przybyszem drzwi. Wkrótce potem dziewczyna i chłopiec odnaleźli go wiszącego na kracie okna. A kartki zapisane papieru, jakie znaleziono w kieszeniach jego płaszcza, były rękopisem jednego z rozdziałów najlepszego chyba opowiadania pt. „Aurelia”, opowiadania które poprzedniego dnia ukazało się w druku.

Niezbyt serio traktowany przez współczesnych, co najwyżej jako doskonały prozak, Gérard de Nerval w naszym stuleciu stał się inspiracją dla takich poetów jak Apollinaire, Aragon, Eluard. Zwróciła uwagę surrealiści widzieli w nim prekursora nadrealizmu, poetę drążącego stany podświadomości i snów.

O coraz większym zainteresowaniu twórczością Nervalu świadczy m. in. fakt, że dwa lata temu telewizja francuska nadała interesujące, z baletem i wstawkami filmowymi, widowisko oparte na tekstach „Córki ognia”, a ostatnio zostaje wydawany nie tylko sam Nerval, lecz także najnowsze o nim opracowania i studia. I tak np. Jean Senelier w świeżo wydanej książce pisze o nieznanym dotąd badaczom Nervalu jego miłości do aktorki Esther de Bongars, w której Nerval kochał się w latach 1838 i 1839, a więc już po utracie Jenny Colon.

A MOŻE BY TAK O NERVALU?



dziewiętnastu lat pisze poematy sławiące Francję i Napoleona. Gdy ma lat dwa-dzieścia zyskuje uznanie dzięki doskonałemu tłumaczeniu pierwszej części „Fausta” Goethego. Później tłumaczył będzie innych autorów niemieckich Schillera i Klopstocka, Hoffmana i Heinego. Po ukończeniu liceum studiuje medycynę. Jakis czas więziony jest za wyrażanie poglądów republikańskich. Zaprzyjaźnia się z paryskimi poetami i dziennikarzami. Spędza z nimi czas na zabawach i dyskusjach. Pewnego dnia spaceruje ulicami Paryża z oswojonym — jak twierdził — homarem na smyczy. Zdumionym przyjaciółm odpowiada: „Homary są spokojne i nie szczekają”. W tym to czasie pisze kilka poematów politycznych. Kocha się w śpiewaczce Jenny Colon, której postać jako Adrienne przejawia się przez niemal całą twórczość poetycką Nervalu. Pisze dla ukochanej powieść w odcinkach, drukowaną w jednym z czasopism paryskich. Żyje stale w biedzie, spotyka się z przyjacielami.

Nagle otrzymuje spadek po dziadku. Planuje podróż. W owym czasie następuje pierwszy atak obłędu. Choroba psychiczna zaczyna atakować umysł Nervalu. Mimo to podróżuje. Najpierw po Włoszech z Teofilem Gautier, potem po Niemczech z Aleksandrem Dumas. Znacznie później odkryto, że prawdopodobnie Nerval wypełniał podczas tych podróży tajne misje państwowe. Potem następują dalsze podróże: na Bliski Wschód, do Egiptu, krajów Lewantu, Persji i Turcji. Przywozi

czajów i zagadnień należy do zamierzonej przeszłości, jego książkę i dziś czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. Bo Gérard de Nerval umiał widzieć, słyszeć, wyciągać wnioski i malować soczyste, tętniące życiem, barwne w szczegółach obrazy zwiedzanych krajów, wnikać w treść obyczajów, zagłębiać się w mroczne tajemnice religii Wschodu, badać stare kultury i mity. Po powrocie pisze i ogłasza m. in. krótkie opowiadania fantastyczne, studia o osiemnastowiecznych przedstawicielach irracjonalizmu pt. „Iluminaciści” i wreszcie „Córki ognia”, zbiór opowiadań autobiograficznych, których poszczególne tytuły mają imiona kobiece takie jak Sylwia, Aurelia, Oktawia, Emilia. Do opowiadań autor dołączył cykl wspaniałych sonetów pt. „Chimery”, które napisał przebywając w klinice doktora Blanchet'a, bowiem od lat już kilku rozwijająca się choroba psychiczna coraz głębiej wżera się w umysł i nerwy poety. Porzucony przez ukochaną, Jenny Colon, która wyszła za mąż za muzyka, Nerval zostaje jeszcze bardziej zdruzgotany psychicznie wieścią o śmierci Adrienne, tej kobiety o której nigdy nie zapomniał, która była zawsze wizją z pogranicza snu i jawy, rzeczywistości i marzenia. Miewa halucynacje.

Jak odbijała się ta wizja niedościgłej kochanki w umyśle i odczuciu Nervalu możemy prześledzić głównie w jego opowiadaniu „Sylwia”, opowiadaniu o miłości irracjonalnej do kobiety-zjawy, kobiecie marzenia, dla której bohater porzuca



Notatnik kulinarny

BARSZCZ WIGILIJNY

Słowo o wigiliu a raczej o wigilijnym stole. Tradycja mówi o 12 potrawach. Ale to było bardzo dawno i chociaż podobno prawda, to jednak my „późno wnikli” nie mamy już takich apetytów. Krakowskim targiem zgódzimy się na siedem potraw, na czole których barszcz wigilijny, chłuba staropolskiej kuchni. Jest to potrawa co się zowie historyczna — najstarszy przepis pochodzi z XVI wieku. Przyrządzało się go na naturalnym buraczanym kwasie. „Pragnienie po przepiciu usmierza — chwalił go w wieku XVI kronikarz Syrenius — także i surowy kwaszony, w gorączkach pić ją bywa dobry”. Popularna to była potrawa sigoro tyle powstało o niej przepisów. Na przykład: „Gdzie jest barszcz, kapusta — tam chłaba niepusta”. A w ogóle to często traktowano go jak lekarstwo. Gloger pisze w swej Encyklopedii, że sam pamięła iż „wszyscy cierpiący na ból gardła, otrzymywali pićkanie z kwasu burakowego, co dziwnie wszystkim pomagało”.

USZKA

Gdzie barszcz, tam i uszka. Czyniłyśmy pierożki z farszu grzybowego, przysmażonego z cebulą z dodatkiem tartej bułki i surowego jajka. Żadna filozofia, ale roboty przy tym sporo — mało która pani domu chce się dziś tym ba-

mut, potem zalać ułożoną na półmisku rybą... Uh... Na tym koniec. Czytelniczki pewno się zdziwią. Mało kto bowiem zna ten staropolski przepis. O ile wiem to najbardziej znaną polską potrawą z ryby jest karp — po żydowsku.

PIERNIKI

Pierniki to cały rozdział staropolskiej kuchni. Ale tamto pierniki niewiele miały wspólnego z dzisiejszymi. Nie były bowiem słodkie — sama nazwa przecież pochodzi od... ostrej, korzennej przyprawy. „Pierniki podawano — pisze Gloger — jako zakąskę przy wódce, jako wety po obiedzie i zwykły przysmak przy winie. Cukru i lukru nie dodawano nigdy do pierników polskich”. Tak, tak — prawdziwe polskie pierniki wcale nie były słodkie. A jednak stanowiły przysmak nie lada. Oto co mówi przysłowie z wieku XVII: „najlepsze rzeczy w Polsce — gdańska gorzałka, toruński piernik, krakowska panna i warszawski trzewik”. Okrutny jest czas — dziś najlepsze trzewiki są z Nowego Targu, pierniki niewiele różnią się od zwykłych herbatników, a panny... gdzie są panny z tamtych lat?

SZYNKĄ

Szynką potrawą wigilijną — zakrzyknęcie. No cóż, wigilijną, na pewno nie, ale świąteczną na pewno. Każda gospodyni, przygotowując „ucieczki stołu” na święta o szynce myśli, bez względu czy to Wielkanoc, Boże Narodzenie czy i Maja. A więc szynka czyli zespół mięsni tylnej nogi świni. Ow „zespół mięsni” to także chłuba staropolskiej kuchni. Dawniej zresztą szczególnie preferowano szynki z dzików oraz — dziś legendarne tylko — szynki niedźwiedzie. Można z szynki

przyrządzić wiele gorących dań mięsnych, ale najbardziej popularna jest jej wersja wędzona, krajana w cienkie plastry czyli tzw. dawniej szynka litewska. Tak, tak — to co mamy na naszych świątecznych półmiskach — to właśnie szynka litewska. A to co spotykamy (rzadko) w sklepach, w czterywonych puszkach z napisem „Krakus-Polish Ham” jest gotowaną odmianą szynki litewskiej. Szynka ta jest chlubą naszego eksportu — najlepsza z chrzanem pod inną chlubę eksportu w opakowaniu szklanym. I w tym miejscu przejdźmy nam wypada do toastów.

TOASTY

„Podczas uczy — pisze kronikarz XVI wieku — lano piwo jak gdyby na młyński kamień”. Toasty jednak speł-

BIGOS

Kiedy święta się kończą i z resztkami mięsna trzeba coś sensownego zrobić — gospodynie bigos warzą. Nie taki jak drzewiej bywało — nie taki. Nie taki jaki nam pachnie z „Pana Tadeusza”, ani o jakim pisze znakomity kuchmistrz staropolski Cezary Biernacki. „Przyrządza się z kapusty kwaszonej z drobno pokrajanym mięsniem wolewem, ciętym, wleprzowem, klebasą, słonką w kostki pokrajaną i grzybami. Warząc wrzucano pieprz w całych ziarnkach a pieprzem tłuczonym posypywano na tatarzach”. Do bigosu dodawano jeszcze śliwki suszone, aby nabrał brązowego koloru. Dziś utulwiamy sobie zadanie... przecierem pomidorowym. Mickiewicz pisał: „W słowach wydać trudno, bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną (...) Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta, która wedle przysłowia sama idzie w usta; zamknięta w kotle, łonem wilgotnem okrywa wyszukanego cząstki najlepsze mięsna. I przy się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie sok żywny, aż z brzegów naczynia war przyśnie i powietrze dokoła zionie aromatem”.

JERZY WIDOK

MARIAN PIECHAL

Najlepsza książka roku

Ukazała się niezwykła edycja „Pism wybranych” Cypriana Norwida. W pięciu tomach znalazła się większość zważyfikowanych dotąd utworów autora „Promethidona”. Dokonał tego oczywiście Juliusz Wiktor Gomulicki, godny kontynuator eksploracji norwidowskich Miriama i metod egzegetycznych Wacława Borowego. Powiem nawet więcej — w dziele skolekcjonowania i skomentowania całości dorobku twórcy Norwida, prześwietlenia niejasnych momentów jego biografii i powiązań poprzez nią dzieła Norwida z jego epoką, to wprost unikalna i bez precedensu zasługa J. W. Gomulickiego i pod tym względem jako uczeń przeszedł on o wiele swoich mistrzów.

W tych pięciu tomach „Pism wybranych” nie znajdziemy całego Norwida, ale za to Norwida najistotniejszego, najbardziej klarownego. Nie dlatego, żeby w tych tomach nie było utworów bardziej trudnych i mniej zrozumiałych, ale że nie ma wśród nich ani jednego, który by nie był przez edytora właściwie odczytany i wkomponowany pod względem chronologii, treści i formy w zespół innych, stanowiących rodzajową lub myślową całość. Wybrane tu zostały tylko takie utwory, które nie budzą wątpliwości interpretacyjnych i które tłumaczą się logicznie w zestawieniu z innymi. To nie oznacza wcale, żeby nie miały wielu różnych odcieni myślowych, wielu różnych stron aluzyjnych i tak zwanych filozoficznych den, zależnych od różnych punktów odniesienia historycznego lub aktualnego. Utwory Norwida bowiem mają to do siebie, że im częściej je się czyta, tym więcej odkrywa się w nich znaczeń, że raz odkryta w nich myśl wciąż nas niepokoi i na zasadzie aluzyjnych skojarzeń rozrasta się w nas i mnoży i zmusza po prostu do czytania innych utworów, które te aluzyjne skojarzenia i domysły potwierdzają i rozwijają w nowe myśli i znaczenia. Ten niejako łańcuchowy charakter utworów Norwida jest jednym z ich zniewalających uroków, ale i po-

ważną przeszkodą w ich łatwej percepcji. Każą się zdobywać za cenę wysiłku intelektualnego, za cenę trudu, który się opłaci. Czytelnik odczuwa, że jest jakby współtwórcą utworu. Sądzę, że ta cecha utworów Norwida jest ich cechą najistotniejszą i najbardziej dzieł nowatorską. W tym leży ich prekursorska odkrywczość i wynalazczość, wynika z integralności etyki i estetyki twórczej ich autora. Tragizmą wymowy ma fakt, że ten autor tak bezwzględnie akcentujący absolutną zależność utworu od jego odbiorcy, tego jak gdyby współtwórcy wciąż pełniejszej i aktualizującej się przez niego treści utworu, był za życia prawie zupełnie pozbawiony czytelników, twórczość jego pozostawała bez echa, bez owego chóru, który by ją twórczo dopełniał, wzmacniał jej dalszy rozwój i rozrost, jak to się dzieje zazwyczaj w przypadku innych, nawet mniej wybitnych, niż Norwid, autorów.

Świadomość tego wszystkiego skłoniła J. W. Gomulickiego do zaopatrzenia każdego z pięciu tomów obszernymi komentarzami, słownikiem trudniejszych terminów, wyrazów i słoiczków rozumianych przez Norwida oraz antologią różnych opinii z różnych czasów, często także sprzecznych i kontrowersyjnych, o utworach Norwida. Pięć tomów zawiera pięć zasadniczych rodza-

ów literatury, uprawianych przez Norwida, a więc każdy z tomów w kolejności zawiera w sobie: lirykę, poematy, dramaty, prozę i listy. Z tych pięciu tomów rzeczy najmniej znane dotąd przyniosą dwa ostatnie — tom prozy i tom listów. Tom prozy jest najobszerniejszy i mieści w sobie bez mała cały dorobek prozatorski Norwida. Zaś tom listów starannie dobranych (trzysta spośród tysiąca) pod kątem jakby bezpośredniej autorytatywnych, wypowiedzi i komentarzy, dotyczących własnej twórczości i życia autora „Rzeczy o wolności słowa”.

Na osobną uwagę zasługuje obszerniejszy wstęp p.t. „Zjawisko: Norwid” i Calendarium Norwidowskie, otwierające pierwszy tom tej edycji „Pism wybranych” Norwida. W tym wstępie J.W. Gomulicki dokonał najpotrzebniejszej i zarazem najtrudniejszej rzeczy: zwięzłej i jasnej nad podziw inicjacji w zasadnicze problemy treści i formy prekursorskiej w znaczeniu europejskim twórczości Norwida. Przy czym najtrafniej zostały scharakteryzowane zarówno historyczny los jak i aktualna doniosłość tej twórczości. W całej dotychczasowej dość stosunkowo obfitej norwidologii nie widzę drugiej podobnie dogłębnej a treściwej syntezy życia i twórczości tego największego w

dziejach naszej literatury nowatora. Dlatego za bezwzględnie najwyższą pozycję wydawniczą w roku bieżącym uważam „Pisma wybrane” Cypriana Norwida, ze szczególnym plecytym edytorskim potraktowane przez Państwowy Instytut Wydawniczy, któremu z tego tytułu należy wyrazić osobne uznanie, zwłaszcza za ukazanie się wszystkich pięciu tomów w rekordowo krótkim, jak na obyczaje naszych wydawnictw, terminie. I jeszcze na jeden szczegół tego wydania należy zwrócić uwagę: wysokość nakładu, która wynosi 30.000! Nigdy jeszcze żadna publikacja norwidowska nie osiągnęła tak wysokiego nakładu. To też ma swoją znaczącą wymowę. Świadczy o wciąż wzrastającym tryumfie pośmiertnym wielkiego autora „Vade-mecum”.



EDWARD SZUSTER

Najlepsze przedstawienie 1968

Na wstępie kilka zastrzeżeń oczywistych może, ale w moim odczuciu niezbędnych. Nie mogłem — po pierwsze — zobaczyć w roku bieżącym wszystkich interesujących przedstawień, jestem więc w stanie mówić tylko o tych, które widziałem, choć może właśnie wśród tych nie widzianych znalazłbym owo najlepsze. Nie dysponuję tak — po drugie — zespołem przyrządów pomiarowych czy odczytników umożliwiających mi zachowanie pełnego obiektywizmu i wyważonej sprawiedli-

wości moich ocen i opinii; moje własne widzenie świata, moja — na pewno ograniczona — znajomość warsztatu teatralnego, moje upodobania i zainteresowania oraz inne równie subiektywne miary są moimi kryteriami oceny. W sumie to, co przedstawię niżej, jest wyłącznie propozycją a nie żadnym werdyktem. Po tym wstępie stwierdzam, że wybór najlepszego — dla mnie — przedstawienia kończącego się roku nie sprawia mi większych kłopotów a — przeciwnie — jest raczej oczywisty. Myślę o spektaklu, w którym wykonawca roli głównej, i zresztą, jedynie doskonały rzeczy niezwykłej: potrafił sam jeden, swoją tylko osobą i nie swoim tekstem trzymać w napięciu moją uwagę przez trzy prawie kwadranse. Ingresowało mnie to co mówił, a sposób podania tekstu, aktorska jego interpretacja wydawały mi się wręcz znakomite. Miałem okazję — nie ja jeden zresztą — dwukrotnie oglądać to przedstawienie i za każdym razem byłam równie zafascynowany. Nie wiem

czy to, co oglądałem, było manifestacją świadomego i dojrzałego kunsztu aktorskiego, czy też rezultatem szczęśliwego zbiegu okoliczności, w którym przyrodzone dyspozycje wykonawcy znakomicie harmonizowały z tekstem autora — jak by nie było każde słowo pisarza wydawało się być zrodzone w mózgu autora. Co więcej — każdy ruch, każdy gest, każdy grymas aktora wzbogacał i podbudowywał tekst. Myślę o przedstawieniu, które powstało w oparciu o znany i głośny, ale przecie publicystyczny a nie dramatyczny tekst. Sięgnąłem ponownie po ten tekst zaraz po obejrzeniu spektaklu i sądzę, że nie tylko nie stracił on nic w dramatycznej adaptacji, lecz nawet zyskał wiele dzięki skrótom i kompozycyjnym przesławieniom. Nie wiem jaki był udział autora książki w opracowaniu tekstu spektaklu i komu należy przypisać zasługę za stworzenie adaptacji; wiem natomiast, że była ona wybitna. Myślę o przedstawieniu, które miało tę ceną zaletę, że zmuszało widza do

refleksji bo wcale nie zakładało, że te co prezentuje jest bezwarunkowo słuszne i że tylko tak można przedstawić problem oceniać jak chcą tego realizatorzy spektaklu. Świadomie czy nieświadomie — to już, jak sądzę, nie ma zasadniczego znaczenia — prezentowali oni swój pogląd na sprawę nie unikając uproszczeń, nie przypisując sobie pełnej i doskonałej wiedzy. To jednak co mówili — mówili z pełną pasją, z prawdziwym zaangażowaniem i dzięki temu nie pozwalali widowni na obojętność. Myślę o spektaklu, który podjął problem wprost natarczywie zajmujący każdego z obywateli naszego kraju, zastanawiającego się nad przeszłością czy przyszłością swego narodu. A że nie ma wśród nas kogoś, kto od czasu do czasu nie myśli o tym czego doznaliśmy od hitlerowców, kto nie ma z nimi swoich własnych rachunków, kto nie próbuje ocenić czy upióry przeszłości mogą się odrodzić w nowej lecz równie groźnej postaci — dlatego twierdzę, że spektakl ten trafił w samo sed-

no powszechnych zainteresowań, każdy chyba z widzów odnalazł w nim coś własnego. „Raport z Monachium” — telewizyjny spektakl opracowany i wykonany przez Ryszarda Filipskiego wg książki Andrzeja Brychta był dla mnie najlepszym przedstawieniem bieżącego roku. Tak sądzę, mimo iż mam zał do twórców widowiska za to, że mieli do siebie — i do widza — za mało zaufania. Agresywny tekst i surowe aktorstwo „Raportu” bynajmniej nie potrzebowały podpróek jakimś były dla mnie w tym spektaklu „wstawki” filmów dokumentalnych z okresu okupacji.



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Mój film 1968

We współczesnej literaturze, naszej i obcej, spotyka się coraz częściej powieści, które nie wystarczy przeczytać raz albo nawet i dwa razy, żeby się dokładnie z nimi zapoznać i dotrzeć do ich ukrytego sensu. Przyswojenie ich sobie wymaga nieraz dużego wysiłku umysłowego. Znawcy twierdzą, że utworów tych nie można czytać jak zwykłe powieści, lecz że należy je raczej odczytywać, aby wnikać w ich treść poznawczą i istotne znaczenie. Są to przeważnie dzieła odbiegające pod względem stylu, kompozycji i sposobu narracji od tradycyjnej prozy dziewiętnastowiecznej, dzieła, które światowej sławy pisarz Jean-Paul Sartre nazwał (we wstępie do wydanego w 1959 r. przekładu polskiego „Portretu nieznanego mego” Nathalie Sarrautej) antypowieścią

mi, a które później zostały objęte wspólną nazwą francuskiej „nowej powieści”. W Polsce otrzymaliśmy szereg przekładów tego najnowszego gatunku prozy reprezentowanej przez Michel Butora („Odmiany czasu”), Alain Robbe-Grilleta („Cuma”) i „Dom szadziek”) i in. Na gruncie polskim do najwcześniejszych i najbardziej reprezentatywnych utworów w rodzaju „nowej powieści” można zaliczyć „Czarny potok”, „Dorycki krużganek” i „Pierwszą świetność” Leopolda Buczkowskiego oraz „Góry nad Morzem Czarnym” nie oddziałanego Wilhelma Macha. Ten wstęp wydał mi się potrzebny, żeby móc odpowiedzieć na pytanie, jaki film wyświetlany w roku 1968 w Polsce uważam za najbardziej wartościowy, gdyż podobna sytuacja, jak we francuskiej „nowej powieści” konieczność odczytywania, a nie tylko biernego odbioru, daje się zaobserwować również w wybitnych realizacjach filmowych, których twórcami są scenarzyści i reżyserzy zarazem, tacy jak Bergman, Bunuel, Kurosawa, Fellini, Antonioni. Wymienieni twórcy przejmują często na siebie rolę główną postaci, którą kreują jako pozornego bohatera filmowego, co również przybliża formę ich wypowiedzi do sposobu narracji stosowanego w „nowej powieści”, tym „królestwie świadomości”, gdzie najczęściej rolę wyznacza sobie sam autor

jako narrator wypowiadający się w imieniu i pod postacią swego bohatera. Oczywiście, nie tylko z powodu tej nowoczesnej formy wypowiedzi, lecz głównie, a nawet przede wszystkim, z powodu ważnych treści naszego życia współczesnego, treści adekwatnie dostosowanych do formy, uważam film Antoniego „Powiększenie” za najbardziej wartościowy, jaki miałem możność oglądać w 1968 r. w Łodzi. Pokrótko, jakaż jest treść filmu? Dawid Hemmings, cieszący się dużym powodzeniem fotograf londyński, posiadający nowoczesnie urządzone atelier, luksusowy wóz (chyba marki Royce Rollis chyba, gdyż nie dostrzegłem nazwy firmy na samochodzie, ale na warunki bytowe Hemmingsa powinna to być marka najwyższej klasy), żyjący w otoczeniu pięknych modelek i w złudnym przekonaniu, że mu nie brakuje do szczęścia, w rzeczywistości jest oderwany od swego środowiska, traktując ludzi bezdusznie, jak rzeczy. I nie zdając sobie sprawy ze swego wyobcowania, to znaczy z tego, że stracił zwykły ludzki kontakt z otaczającym go światem. Patrząc na ten film przypominała mi się „Wizyta starszej pani” Dürrenmatta, sztuka w której również pieniądź dokonuje apustoszeń polegających na

odczłowieczeniu (w małej wiosce szwajcarskiej i jest przyczyną tragicznej alienacji, spadającej jak nagłe nieszczęście na jednego z mieszkańców gminy). W „Powiększeniu” Hemmings jako nieświadoma ofiara alienacji, będącej jednym z groźnych objawów współczesnego świata, uprzytomnił sobie zapewne w końcu swoją sytuację życiową, bezmyślną egzystencję w świecie złudzeń, wśród swych rówieśników, młodzieży kwiatów, upajającej się narkotykami, mocnym uderzeniem i żyjącej jak przystawione polne koniki bez myśli o jutrze. Stanie się to wtedy, gdy po dokonaniu serii zdjęć fotograficznych, dyskredytujących miłośne spotkanie zakochanej pary, powiększone odbitki odsłonią mu cień tragedii. Hemmings pobiegnie do parku, który penetrował obiektywem fotograficznym, i znajdzie tam zwłoki mężczyzny. Wówczas przekonana się, że oprócz eleganckiego atelier, filmozyny i modelek świat jest zatruwany także upiortami. Czy bohater filmu wyciągnie konsekwencje ze swych doświadczeń? „Powiększenie”, jak każdy wybitny utwór, jest wieloznaczny i może być różnie interpretowane. Ostatnie sekwencje filmu nie przynoszą jednoznacznej odpowiedzi. Hemmings wracając po odkryciu zbrodni trafia na grupę podobną do niego młodzieży, która na

korcie tenisowym udaje grę w tenisa. Odrzucając fikcyjną piłkę graczem bez rakiety Hemmings ma chwilę wahania. Czy jest to odruch współczucia dla siebie i dla graczy? Czy zamiar włączenia się z powrotem do gry i kontynuowania życia pozbawionego jakichkolwiek ludzkich wartości? Czy, przeciwnie, jest to uświadomienie sobie bezsensu istnienia poza rzeczywistym światem z jego trudnymi problemami? Twórca nie ma obowiazku udzielania odpowiedzi. Wystarczy jeśli stawia pytania sygnalizujące pewne ważne zagadnienia życia współczesnego. Antonioni odnalazł ważne problemy i postawił pytania, i to podnosi rangę artystyczną „Powiększenia” wyróżniając go spośród wielu innych utworów filmowych wyświetlanych w roku 1968.



Rok 1868, anonimowy niemiecki, nie zapisał się niczym szczególnym w kronikach ludzkości. W grubych podręcznikach historii poświęca mu się zaledwie po dwa, trzy zdania. Życie płynęło spokojnym nurtem, gdzieś tam tylko zmąconym przez wydarzenia lokalne. Drobną, codzienną sprawą pochłaniają ludzi bez reszty: przyzwyczajali się już do wynalazków i są dumni z postępu cywilizacyjnego. Prezentowana tutaj kolumna opiera się na wyborze materiałów opublikowanych równo sto lat temu w „Tygodniku Ilustrowanym”, czasopiśmie założonym jeszcze w r. 1859, pierwszym tego rodzaju w Polsce. Podróże po kraju nie były wtedy jeszcze rozpowszechnione, tygodnik bazuje więc przede wszystkim na informacjach lokalnych, warszawskich, przynosząc interesującą panoramę wydarzeń wielkich i małych z życia miasta w tamtym okresie. Refleksyjny styl ówczesnej publicystyki połączonej z rzetelną znajomością aktualności epoki obok poczucia sympatii dla urokliwych starożytności wzbudza je-

dnocześnie szacunek. Można się z tych niby nie znaczących banialuków uczyć dziennikarskiego rzemiosła. Po tylu latach wstrząsają nas jeszcze i tylko czasami śmieszają.

Polecamy ten lamus, że sprzed stu lat odgrzebaną starzyzną, jako wdzieczną lekturę na Święta. Poszukiwanie analogii, wrócenie z fusów, budowanie historycznych teorii, radzimy od razu odrzucić, jako zadanie pozabawione sensu. Potraktujcie raczej ten serwis informacyjny z uśmiechem poblatania na jaki stać nas dzisiaj, w dobie antybiotyków, przeszczepów i atomu oraz z wyrozumiałością jakiej życzylibyście sobie od naszych wnuków, którzy za sto lat sięgną po annały naszych aktualności. Zgodnie z tą starą paremią łacińską, która głosi, że czasy zmieniają się et nos mutamur in illis.

J.D.

Wielkie ułatwienie

NOWY SYSTEMAT NUMERACYI DOMÓW

Nowa numeracja domów Warszawy wielkim się stanie dla stałych i niestałych mieszkańców naszego miasta ułatwieniem. Panujący dotychczas systemat numerów kolejnych liter porządkowych był nieraz dla wielu zadaniem algebraicznym, do którego rozwiązania trzeba było zawczasem używać biegłego — stróża, który jako niepiśmienny a zwykle niechętny, nie zawsze pośpieszał z ułatwieniem.

Przed stuleciem

DEPESE ze świata

3 STYCZNIA 1868

Uroczyste święta Bożego Narodzenia nie miały wpływu na chwilową ciszę w polityce i dyplomacji, zwłaszcza że i bez tego pozbawione faktów doniosłych dziennikarstwo sili się na wymyślanie niezbędnej codziennej dla czytelników strawy.

23 STYCZNIA

Lord Stanley powiedział na bankiecie w Bristolu, że pomimo zwiększania się liczby wojsk w Europie, nie trzeba obawiać się przedniego naruszenia pokoju, gdyż uzbrojenia bywają czasem pogroźką, ale często i środkiem tylko przeciw niebezpieczeństwom rzeczywistym lub urojonym.

BELGRAD, 10 CZERWCA

Dziś, o godz. 5-ej z południa, w parku Topczider, panujący książę Michał, w czasie przechadzki zamordowanym został przez trzech ludzi uzbrojonych w rewolwery.

BELGRAD, 11 CZERWCA

Zabójcami księcia Michała byli: Radovanovic z dwoma synami. Ojca i jednego syna schwytano. Pobudka zbrodni — zemsta prywatna.

19 WRZEŚNIA

Z Nowego Yorku donoszą, że w południowej Ameryce dało się czuć tak straszliwe trzęsienie ziemi, jakiego dotąd dzieje nasze nie pamiętają. W Peru i Equatorze wiele miast uległo zupełnemu spustoszeniu. Straty w ludziach obliczono dotąd na 30,000 osób, które nagłą zginęły śmiercią! Straty pieniężne wynoszą, jak dotąd, trzysta milionów dolarów.

7 LISTOPADA

Od dni kilku dzienniki amerykańskie i angielskie donoszą o wyborach w Stanach Zjednoczonych Północy i o sympatii okazywanej przez wielu wyborców generałowi Grantowi. W dn. 4 bm. otrzymaliśmy lakoniczny telegram, z którego się okazuje, że Grant wybrany został na prezydenta Stanów, a Colfax na wiceprezydenta.

LISTY DO REDAKCJI

PANIE REDAKTORZE.

Racz zamieścić tych kilka słów w swoim piśmie z przyczyny błędnie podawanej wieści, jaką w kilku dziennikach i pismach napotykałem.

Wiadomość wyległa z gazet austriackich, jakoby p. Pilot, malarz w Monachium, miał być także moim nauczycielem, jest zupełnie mylną. Uczęszczałem bowiem do Akademii mnichowskiej, byłem ciągle, tj. od 20 grudnia 1858 do 15 października 1859 uczniem technicznej szkoły studyów.

JAN MATEJKO

Nieustające okrzyki „ura”.

JEGO CESARSKA MOŚĆ W WARSZAWIE

Dnia 17(29) września o godz. 11-ej wieczorem JEGO CESARSKA MOŚĆ raczył przy być z zagranicy do Warszawy, w towarzystwie J.C.W. Wielkiego Księcia Aleksieja Aleksandrowicza i udał się wprost z bankhofu, gdzie prócz J.C.W.W.K. Mikołaja Mikołajewicza oczekiwali ministrowie i cała świta, dla powitania NAJJASNIEJSZEGO PANA, do pałacu Belwederskiego. Na całej drodze JEGO CESARSKA MOŚĆ witany był przez liczne tłumy mieszkańców, objawiających swą radość z przybycia ukończonego MONARCHY, nieustającymi okrzykami „ura”. Całe miasto uroczyste było iluminowane.



CLAY KONIEC SWIATA

30 stycznia, o godz. 7ej wieczorem przy dobrym zmroku, zaimprovizowaną została dla Warszawy prawdziwa niespodzianka, iluminacja powietrzna, którą trudno jest opisać. Osoby znajdujące się w mieszkaniach ujrzały się nagle jakby w pomieniaczach, a najdrobniejsze szczegóły były dla nich widzialne jak gdyby w jasny dzień. Znajdujący się na ulicach mieli widać wspaniałe światła, ale nie tylko także samo światło ogarnęło ich, ale nadto widzieli oni źródło skąd potok światła wypływa, ujrzał bowiem w powietrzu dość wolno przesuwaną się kulę ognistą z południo-zachodu na północno-wschód, po za którą ciągnął się długi, w tężew barwy strojny ogon płomienny. Jedni zaś i drudzy po upływie kilku minut od chwili ukazania się tej dziwnej tony, usłyszeli

huk, podobny do huku odległego grzmotu, albo raczej turkotu kilku toczących się po bruku powozów, z tej właśnie strony, w którą powędrowała owa kula ognista. Ponieważ dla wielu niezwykłe to zjawisko musi być zagadką i niejednym zapewne uczynił już rachunek sumienia, sądząc, że się zbliża koniec świata, dla zaspokojenia przeto lekliwych umysłów, pocytuujemy za obowiązek też dziwną a krótkotrwałą iluminacją objaśnić ze stanowiska naukowego.

Kula ognista, co niejednego w rzeczy samej strwożyła był to aerolit, który z wyżyn poza atmosferycznych zstąpił na ziemię naszą i legł wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w dość wielkiej od nas odległości, rozzerwany w kawałki.

Sport Sport Sport Sport

Po dwumiesięcznych przeszło zapasach turniej szachowy został ukończony i nastąpiło już rozdanie nagród pomiędzy zwycięzców.

Po obliczeniu partyj przez członków ustanowionego ad hoc komitetu, okazał się rezultat następujący:

Nagrodę pierwszą (puchar srebrny pamiątkowy, wykonany podług rysunku W. Gersona, w fabryce p. Wernera) przyznano p. Szymonowi Winawerowi, jako mającemu partyj wygranych 34.

Nagrodę drugą (artystycznie wyrobione szachy metalowe, w ozdobnym pudełku i z odpowiednią szachownicą) p. Janowi Kleczyńskiemu, jako mającemu partyj wygranych 32.

Nagrodę trzecią (piękne album fotograficzne z wizerunkami wszystkich osób biorących udział w turnieju) p. Aleksandrowi Koziańskiemu, jako mającemu partyj wygranych 27.

Nagrodę czwartą (Tygodnik Ilustrowany i Wędrowiec za rok 1868) p. Michałowi Landau, jako mającemu partyj wygranych 23.



Z żalobnej karty

ARTUR GROTTGER

Z końcem ubiegłego roku świat artystyczny poniósł wielką stratę.

Z południowej Francji nadeszła wieść o śmierci Artura Grotgera. Młodzieńcem stanął on już na wyżynie, którą tylko geniusz, zrodzony, małej liczbie wybranych, dostępną czyni. Niezrównany w swoim rodzaju mistrz zaledwo zajął sławą, która go postawiła w pierwszym rzędzie artystów, zgasił przedwcześnie, lecz dzieła, które pozostawił po sobie dostatecznie są, aby imię jego umieścić w dziejach sztuki.

SAMUEL ORGELBRANDT

Zmarł Samuel Orgelbrandt, jeden z najczynnějších wydawców tutejszych.

Poważny poczet wydawnictw, który się łączy z jego nazwiskiem, a którego uwieńczeniem niejako jest Encyklopedia Powszechna, w bieżącym roku ukończona, najlepiej świadczy o niestrudzonej czynności i wytrwałości zmarłego.

Ogromne zakłady, jakie pozostawił po sobie, zostaną zapewne pod kierownictwem jednego z synów, którego już za życia w swoje interesa starał się wtajemniczyć.

Luna na Solcu

STRASZLIWY POŻAR

Pożar wybuchł w południe, dn. 14 sierpnia, a w szczył się w posesyi p. Olszewskiego, Nr. 2927 na Solcu, był zaś zatrzymany tuż przy kościele św. Trójcy, który w takim znajdował się niebezpieczeństwie, że za zaczęto wynosić sprzęty i obrazy. Między ludem krążyła nawet wieść, że Krycylika wielki w głównym ołtarzu tej świątyni zgorzał wraz z tylną ścianą.

Płomienie wzbily się wysoko, a zalegały w około obszar sześciu posesyi, po większej części zabudowań fabrycznych. Materiały palne, a mianowicie drzewo i ingrediencye chemiczne, zapasy składów i fabryk stanowiące, przyczyniały się do wzrostu i rozszerzenia pożaru. Składy pp. Lisztelna, Reichmanna i Lawendela splonęły, fabryka Hirszmanna i Kijowskiego uległa zniszczeniu, a wiatr roznosił płomienie. Wieczorem dnia tego luna szeroko świeciła nad Warszawą, a mimo ciągłego, wyczonego ratunku, widziano ją jeszcze i nazajutrz.

St. Rzątkowski

Nowy handel

TANIE WYPRZEDAŻE PŁOTNA

Od pewnego czasu otwierają się u nas jedne za drugimi tak zwane tanie wyprzedaże płotna. Z początku pojawił się jeden taki handel, a ze mu się dobrze działo, coraz inne poszły za nim i coraz nowe czytamy uwiadomienia o znacznych partyach, z powodu zużycia różnych handliów hurtowych za pół ceny wyprzedawanych. Te handle zwiążają się od kilku lat i jakoś zwinąć nie mogą. Ale za to składki warszawskie uwinęły się z wyprzedaniem zleżającego towaru, w którym podobno len najmniej-szą gra rolę.

CO ZA CZASY

PAPUZIA MODA

Ludzkość ulega w ogóle różnym prądom, które dziwne a częstokroć śmieszne nawet przybierają rozmiary.

Obecnie we Francji i Niemczech, panuje moda posągów i fotografii. Każde miasteczko pragnie posiadać jakiś posąg sławnego człowieka w jego murach zrodzonego, każda kucharka nawet musi mieć swoją fotografię, przedstawiającą ją w romantycznej postawie, ze wzniołym marzyteliskiem w górę wzniesionym.

W ostatnich czasach znacznie rozmnożyło się używanie kosmetyków wszelkiego rodzaju.

Pomiędzy niemi róż ważną odgrywa rolę. Ten ostatni ratunek wędnej piękności jest łamięwką dla różnych tegoczesnych wynalazców, którzy silą się na wyszukanie środków różowania dokładnie naśladowującego naturę. Już nawet owe sławne chińskie papierki są zdystansowane, bo istnieje jakaś pomadka, której dotknięcie nadaje policzkom tak naturalną barwę, że jak mówią ogłotzenia, sztuka nie idzie już dalej.

Chcicie obecnie rozchwytywane są biżuterje ze sztucznie naśladowanego złota, co dowodzi, że nawet kłamany pozor zbytku nas wabi. Ta chęć błyszczenia szychowego bardzo smutną jest oznaką czasu.

Co nowego w teatrze?

ZAPOWIEDZ PRZYBYCIA P. MODRZEJEWSKIEJ

Teatr przygotowuje nam niemalo nowości. Z wiek szych sztuk wyliczyć możemy dwie nowe komedye „Pojeścia pani Dubray” Dumasa syna i „Nasi najserdeczniejsi” (Nos Intimes) Sardou.

Na październik zapowiadają nam przybycie pani Modrzejejskiej, artystki krakowskiej, która ma tu wystąpić w dwunastu przedstawieniach.

TEATR W CHWILI OBECNEJ

W chwili obecnej najbardziej poszukiwaną przez Warszawian rozrywką jest teatr.

Ponowity się dawno nie pamiętne czasy natoku przy kasie, bilety zamawiane bywają na kilkanaście dni przed widowiskiem i słyhać co chwila uzalania się na ich brak.

Tych cudów dokonała pani Modrzejejska, która każde swoje wystąpienie uświetnia nowym powozem. Tych wystąpień mamy jeszcze sześć zapowiedzianych, bo podobno na dwudziestego listopada pani Modrzejejska zmuszona jest wyjechać do Krakowa, gdzie ją wiąże kontrakt zawarty z tameczną dyrekcją.

(Tytuły pochodzą od autora wyboru).

DO LISTY dzienikarza

WIĘZ JAKA ISTNIEJE MIĘDZY AUTOREM A JEGO CZYTELNIKAMI MA W PEWNYM STOPNIU CHARAKTER INTYMNY, JEDNAKŻE NIE TAJNY, DLATEGO POZWALAMY SOBIE DRUKOWAĆ PONIŻEJ FRAGMENTY LISTÓW, KOTRE W CIĄGU CAŁEGO ROKU OTRZYMUJE JEDEN Z ŁÓDZKICH DZIENNIKARZY OD SWYCH CZYTELNIKÓW. TO CO PISZE DZIENNIKARZ JEST PRZEWAŻNIE DRUKOWANE, NATOMIAST TO CO PISZĄ CZYTELNICZY WĘDRUJE NAJCZĘŚCIEJ... NA POŁKI. OCZYWIŚTA NIESPRAWIEDLIWOŚĆ, AZEBY WYROWNAĆ PROPORCJE TEGO DIALOGU DZIŚ ODDAJEMY GŁOS WYŁĄCZNIE CZYTELNIKOM.

Proszę przyjąć do wiadomości, że nie odkrył pan Ameryki, twierdząc że alkohol towarzyszy nam od kotłowski do karawanu. Mnie osobście alkohol bardzo smakuje i piję go z przyjemnością, a nawet potrafię go spreparować. Przy alkoholu ożywia się dyskusja, wytwarza miła atmosfera, nawigując się nicy przyjaźni opartej na właściwym poznaniu człowieka, gdyż przy wódce i kartach najlepiej można poznać cechy i wady ludzkie.

Pisz pan dalej, że wszystko się zmienia tylko alkohol nie. A zakąskit Myślic, że alkohol jako taki jest produktem w swej ostatecznej formie i nie należy oczekiwać specjalnych zmian. Zaryzykował pan bardzo nazywając mnie alkoholizmem. Jakim prawem! Pan mnie przecież wcale nie zna. Gdyby pan uznał za stosowne dać mi mało zadośćuczynienie proszę zadzwonić; to jedno słowo „przepraszam” wystarczy zupełnie. Jeśli pan jednak tego nie zrobi to nie, dziury w niebie nie będzie...

...Chyłem nisko czoła przed Szanownym Panem za jego niesprawiedliwość i śmiałą obronę ludzi niesłusznie pokrzywdzonych. Stał pan w obronie przeciętnego człowieka, krytykując wielkiego pyszałka za jego karygodne i oszczercze postępowanie w stosunku do swego podwładnego. Rozglądał się to będą wszędzie a gazetę tę zatrzymam na pamiątkę, że są jednak ludzie, którzy nie boją się przeciwstawiać takim jak panowie dyrektorzy, a potrafią ich skrytykować... Nie mogę ujawnić swego nazwiska ze zrozumiałych względów. A jeśli spotka mnie niesłuszna krzywda w danym przedsiębiorstwie, a będę miał opinię nieskazitelną taką jaką mam dotychczas — wiem do kogo się zwrócić o pomoc i obronę.

Zostawia nas ten fakt, czy Pan jest chory czy nieszczęśliwy. Jeżeli jest Pan chory, to powinien się Pan udać do lekarza. Jeżeli nieszczęśliwy to nie powinien Pan być redaktorem. Nie wiemy, może Pan miał trudne dzieciństwo i chodził do szkoły pod wiatr, bo inaczej sobie nie możemy wyobrazić jak mógł Pan napisać tak idiotyczny artykuł. Z tego co Pan napisał wnioskujemy, że jest Pan za stary, żeby zajmować się sprawami młodzieży.

P.S. A tak prawdę powiedziawszy to mógłby się Pan przecieżnie odnieść do młodzieży, a zwłaszcza do zespołu Animalsów. Oni zasłużyli ludzi, w pełni sławy, a Pan taki sobie zwykły Badziak tak sobie pozwala.

...Nie jestem zatwardziałym wrogiem kobiet, wprost przeciwnie. Jako jeszcze niezbyt stary bardzo je lubię... I na podstawie tego, że co ludzkie nie jest mi obce, w tym szczególnie kobiety — nie zgadzam się z pańskimi wywodami. Kobiety są bardzo dobre, ale wtedy gdy czują nad sobą silną rękę. W przeciwnym wypadku potrafią nie tylko oblać męża wiatrolem, ale nawet poćwiartować i po kawałku utopić w rzecze. Nie twierdzą że wszyscy mężczyźni są idealni, ale jak daleko sięga historia to były zawsze oszukiwani przez swoje żony i to w jak najbardziej perfidny sposób. Zarówno król łowiec, jak i prostacy. Moja metoda to tzw. kawalerska szkoła, z którą jest mi wczaj z żoną bardzo dobrze...

ikar

Proszę o poruszenie tej kłopotliwej sprawy na łamach gazety. Już sześć tygodni minęło jak zaczęto w naszym domu naprawiać ubikację. Naprawdę takie złoże tempo rzadko jest spotykane. Więc gdzie my mamy chodzić, żeby zaliczyć swoje potrzeby!

Szanowny Panie! Dziś skoncentrowałem trochę czasu by dać ocenę filmów polskich. Dziesięć lat jestem w Polsce i nie mam uznania dla żadnego filmu. Wszystkie są pozbawione sensu, treści, logiki, są antymoralne, antyludzkie, nawet chwalone „Krzyżaki” nie podobały mi się. Oto „Nóż w wodzie”, co on daje, co on uczy, — uczy żonę zdradzić męża, a mło dzieciom zdobywać serce, a raczej kobietę. Radzę nie patrzeć na nie. Jeśli Pan ma żonę, niech Pan nie chodzi na takie filmy...

Otrzymałem straszny rozkaz. Własny dom i kórnice spać! Ja mieszkam na terenie szpitala. Zna salaowa iżn, podciera chorym tyłki. Dom pod

GŁOS

MAJA

CZYTELNICZY

rozbórce, a tu dwoje dorosłych dzieci na utrzymaniu. Ostatni kawałek chleba chcą mi odebrać. Za ciężko zapracowałem „koperniki” kupiłem plac 800 metrów i dom za sumę 10.400 zł, a gdy się okazało, że popełniłem przestępstwo dużej wagi prosiłem żeby ten dom zabrali, a mnie „koperniki” oddali. Ale nie ma głupich żeby za gruz pieniądze oddać. Sobie sam stawiam na bocznej ulicy drugi...

Podziwiam Pańskie talenta redaktorskie, ale myli się Pan dlatego, że niezbyt dobrze orientuje się w sytuacji i nie wniknął w środowisko długowłosych. Jestem ich przedstawicielem i w pewnym sensie piszę w imieniu ogółu. Otóż zapuściliśmy długie włosy i walczymy o ich zachowanie. Kochamy wszystko co angielskie, co przesiąknięte zachodnią kulturą. Nie uznajemy żadnych krajowych wzorów, czepiemy natchnienie dla naszego wyglądu zewnętrznego tylko z brytyjskich „Rockersów” i „Modsów”. Muszę jednak stwierdzić, że ci drudzy bardziej nam odpowiadają...

Czy zmienił Pan już swoje zdanie odnośnie długowłosych? Bardzo by nam za leżało na tym, zwłaszcza, że może dzięki wspólnej płaszczyźnie porozumienia udałoby się ten list wydrukować...

Panie Redaktorze! Artykuły Pana są bardzo dobre i trafne, tylko czy to naprawi zło. Zło jest wszędzie, w domu, wśród najbliższych krewnych są konflikty, w fabrykach, w biurach, na ulicach, w pogaciach, wszędzie dobrzych ludzi i dobra tak jest mało na świecie — jak kwiatów-szarotek w górach, które są pod ochroną — lecz dobrzych ludzi nie ma pod ochroną, zawsze jakiś wandal go podepcze i zerwie mu przedwcześnie życie.

List otwarty! 100 milionów ludzi, 20 milionów dzieci głoduje. Czy nie można by w imię humanizmu podjąć apel „wszystkie kwiaty i prezenty dla kobiet przeznaczamy na głodujące choćby kobiety ciężarne”...

Męczennik kultury i cywilizacji XX wieku

Panie Redaktorze! Na pewno zasłużyłam na krytyczną uwagę, ale proszę niech Pan tego nie czyni. Ja i tak już nie będę pisać. Myślę, że już nie trzeba. Nie można żyć w świecie, dla którego człowiek nie istnieje. Ale przecież jest coś co istnieje dla człowieka, choćby to, że w tej chwili mogę pisać do Pana. Piszę to w całkowitym zaufaniu i to mnie utrzymuje. Ale proszę żeby Panu nie przeszkadzało w pracy. Chciałam Pana przeprosić za wszystkie przykre słowa i w ogóle kogo potrafiłam obrazić...

Nasz rząd walczy z pijanstwem, ale jaką metodą? Czywiście, są izby odstręcające od pijanstwa. Podnieście się takiego bydłaka gdzieś z rynsztoka, umyję, połóż do czystego łóżeczka. Jeszcze brakuje aby mu opowiadać bajkę przed snem... Ja tam mam zawsze ćwiartkę spirytusu na lekarstwo.

Nawiązując do pisma z dnia 30.8. 1965 r. w sprawie wypowiedzenia się na temat felietonu Miejskie Przedsiębiorstwo Pogrzebowe w Łodzi komunikuję, że przygotowanie ceremoniału pogrzebowego (...) jest przedmiotem zaplecza zarówno przedsięwzięcia jak i resortu. W tym zakresie przewodzi się wprowadzenie uroczystego charakteru pogrzebu świeckiego z udziałem mistrza ceremonii, którego zadaniem będzie nadanie właściwej formy



przy odprawianiu zmarłych do grobu, oraz wygłaszanie mowy pogonialnej. Felieton podany w powyższej sprawie jest zdaniem przedsiębiorstwa aktualny i poruszony w nim problem zostają uwzględnione w planie rozwoju usług dla ludności.

Mam dziewiętnaście lat, z wykształcenia jestem tokarzem. Poznałem kiedyś dziewczynę, była studentką. Pokochałem ją. Stałem się w niej odnalezionym człowiekiem. Parę tygodni wszystko jak się to mówi grało. Później niestety zaczęło się coś psuć między nami. Co było przyczyną? Właśnie nie wiem. Może pan redaktor wie?

W artykule ogłoszonym o cudach wkradły się pewne nieścisłości, które chcieliśmy skorygować: 1 — Poddał Obywatel Redaktor w wątpliwość stygmaty rąk i nóg zmarłej Teresy Neumann. Mogę Pana zapewnić, że to prawda — sam je widziałem w 1945. Zmarła miała dziwny dar — rozumiała wszystkie języki świata oraz narzęcza — idiomaty. Mówiliśmy do Niej po polsku. Ona odpowiadała nam po niemiecku; przed nami zaś odpowiadała po niemiecku wyliczając amerykańską mowiacielkę do Niej po angielsku w idiomatach indyjskich.

Jak Obywatel to wytłumaczy? Koscioł nie chce się angażować, tak sądzimy w tę sprawę, gdyż ojciec Teresy nie porzucił Jej badań, obserwować — wiadomo, że Zmarła nie nie jadła. Czym Obywatel to wytłumaczy?

2 — Poddał Pan w wątpliwość cuda w Lourdes, powołując się na prace lekarskie, źródłowe. Otóż Międzynarodowy Komitet Lekarski w Londynie orzekł, że przywiozła tu Théa Angéle w stanie agonalnym, w maju 1859 r. wyjechała stąd po kilku dniach zupełnie zdrowa. Czym to Pan wytłumaczy?

3 — Kanonizowany (ogłoszony Świętym) przed kilkoma dniami św. Wincenty Pallotti, zmarły przed stu z górą laty, ma dotąd ciało święte, nie zepsute, chociaż nie było balsmowane.

Czym to Obywatel wytłumaczy? Więcej więc źródłowych wiadomości, a nie wyzucia, takie artykuły i taki Redaktor wart jest tylko wżgardy.

Żółtodziobie! Pozwolisz, że i my dołożymy cegiełkę do Twojego grobu. Weź się do jakiejś przyzwoitej pracy. Sądzę, że wiesz doskonale co trzeba umieć, żeby być dziennikarzem, a nie durnym pismakiem. Opatnijaj się póki czas. Lekarz nie odchodzi od stołu operacyjnego — zostawiając brzuch otwarty, bo wybiła godzina odejścia, a w myśl twego hasła powinien przekazać chorego koleżce dyżurnemu. Rozumiesz owieczko. Lekarz niejednokrotnie przynosi swoje lekarstwo z domu, bo dostał próbkę zagranicą, a my tego nie mamy. Po pracy wraca wieczorem, interesuje się poza godzinami, za co mu nikt nie płaci i często nie dostaje odznaczeń państwowych. Czy zdajesz sobie sprawę ile przez swoją głupotę dla paru złotych siejesz nieszczęścia. Tu mi podpowiadają, żeby ci napisać, że rozpoczniemy rozrobę, że Łódź opuścisz. Kochany, jak wiadomo, że Łódź dobrze poinformowanych sami lekarze ruszają się. Wiemy żeś durny, ale idź do „Delikatesów” pięć po dziewiątej, czy cię wpuszczą?

„Cóż, różni ludzie różnie zarabiają na chleb. Ale proszę mi powiedzieć, jak uszreć się przed p. Badziakiem!”

Bez strachu

CZAS I PRZESTRZEŃ

Czas i Przestrzeń — do-
kładnie! Czas i przestrzeń po-
mawiają się w wielu czasach
i przestrzeniach, rozciągających
Znam czas stanów jawy,
czas podległy fizycznym mia-
rom, przestrzeń w której roz-
ciągnąć można sznurki. Znam
czas i przestrzeń marzeń
sennych w których poruszam
się niekiedy tylko wiedząc,
że to ja — gdyby w obrę-
bie tych czasów i przestrzeni
poruszał się sznur — noc
tam trwałaby przez kilka se-
kund lub przez stulecie. Sie-
dzą w swoim mieszkaniu i
przypominam sobie jadłodaj-
nię, w której spożywam obia-
dy. Po przestrzeni leżą jad-
łodajni porusza się stara ko-
bieta, która zgarnia resztki
posiłków z talerzy do ol-
brzymiej torby — nigdy nie
godzi się, by kąpić jej o-
biad — nie przyjmuję także
pamiętni. Ona zgarnia to co
lami zostawili, co jest już
nieżyte. Otu przestrzeń jej
godności. Staruszka porusza
się w strofie konieczności,
nie wykorzystuje niedosko-
ności, nieprzystosowania —
jest ona modrem, który od-
rzucił dobra wielkie i do-
wolne no to, by posiadać małe
i pewne. Tyle o staruszce
i o przestrzeni jej godności
— niewielkiej ale pewnej —
chyba, że w przestrzeni mo-
jego pisma wytworzy się
nieunikniona szczelina, w któ-
rej pojawi się staruszka wca-
le przez mnie nieproszona
wykorzysta nowien, miaz-
ament, obrodzawny, konieczny
— puste miejsce, które nie
będzie świadomym zakompo-
nowanym przemilczaniem i
tam stanie w koniecznej ul-
czyłej przestrzeni nie będącej
ani własnością autora ani
czytelników.

Kto jeszcze przyjdzie do
mnie i zapani pozostawiona
przez mnie pustkę? Pała
się różne chłoki, zapalone
dwadzieścia, trzydzieści lat
temu, zmarli śpią w kole-
dy, onada kłopotami goraca
stearyna. Wszystko to już
znasło, rozpadło się, umi-
zło, przeminęło, a jedynym
nie jest do tego świata, że
muszę czytać o tamtym za-
mierzchnego blasku. Oczywi-
ście to inny czas, inna prze-
strzeń, a przecież przenika,
nawcyca realna przestrzeń i
czas, nabiera godności i sta-
nia. To kiedyś, kiedyś było
ale, ale w mnie małe sprawy,
których nigdy i nigdy nie
było. Jest mój tylko mój
wymyślony las, do którego
schodzę brunatnym urwisłem
kolo wymyślonego taru kole
jowego. Kolo soczyste mięso
stojące na przyprawach
zwierząt łak. Kiedy jestem
w tym lesie, nie trzeba mi
niczego — mam wszystko w
nadmiarze pomysłowej zieleni
i rosie w pomysłowym sto-
cu ciepłym od prawdzi-
wego... Zapewne kiedyś od-
cisnął się w mnie przy-
dawać łaka, zakwiciła praw-
dziwa słodkość i ja odwarza-
m to wszystko w wleśności mo-
jej pamięci. Robi tak każdy
człowiek — jeden odwarza
las i łak, odleżała słodkość
na buforze pociągu, odleżała
od wszystkich, ta wjazd
w wymyślonym stoku kół
zastępuje mu śmieć. Inny
odwarza największą salę
koncertową. Orkiestra gra
największy koncert, a prze-
cięż symfonie trudno odróż-
nić od szumu wiatru. Kiedy
ludzie rzeczywistości ulica wjeżd-
ra w nią, a symfonia, a on
nawet nie wie czy to szum
wiatru bulając po prze-
kopywanej właśnie ulicy czy
też smyczki przesuwają się
po olbrzymich strunach. Nie
wiem czego bardziej ma
pragnąć rzeczywistości wiatru
czy pomysłowego koncertu,
a jednak musi stałe wybierać
i oceniać świat i fantazje,
musi kontrolować i mierzyć
marzenia — jest w tym tru-
dzie zupełnie samotny, zupeł-
nie opuszczony. Pragnie do-
stanie dotrzeć, dopomóc
mu — jest to daremne pra-
gnienie — jego samotność
jest wyłącznie jego własno-
ścią i nie potrafi jej wziąć
choćby chciałby mi ją dać.

A przecież wiem o pomysł-
nym czasie i przestrzeni
wiele ludzi, o światłości i
dźwiękach obecnych w tych
przestrzeniach i tych czasach.
Zbyt wiele mamy ze sobą
wspólnego — pokrewna kul-
tura, temperamenty, prze-
życiowości i wstydlive ukry-
wana wyobraźnia, ukrywane
namiętności. Jesteśmy konspira-
rami wzruszeń, ta konspira-
cja nakazywana nam przez
współczesne kanony obyczaj-
u jest źródłem olbrzymiej
wspólnej nerwicy. Nerwica
powstała zbytecznie — nasz
wstyd, nasza konspira-
cja, to rzeczy fikcyjne, świadom-
ność tej fikcji powinna je-
zniszczyć. Odrobina pozytyw-
nego, adaptacyjnego leku prze-
rosła się w zmore tyśiąclecia-
nią przetrastajacą to wszyst-
ko przed czym ma nas osła-
niać. Należy uciec samemu
sobie, należy uciec innym,
należy uciec wszelkim katego-
riom była rzeczywistością i
wymarzoną, często zmyślo-
nym i pełnym wzruszeń. O-
czywiście czas i przestrzeń
nie marzeń zawsze będą od-
rębne od czasu i przestrzeni
w ich rzeczywistym trwa-
niu, kiedy jednak rzeczywi-
stość stanie się wspomnie-
niem, czas i przestrzeń
marzeń pochłonią czas i prze-
strzeń rzeczywistą.

BERNARD SZTAINERT



To miał być wywiad z samym Kulejem. Dzwoniłem się do niego we wtorek, dopiero późnym wieczorem, i z miejsca, nachalnie — bo tak trzeba w moim fachu — zapowiedziałem swoją wizytę.

Storpedował mnie, krótko i zdecydowanie: że przed chwilą wrócił do domu i jest bardzo zmęczony, bo praca, treningi, odprawy, zaoczne studia na AWF, że nie ma dostojnie wolnej chwili, musi uczyć się nocami, pozaliczać kilka ważnych przedmiotów.

— To kiedy możemy się spotkać?
— Po piątnym.
— To urwaj mi w redakcji głowę.
— Też jestem w sytuacji konfliktowej — pociesza mnie mistrz.

— No to co ja mam robić? — pytam.
— A co ja mam robić?

— Mam dla pana taką propozycję — mówię to głosem wymodulowanym, grzecznie proszącym — odwiedź pana jutro w klubie, albo w pracy, albo przyjadę na AWF, gdzie pan chce, i w przerwie między zajęciami, zabiorę panu, dając słowo, maksimum pół godziny, i będę naprawdę głęboko zobowiązany...

— Dobrze — kapituluję mistrz, i umawia się ze mną na dziewiątą wieczór dnia następnego w kawiarni „Zorza”, na Bielanych obok AWF.

Jadę tam w towarzystwie kolegi, znanego pisarza, który też kiedyś boksował i bardzo chciałby mistrza poznać. Siadamy w „Zorzy” tuż przy wejściu i czekamy, i mija dziesięć minut, piętnaście, zaczynam się denerwować, a tu już pół godziny, trzy kwadransy, więc zostawiam przyjaciela na czatach, a sam biegnę na AWF, szukam i pytam, ale nikt nie widział, zresztą portier mówi, że już dawno wyszedł...

Więc dzwonię jeszcze raz do domu i rozmawiam z żoną mistrza, i ona r’wi, że owszem, mąż wspominał o naszym zamierzonym spotkaniu, ale niestety, nie mógł, bardzo przeprasza, ale jest strasznie zagoniony; jutro też nie będzie mógł; nauka, zaliczenia, uczy się nocami...

— To co ja mam robić? — ponawiam wobec pani Kulej bezsensowne pytanie i mówię, że nie będę mógł rozliczyć delegacji, że hotel nabili spory rachunek, że drukarnia łódzka się spaliła i mamy trudność z wydawaniem pisma...

— Jurek upoważnił mnie — mówi pani Kulej — abym ja udzieliła wywiadu, więc jeśli pan chce, to wszystko panu o Meksyku powiem, a pan to napisze tak, jakby rozmawiał z nim...

— Ależ to byłoby nieuczciwie wobec czytelnika — mówię... i nagle wpadam na szczęśliwy pomysł...
— Jasne! Przecież z Kulejem było już wywiadów setki, natomiast z żoną Kuleja...

I umawiam się na rano następnego dnia.
Pani Helena przychodzi punktualnie. Sympatyczna, przystojna brunetka, z tych, co to jeszcze nie muszą kryć swojego wieku (dwadzieścia pięć lat). Pijemy kawę i zaczynamy oficjalną rozmowę.

Ja: — Od jak dawna jesteście państwo małżeństwem?
H. Kulej: — Już osiem lat.

— Czy lubi pani boks?
— Lubię i znam się na nim. Potrafię precyzyjnie, z obiektywnością sędziego wypunktować walkę w ringu.

— Oglądała pani zapewne wiele pojedynków swojego męża?
— Nie. W zasadzie oglądałam jego walki tylko w okresie narzeczeńskim i w pierwszych miesiącach po ślubie, do czasu, kiedy to zdobył po raz pierwszy mistrzostwo Polski seniorów we Wrocławiu. W finale spotkał się z Kasprzykiem i pomimo zwycięstwa, odniósł kilka dotkliwych obrażeń twarzy. Wtedy coś we mnie pękło...

— I?...
— Odtąd nigdy nie widziałam męża bezpośrednio w akcji, i nigdy nie zobaczę. To jest ponad moje siły.

— Towarzyszyła pani przecież mężowi podczas Mistrzostw Europy w Berlinie i w Rzymie?
— Owszem. Dopinguwałam naszych chłopców. Bardzo przeżywałam ich porażki, do łez cieszyłam się z każdego zwycięstwa. Ale kiedy walczył Jurek — zawsze opuszczałam widownię, żeby nic nie widzieć, nie słyszeć...

— Tak. Choć, być może, jeszcze rok poboksuje.
— Jakże ma plany na przyszłość?
— Chce ukończyć AWF, to jest jego najważniejsze zadanie, i wcale niełatwe. Nie jest wykluczone, że zostanie trenerem; Feliks Stamm twierdzi, że ma w tym kierunku zacięcie.

— Czy mąż pani pali papierosy?
— Nie. Ale kiedyś palił i to sporo. Pamiętam, że rzucił ten nałóg tuż przed Olimpiadą w Tokio, jednego dnia. Bardzo mi tym zaimponował.

— A alkohol?
— Zupełnie wykluczony z repertuaru. W ciągu ostatniego roku przed Meksykiem tylko raz wypił parę kieliszków.

— Więc kariera wybitnego boksera, to długie pasmo wyrzeczeń?
— Oczywiście. Zresztą chodzi tu nie tylko o alkohol i nikotynę. To co powiem, będzie być może antypropagandą boksu, ale Jurek, na kilka dni przed ważniejszymi meczami, prowadzi życie ascety. Aby utrzymać wagę, nie dosłownie nie je, wypija co najwyżej raz na dzień szklankę wody z miodem i cytryną, a i tak musi chodzić jeszcze do łaźni, aby zrzucić dodatkowe kilogramy. Po takich meczach jest niestannie głodny, bardzo często wstaje kilkakrotnie w nocy i je, niemalże przez sen, kawałki, które mu przygotowuję. Tak było również po Meksyku. Skutek tego jest taki, że „chodzi” teraz wagę wyżej w półśredniej. A przecież już niedługo znowu będzie musiał powrócić do swojej koronnej wagi, bo zbliża się ważny mecz...

— Boks wyczynowy wymaga chyba jeszcze innych wyrzeczeń?
— To jasne. Cierpi na tym nasze życie rodzinne osobiste. W ciągu tych ośmiu lat po ślubie tylko raz byliśmy razem na wczasach i to też tylko dziewięć dni. Rzadko możemy być razem w kinie, teatrze, z dzieckiem na spacerze...

— Czy wobec tego żałuje pani tych wszystkich, straconych w pewnym sensie lat?
— Skąd! Wiem, że boks był dla Jurka pasją życia. Był także pasją życia dla mnie.

— Sład wniosek, że — zapewne podobnie jak mąż — boleśnie przeżyje pani rozstanie Jerzego Kuleja z ringiem.

— On na pewno bardzo to przeżyje. Dla mnie natomiast — mówię szczerze — będzie to jeden z najpiękniejszych dni w życiu. Skończy się wreszcie ta długa wyczerpująca szarpanina nerwów i niestannie niepokoję, i dom nasz przestanie być hotelem.

Rozmawiał:
MACIEJ WYSOCKI

— Wróćmy do olimpijskich finałów.
— A jak było podczas ostatniej Olimpiady?
— Podobnie. To był dla mnie najbardziej denerwujący turniej, choć przeżywałem go tu, w Warszawie. Byłam zupełnie wyczerpana nerwowo i fizycznie, straciłam podczas tych dwu tygodni sześć kilogramów żywej wagi. Doszło do tego, że nie byłam już w stanie oglądać nawet walk innych Polaków, Dragana czy Gałazki, którego porażka wywarła na mnie przynębiające wrażenie. Przed walką Jurka z Kaidim przeżywałam silny wstrząs psychiczny, a najgorzej było podczas finałów...

— Czy mogłaby pani podzielić się z nami wrażeniami z tej finałowej nocy?
— Byłam roztrzęsiona. Trapiły mnie wątpliwości. Bo rok przedolimpijski był dla nas pechowy. Najpierw Jurek zmuszony był poddać się operacji wyrostka robaczkowego, potem wypadek samochodowy, z którego wyszedł z dwoma poważnymi bliznami na twarzy, jakże zmieniony, jeszcze potem nasz siedmioletni syn, Waldemar, złamał bardzo poważnie rękę, którą trzeba było nastawić operacyjnie pod narkozą. Zastanawiałam się, czy noc finałów olimpijskich w boksie zakończy to pasmo nieszczęść, bo, co tu dużo mówić, gdyby Jurek zdobył tylko srebrny medal, przeżylibyśmy to bardzo boleśnie, podobnie, albo jeszcze bardziej niż jego porażkę finałową w Rzymie.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

— Wróćmy do olimpijskich finałów.

JERZY WILMAŃSKI

O Panoramie Racławickiej słyszałem sporo. Ze malowana przez Jana Stykę, że był to przed wojną ósmy cud świata, że zupełnie słudzenie autentyczności... Nie bardzo to wszystko przyjmowałem na serio, dopóki nie zobaczyłem w Moskwie Panoramę bitwy pod Borodino. Rzeczywiście mocna rzecz, ale nie jako arcydzieło malarstwa, lecz jako swego rodzaju plastyczny „show”, widowisko.

Potem do opowieści znajomych, którzy przed wojną we Lwowie oglądali „Racławicę”, doszły enuncjacje prasowe. Ze uratowano malowidło z wojennej pożogi, że jest we Wrocławiu, że buduje się dla niej rotunda, że po konserwacji zostanie wystawiona... Zainteresowałem się więc Panoramą, co tam o niej znalazłem w opasyłych książkach. Publikacje prasowe nagliły, o Panoramie pisano jak nie przysmerzając o „Grunwaldzie” Matejki, w popularnych pismach zaczęły się ukazywać listy zdenerwowanych krakowian, protestujących przeciwko oddaniu Panoramę Wrocławowi. „Coś się zaczyna dziać” — pomyślałem sobie i wsiadłem do pociągu.

Mój przyjaciel z wrocławskiej gazety właśnie wybierał się na plac budowy rotundy — poszliśmy sobie jesiennymi ulicami w kierunku Placu Powstańców.

— Nie chciano żeby Styka malował Panoramę — mówił przyjaciel człek światły, absolwent warszawskiego uni-

wersytetu — ale dopiero Boy-Zeleński wziął go w obronę...

Przyjacielu, ptaszyno — zawołałem — nie dobijaj kumpla z robotniczej Łódzi, która nie wie nic o Panoramie. To gigantyczne stykowe panopticon, warte jest pewno odnowienia i ekspozycji, ale nie rób z niego oltarzyka i nie wplątuj Boya w ten malarski geszeft.

Jan Styka herbem Wczele — malarz taki sobie, zwany przez wielu — wstyd powiedzieć — pacykatem, miał na pewno głowę do interesów. A już osobliwie szły mu one z miejskimi rajcami Lwowa. Wtrącił im na przykład obraz pt. „Polonia” — jak go Boy określa „straszliwy bohomaż” — w ten sposób, że wystawił sobie willę we Lwowie, a willę budował architekt będący najbardziej wpływowym rajcą miejskim. Styka nie miał czym za willę zapłacić — umowa stanęła gładko: kupcie „Polonię” — zapłacę za willę. Udało się — ao cóż, zdolny człowiek?

Ten zdolny człowiek skombinował niabawem nową aferę. W roku 1894 we Lwowie odbywała się tzw. Wystawa Krajowa. Uświetniła ją właśnie Panorama Racławicka. Styka był jej współtwórcą i animatorem — malował ją wielu. Nasza Wielka Encyklopedia Powstania, do której jako ostatnio straciłem zaufanie, podaje jako autorów Panoramę W. Kossaka, J. Stykę i M. Wywiłowskiego. Jest to prawda, ale malował ją także artyści tej miary co Włodzimierz Tetmajer, Jan Stanisławski i — sprowadzony specjalnie z Mona-

chium pejzażysta — Boller. Tak więc — jak pisze Boy — „krwią przesiąkniętą ziemię racławicką odrabiał popijając piwo Hegmatyczny Niemiec”.

Pomagał mu wybory pejzażysta Stanisławski, kosynierów „rodził” Tetmajer, Kossak „dowodził” — oczywiście — konnicą i to po obu stronach frontu... Czym zajmował się M. Wywiłowski — nie wiem, nigdzie tego nie znalazłem, być może robił drzewka, może koleiny na drodze, a może tego Żyda co jedzie na wozie...

Fakt, że Styka malował mało, wyżywał się raczej w oprowadzaniu zwiedzających — trzeba zresztą powiedzieć, że nikły udział Styki w tym malarskim przedsięwzięciu wyszedł Panoramie na dobre.

Bó powiedzmy sobie szczerze. Panorama nie jest bohomażem, tego nawet złośliwy Boy powiedzieć się nie odważył. Nie jest to także arcydzieło, z którego można by robić oltarzyki. To zresztą nie mogło być arcydzieło choć malował je Kossak, Tetmajer i Stanisławski. Miało to być malarstwo widowisko „ku pokrzepieniu serc”, skrzyżowanie muzeum z fotoplastikonem — i jako takie jest całkiem godne obejrzenia.

Niestety — nie obejrzałem Panoramę, choć wszelkie możliwe harmonogramy przewidywały, że Jensenia przenteste się ją do betonowej rotundy. Parę tygodni temu zmarł profesor W. Szymborski, kierujący pracami konserwatorskimi. On to zresztą 18 lat temu prze-

prowadzał wstępną konserwację płótna, którego stan był i jest optakany.

W magazynach Muzeum Śląskiego leży 14 potężnych walców — Panorama Racławicka śpi jeszcze, jak ci rycerze w Dolinie Kościeliskiej. Ostatnia wojna pokarała ją potężnie — konserwatorzy naliczyli w płótnie około 2 tysiący dziur, poza tym bomba rozewała sporą część racławickiego pola bitwy. Mignęło od bitwy ponad 170 lat a dla tamtych wiosennych, kwietniowych pól wojna trwa wciąż jeszcze... Trwała zresztą zawsze — także „pierwsza światówka” wpisała się na płótno śladami szrapneli. Konserwował je potem sam Wojciech Kossak przerabiając przy okazji to i owo — co znowu Panoramie mogło wyjść tylko na dobre.

Nie widziałem więc Panoramę, bo wiem zetlałe i poprute płótno liczące sobie ponad 70 lat nie da się zawiesić na stelazach. Peka. Trzeba je najpierw nakleić na twarde podłoże i dopiero wtedy ewierć setki warszawskich i wrocławskich konserwatorów będzie mogło przystąpić do dzieła rekonstrukcji.

Dziesięć miesięcy malowali artyści swoje panopticon w roku 1894. Dwanaście lat trwają korowody konserwatorsko-budowlane nad rekonstrukcją i ekspozycją w drugiej połowie XX wieku. Może się komus wydać to zbyt długo? Może — mnie się również tak wydaje, ale też nie będzie tu żadnej proźwirki.

„Wolno a gruntownie” — zdają się mówić wrocławscy budowlani. Przez

Pana Styki za grobem zwycięstwa

Scarlett

ZA 300 ZŁOTYCH



Fot. A. Wach

bioto i kałuże wchodzimy do wnętrza rotundy — olbrzymiego, betonowego walca, monstrualnej „degolówki” o powierzchni ponad 27 tysięcy metrów kw. Nie można powiedzieć, żeby robota wrzała. Na placu... sześciu robotników. Teraz rozumiem sceptycyzm ludzi, którzy wokół sprawy Panoramy „chodzą” od lat. „Jeszcze wam się zdziwi o niej pisać” — mówią. „Może w przyszłym roku, a może dopiero w kwietniu 1971 roku” — dodają. „Bo to byłaby rocznica bitwy” — pocieszają się. Też mi okrągłą rocznicę znaleźli — sto siedemdziesiąt siódmą!

Zresztą nie wybrzydźmy — do oświetlenia raczej bliżej niż dalej. Nawet jeśli rzeczywiście — jak chcą konserwatorzy — renowacja płótna potrwa dwa lata. Konserwacja jednak nie kończy sprawy. Olbrzymie malowidło o długości 120 metrów i szerokości 15 metrów musi być uzupełnione tzw. plastycznym sztafżem. Jeśli na przykład na obrazie cwałuje przez chaszcze grupa jeźdźców to miejsce, w którym kończą się gałązki malowane na płótnie a zaczyna się autentyczny, „dorobiony” fragment krzaków — musi dla widza być niedostrzegalne. Ze to niemożliwe? Owszem możliwe — tylko po prostu trudne do zrealizowania.

Widziałem w moskiewskim Muzeum Armii Radzieckiej ogromną dioramę — coś w rodzaju „połowicznej” panoramy — obraz nie biegnie dookoła patrzącego lecz półkolem — i w żaden sposób nie mogłem wskazać, który z

biegnących żołnierzy jest namalowany, a który już wychyla się z płótna, trójwymiarową postacią.

Właśnie to złudzenie autentyczności, iluzyjność tego rodzaju „show” malarskiego zjednuje temu gatunkowi ekspozycji ogromne rzesze zwolenników. Nie jest to na pewno sztuka przez duże S — ale rzecz szalenie widowiskowa i — naprawdę warta zobaczenia. Polska nie ma tradycji w tym względzie — Panorama Racławicka jest jedyną w swoim rodzaju i w tym względzie należy Stycę oddać sprawiedliwość.

We Wrocławiu, drepząc tropami panastykowego przedsięwzięcia, usłyszałem jeszcze rzecz taką: „konserwacja pójdzie gładko — skorzystamy z doświadczeń amerykańskich”. Jest bowiem w stanie Pensylwania miasto Gettysburg, gdzie w roku 1863 wojska Unii spustoszyły sromotne bity Konfederatom. W tymże mieście jest także coś w rodzaju batalistycznej panoramy, ją także kiedyś tam konserwowano — i stąd pomysł „amerykańskich doświadczeń”. Ja rozumiem, że to pewnie ładny stan ta Pensylwania, ale nasz sąsiad za wschodnią miedzą panoram i doświadczeń ma na kopy. Nawet słynna „Borodinska” niedawno się porządnie spaliła i owe doświadczenia w renowacji i rekonstrukcji radzieccy konserwatorzy i historycy sztuki mają, że tak powiem, jeszcze cło. Trochę mnie więc śmieszny ta chęć zobaczenia jak kwitną bzy w Pensylwanii.

Właściciel antykwariatu zaobserwował, że jeden z jego sławnych klientów od pewnego czasu kradnie książki. Ze go jednak lubił, nie chciał utracić, postanowił sprawę załatwić delikatnie. W książkę, która jak przypuszczał, miała być kolejnym łupem niezbyt uczciwego bibliofila, włożył list. Prosił w nim o uregulowanie należności za skradzione tomy, względnie ich zwrot. List widząc poskutkował, bo nazajutrz pod antykwariat podjechała pełna książek dorozka.

Przytoczona anegdota ma swoje uzasadnienie, chcę bowiem zaproponować Ci Czytelniku, wizytę w łódzkim antykwariacie przy Piotrkowskiej 133. Dla stałych klientów księgarń będzie to jeszcze jedno spotkanie, dla tych, co antykwariat omijają garść wiadomości, które może zachęca do spotkania ze starą książką. A szczególnie to spotkanie, bo każda książka na półce antykwariatu, to przeszłość, za którą stoją jacyś ludzie. Nie tylko autor i wydawca, ale także dawny właściciel, człowiek, który zdecydował się z nią rozstać.

Pan Kaczmarek, kierownik antykwariatu, wrócił niedawno z wyprawy po książki. Tym razem z Piotrkowa. Już od dawna bowiem trzeba szukać cennych tomów na prowincji i są to całe wyprawy poprzedzone starannymi przygotowaniem. Oprócz niezbędnych w takich wypadkach „przeszpiegów” — kto i co ma, trzeba pozyskać do wspólnej pracy lokalną prasę i pracowników miejscowych księgarń.

Znajdują się czasem bibliofilskie rarytasy wyciągane ze strychów, starych kufrów i szaf. „Leży to w domu, stare, jeszcze dziadków pamięta i miejsce tylko zabiera, to przyniosłem, przynajmniej parę złotych będzie” — podobne zdania antykwarytusz słyszy często. Obie strony są zadowolone, jedna, że się pozbyła, druga, że natrafiła na ciekawą pozycję. W ten sposób antykwariat zakupił cały szereg starych czasopism — „Biesiadę Literacką”, „Chimera”, roczniki „Kłosów”, komplety Wielkiej Historii Powszechnej Trzaski, Everta i Michalskiego, czy wreszcie prawdziwą perelkę — oryginalny akt nobilitacyjny nadany rodzinie Bykowskich z Teszyna przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Cenny pergamin z królewską pieczęcią zakupił potem, po długich zresztą targach, Archiwum za jedyne 1200 zł. Warto więc zajrzeć do małych miasteczek i zorganizować tam kilkanaście aukcji starych książek. I jeśli można przeliczać ich wartość na pieniądze, to za udaną wyprawę księgarze uważają taką, podczas której zaplaca za książki około 15 tys. złotych.

Oczywiście nie jest to jedyna forma zakupów. Najczęściej klienci przynoszą książki w terenie, bezpośrednio do sklepu, a czasem antykwariat nabywa księgozbiory po zmarłych bibliofilach.

Jaka to jest książka antykwaryczna? Odpowiedź wydaje się prosta. Musi być stara, często zniszczona, wydana kilkadziesiąt lub co najmniej kilkanaście lat temu. A tymczasem nie. Książka zyskuje sobie prawo do tej nazwy już po 3 latach od chwili ukazania się na księgarskim rynku. Nie obowiązują jej już wtedy cena podana w specjalnych katalogach, a o tym ile ma kosztować, decyduje przede wszystkim popyt i popyt. Ot, handel. Dla przykładu, aktualna cena „Przemiana z wiatrem” wynosi około

300 zł. Kto się więc chce wżruszać łosami zielonookiej Scarlett, niech się uzbroi w pieniądze i cierpliwość, bo po wieść, pojawia się bardzo rzadko. Chyba, że czytelnik wstępuje do antykwariatu i przeglądając szereg tomy zainteresuje się inną książką. Co przy tej okazji, a jest ich aktualnie około 20.000 wcale nie jest wykluczone. Dla tych, co wszystko zwykli przeliczać na pieniądze, przyda się informacja uzupełniająca — własne książki łódzkiego antykwariatu mają wartość około 540 tys. złotych, prócz tego około 95 tys. to książki oddane do sprzedaży komisowej.

Jeśli więc zwolennik przygód pani Scarlett chciał zmienić zainteresowania, odsyłam go, oczywiście za radą pana Kaczmarka, do najlepiej zaopatrzonego działu, to jest do historii i literatury pięknej, poezji i filozofii, historii literatury lub do książek o sztuce. Ba, za stosunkowo niewielką sumę srebrowy zbieracz może zafundować ku ozdobie swej biblioteki książki-starości z XIX w. bardzo malownicze i fotogeniczne o postrzępionych brzegach i podniszczonych okładkach. Za niewielką cenę, bo niektóre z nich kosztują nawet 50 zł, lub bardzo wysoką — bo można również zainwestować 5000 zł. Ale żarty na bok — miejmy nadzieję, że wśród osób odwiedzających antykwariat srebrowy jest niewielu, natomiast dużo prawdziwych miłośników książek. Jak ich odróżnić? Wiele na to sposobów. Maksyma, jaką głosi Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki powiada, że srebrowy zbieracz, bibliofil tworzy księgozbiór.

Zoby naszą wizytę w antykwariacie urozmaicić, proponuję jeszcze jedną anegdotę i następną przyrzekam. Jest to ponoć fakt autentyczny o nauczycielu-poleniście i namiętym bibliofilu Zygmuncie Wojskim. Nasz bohater wybrał się kiedyś do starej biblioteki u zakonników na Bielanach i uzyskał pozwolenie na oglądanie książek. Wprowadzony do środka zapytał przewodnika, czy będzie mógł kupić coś lub wypożyczyć. — Reguła zakonna nie pozwala — odparł przewodnik — można jedynie ukraść. Jeśli się uda.

Wojski długo przeglądał cenne księgi, a pomysł słów zakonnika powypychał mniejsze do kieszeni, które szczególnie u placuszka miał bardzo obszerne. Szkoła mu jednak było książek większego formatu, związał je więc w paczkę i wyrzucił przez okno. Po czym, pilnie zważając na ruchy, które ma książki likwidujące w ubraniu bardzo utrudniały, mimo gościnnych prób zakonników, by został, szybko wyszedł.

Tak to sobie dawniej bibliofile poczynali. Młokontentów, którzy narzekają, że teraz nikt już książek nie kradnie, bo widać kultura w narodzie upadła spieszę rozczarować. Sporo już i z łódzkiego antykwariatu wyniesiono książek bez uprzedniej zapłaty w kasie. A już swobodnym majstersztykiem złodzieja było wyntestowanie dwa grubych tomów „Przygód Wernera Hella” podczas gdy wszyscy księgarze byli za ladą. Na szczęście większość transakcji kończy się wypisaniem rachunku, na szczęście większość klientów nie przypomina pana Wojskiego. Pan Kaczmarek długo wylicza nazwiska stałych klientów antykwariatu. Przychodzą tu regularnie, szperają wśród półek i pokładanych w małym pokoju na zapleczu stosach książek, wyciągają specjalnie dla siebie. Każdy z nich ma swoją określoną dziedzinę, według której kompletuje książki, zainteresowania są

różne. Są zbieracze książek o Warszwie, o okolicach, gdzie się urodził, o powstaniu 1863 r., są tacy, którzy poszukują wszystkiego co dotyczy Mickiewicza i tacy, których interesuje przede wszystkim Łódź. To są ci najmlodszy klienci, często już przyjaciele, którym nawet książki się odgląda. Warto też odnotować, że w łódzkim antykwariacie kupują książki również antykwaryści zagranicą, przede wszystkim z Austrii, NRD i NRF. Na ogół poszukują wydawnictw w języku niemieckim, ale niektórych interesują tylko polonica. Pewien monachijski antykwarytusz, nie zważając na cenę, przysłał zamówienie z dziedziną naszej historii literatury, językoznawstwa czy etnografii. Często aż żal się pewnych książek wyzywać. Oczywiście sprzedaż za granicę nie zależy tylko od księgarń. O tym, czy książka może opuścić granice Polski, decyduje Biblioteka Narodowa.

Nasz antykwariat kupuje książki i sprzedaje już od roku 1950. Trzeba dodać, że należy do nie liczących w Polsce tzw. antykwaryatów ogólnych, prowadzących handel książkami i czasopismami, tymi sprzed roku 1939, i tymi zupełnie współczesnymi, co to jeszcze czasem leżą w księgarskich witrynach.

Pracownicy antykwariatu muszą doskonale znać towar, którym handluje. Jest taki katalog książek dawnych i wyczerpanych antykwariatu K. Fiszlera. Ten katalog musi znać każdy antykwarytusz. Spis poszczególnych tytułów obejmuje ni mniej, ni więcej, tylko około 3 tysięcy pozycji. A przecież trzeba jeszcze wiedzieć ile można zapłacić za książkę, orientować się w tym, czy rzeczywiście jest to pozycja warta zakupu itd. W tej niełatwej pracy mają kłopoty i trudności, a choćby za własny już lokal, który szczególnie na zapleczu jest niemal rozsadzony przez tomiki, tomy i tomiska. Są propozycje księgarzy, aby powiększyć antykwariat i utworzyć dział książek technicznych, które są stale bezskutecznie poszukiwane. Wydaje się, że gdzie, jak gdzie, ale w przemysłowej Łodzi powinien istnieć antykwariat książki technicznej. Oddzielny problem to stare nuty, które okazują się, nikomu nie są potrzebne. Czasem udają się właścicielowi sprzedać je bibliotece, ale to rzadko, stare nuty nikogo nie obchodzi. Nieporozumienie! Z pewnością, bo na pewno są one równie cenne, jak książki.

Jest wreszcie stała, zawodowa troska antykwarytusza o to, żeby każdy klient, który szuka potrzebnej książki, mógł ją dostać w ich księgarń. Bo, jak głosi zawieszona między półkami cytat z Petrarci — „Książka — puste życie napętnia światłem, puste serce — wżruszeniem!”.

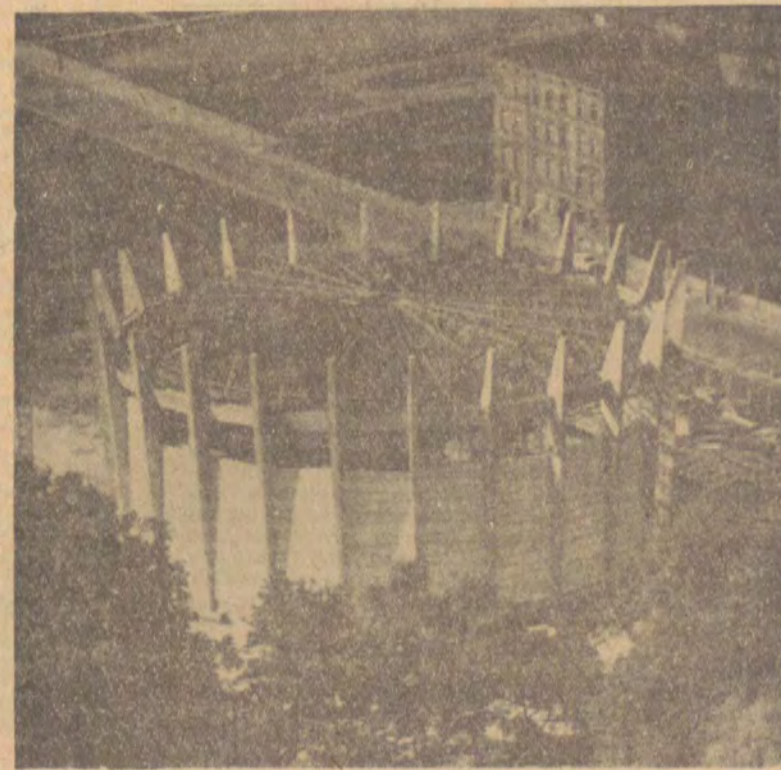
Na koniec jeszcze jedna, wspomniana anegdota. Tenże pan Wojski miał rano ślub. Potem panie zaczęły przygotowywać weselne przyjęcie i zrezygnowały z po mocy pana młodego, proponując mu spacer. Wojski wyszedł i trafił do antykwariatu, gdzie zająłował coraz to więcej interesujących książek. Tymczasem ślubem się i przybyli goście, a z nim z panną młodą zaczęli uczyć bez niego. Wojski wrócił bardzo późno, z paczką książek pod pachą. Dopiero na widok rozbawionych gości przypomniał sobie, że przecież to jego wesele. Dziwił się, Czytelniku, że anegdota trąca myszką? No przecież byliśmy z wizytą w antykwariacie.

Tyle by było z grubsza o Panoramie, która jest, Bo opasłe księgi notują jeszcze jedną — której nie ma. Otóż Jan Styka herbu Wczele lubił w interesach „iść za ciosem”. Udała się historia z Racławicami — czemu nie miałaby się udać z Grunwaldem? Kupił Lwów Racławice — niech Kraków kupi Grunwald zwłaszcza, że Barbakan okrągły i jak wymarzony stał sobie przecież u wylotu Floriańskiej.

Niestety — nie udało się. „Zielony Balonik” — słynny kabaret krakowskiej „malarz” wykpił Stykę i jego pomysł w piosence o tym jak to raz mały „kondel”, podniósł zadnią nóżkę i spaskudził Rondel (tak nazywają krakowianie Barbakan), i o tym jak to panu Stycę przyszła myśl ślodka: „a gdyby to samo zrobić ode środka...”

Rajcówle miejsce — prawie już przez Stykę „nakreśli” przestraszyli się opinii artystów i... nie mamy drugiej panoramy. Dobrze to czy źle? Nie wiem. Co tu zresztą dużo mówić. Z tą jedną przeto dwadzieścia parę lat nie możemy się uporać, więc może to i lepiej.

Ale przyjdzie taki pachnący piórką zielenią kwiecień, kiedy w betonowej „degolówce” na Placu Powstańców we Wrocławiu, ktoś przetnie wstęgi. Rzucą się hurmem ludziska oglądać panastykowe dzieło, a on niespożyty kombinator palety mrugnie okiem z zaświatów i powie do siedzącego na sąsiedniej chmurce Boga — „a co? moje za grobem zwycięstwo!”.



Fot. T. Drankowski

Sześciu PAR



Nie mogę powiedzieć, abym szczególnie lubił Londona. Był on sądzę sądu najwyższego i dzięki niemu, mogłem otrzymać kartę wejścia na niektóre specjalnie interesujące mnie rozprawy. Robił imponujące wrażenie, gdy tak siedział na wielkim fotelu sędziowskim, w dużej białej peruce, czerwonych szatach i pelerynce gronostajowej. Miał długą, bladą twarz, cienkie wargi i jasne chłodne oczy. Był sprawiedliwy lecz szorstki. Zapytałem go kiedyś, czy nie czuje pewnego niepokoju skazując człowieka na szubienicę. Uśmiechnął się, popijając porto.

Nic a nic. Sąd był sprawiedliwy, ława przysięgłych uznała winę oskarżonego. Kiedy skazują go na śmierć, otrzymuje on karę, na jaką zasłużył. Kiedy sprawa jest zakończona, po prostu zapomina o niej. Nikt, oprócz sentymentalnego idioty, nie postąpiłby inaczej.

Wiedziałem, że Landon lubi ze mną rozmawiać, ale nie uważałem go za bliskiego znajomego. Byłem więc mocno zdziwiony, kiedy dostatek od niego depesz, w której mnie zawiadamała, że zamierza spędzić wakacje na Riwierze i że chętnie wstąpiłby do mnie na kilka dni. Odelegrawałem, że oczywiście bardzo się jego wizytą cieszę i w dniu przyjazdu oczekiwałem go na dworcu.

Zaprosiłem tego dnia na obiad pannę Gray, sasiadkę, z którą bardzo się przyjaźniłem. Była to urocza, dojrzała już kobieta pełna wdzięku, umiejąca barwnie i żywo opowiadać.

Wieczór był bardzo udany. Obiad i wina smakowały wszystkim. Panna Gray rozgadała się na dobre, a Landon okazał się bardzo miłym współbiedsiadkiem. Jasne było, że mimo surowego wyglądu lubił towarzystwo kobiece. Panna Gray, ubrana spokojnie, ale gustownie, z włosami w których dopiero zaczynały się pokazywać srebrne nitki, z blizczącymi oczami i delikatnymi rysami twarzy była bardzo podlegająca.

Po obiedzie siedzia przez kilka godzin opowiadając nam najbardziej interesujące sprawy ze swojej długiej kariery prawniczej. Nie byłem więc zdziwiony, że panna Gray zaprosiła nas na następny dzień na lunch, a Landon przyjął zaproszenie zanim nawet zdążyłem się odezwać.

To wyjątkowo miła kobieta — powiedział po jej odejściu. — Musiała być kiedyś bardzo ładna. Jeszcze teraz jest niebrzydka. Dlaczego nie wyszła za mąż?

Mówi zawsze, że nikt jej nie chciał.

Zawracanie głowy. Kobiety powinny wychodzić za mąż. Chciał być niezależne. Nie mam zrozumienia dla tych nowoczesnych poglądów.

Panna Gray mieszkała w małym domku nad morzem, niedaleko mojej wla-

snej wili w Cap Ferrat. Pojechaliśmy do niej najazutrz w południe.

Mam dla was niespodziankę — powiedziała na powitanie. — Przyjdą tu Craigowie.

Co, poznała ich pani wreszcie?

Pomyślałam sobie, że nie można nie znać najbliższych sąsiadów. Posłałam więc do nich i zaprosiłam na dzisiejszy lunch. Chciałam, aby ich pan poznał i powiedział co o nich myśli. Nie ma pan mi tego za złe — dodała zwracając się do Landona.

Ależ skąd. Miło mi będzie poznać pani przyjaciół.

To nie są moi przyjaciele. Widuję ich często, ale dzisiaj rozmawiałam z nimi po raz pierwszy. Będą zachwyceni spotkaniem ze słynnym powieściopisarzem i ze znanym sędzią.

W ciągu ostatnich trzech tygodni dużo słyszałem o Craigach od panny Gray. Wynajęli wille tuż obok niej i z początku obawiała się, że będą się jej narzucali. Lubiała samotność i nie ląkała towarzyskich zebrań. Ale szybko okazało się, że Craigowie nie mają zamiaru zawierania żadnych znajomości. W tak małej miejscowości spotkania były nie do uniknięcia, zatem ich więc dobrze z widzenia. Craig był przystojnym mężczyzną, o czerwonej twarzy i uciwicie patrzących oczach, miał siwe włosy i gęste siwe włosy. Trzymał się prosto, robił wrażenie pewnego siebie, zamożnego człowieka. Jego żona była wysoka, o niemal męskiej postawie, z jasnymi starannie ułożonymi włosami, dużym nosem i ogorzałą cerą. Jej suknie, lekkie i powiewne, dźwięwnie wyglądały na tej chudej kobiecie i nadawałyby się lepiej dla osiemnastoletniej dziewczyny, niż dla kobiety w wieku lat czterdziestu. Uważałem, że oboje wyglądają pospolicie, a pani Craig wręcz niesympatycznie, ale panna Gray uważała, że jest w nich coś nadzwyczaj miłego.

Co takiego? — spytałem.

Kochają się. I uwielbiają dziecko.

Mieli małe, może roczne dziecko. Z tego panna Gray wyciągnęła wniosek, że są od niedawna małżeństwem. Długo obserwowała ich zabawy z maleństwem. Niania wyprowadzała je co rano w wózek na spacer, a potem matka i ojciec godzinę uczyli je z zachwytem trudnej sztuki chodzenia. Stali w pewnej odległości od siebie i dziecko na chwilejnych nóżkach przechodziło z ramion ojca do rąk matki. Wszystko to odbywało się wśród okrzyków radości i wzruszenia i było rzeczywiście ładną rodzajową scenką rodzinną.

Miss Gray widywała ich spacerujących po ogrodzie przylutonych do siebie w milczeniu, jak gdyby ich szczęście było tak wielkie, że nie można go wypowiedzieć słowami. Jasne było, że kochają się nadzwyczajnie.

Nie wiem dlaczego panna Gray nigdy nie wyszła za mąż. Tak samo jak sędzia byłem przekonany, że nie z braku okazji. Być może, że widok małżeńskiego szczęścia Craigów jako specjalnie ją wzruszał. Wydaje mi się, że pełne szczęście jest czymś rzadko spotykanym na świecie, ale widocznie było udziałem tej pary.

Nie znalazłmy ich imion, ale panna Gray ułożyła sobie całą historię ich życia i raz mi ją opowiedziała. Przerwała ich Edwin i Angelina. Zakochali się w sobie bardzo dawno — może dwadzieścia lat temu — kiedy byli bardzo, bardzo młodzi. Żadne z nich nie miało ani grosza, nie mogli więc się pobrać. Ale mieli odwagę, nadzieję i wiarę w siebie. Edwin postanowił pojechać do Południowej Ameryki lub na Malaje, zrobić tam majątek i wrócić po swoją dziewczynę. Nie mogło to trwać długo — dwa, może trzy lata. I cóż to znaczy, gdy się ma lat dwadzieścia i całe życie przed sobą? W międzyczasie Angelina mieszkała oczywiście ze swoją owdowiałą matką.

Ale sprawy nie całkiem tak się ułożyły. Trudniej było zrobić majątek, niż to sobie wyobrażał Edwin. Okazało się, że trudno jest zarobić nawet na najskromniejsze życie. Po pięciu latach nie był bogatszy niż po pierwszym roku. Angelina byłaby chętnie pojechała do niego, ale nie mogła opuścić spariżowanej matki. I tak mijaly lata, włosy Edwina stawały się coraz bardziej siwe, Angelina była coraz bliedsza i chudsza. Często była bliska rozpaczy. Jej przyjaciółki powychodziły za mąż, miały dzieci i własny dom, a ona była niewolnicą obowiązku wobec chorej matki.

Zastanawiała się, czy Edwin nadal ją kocha. Minęło dziesięć lat, potem piętnaście i dwadzieścia. I wówczas Edwin napisał, że na koniec mu się powiodło, ma dość pieniędzy na prowadzenie wygodnego życia i jeżeli Angelina nadal chce wyjść za niego, wróć natychmiast. Akurat wtedy matka Angeliny rozstała się z tym światem.

Węc pobrali się.

Nie wierzę ani słowu z tej całej bajki — powiedziałem.

A ja bardzo chcę, aby pan w nią uwierzył — powiedziała panna Gray. — Jestem przekonana, że tak jest naprawdę. Być może ich miłość oparta jest na złudzeniu, ale jeżeli dla nich jest rzeczywistością, to jakie to ma znaczenie?

Podczas gdy opowiadałem tę idylliczną historię wymyśloną przez panią domu, oczekiwaliśmy przyjaciół Craigów.

Czy pan zauważył, że im kto bliżej mieszka, tym bardziej się spóźnia? — spytała panna Gray sędzię.

Nie, nie zauważyłem — odpowiedział chłodno — sam jestem bardzo punktualny i wymagam tego samego od innych.

O już wiem dlaczego się spóźniają. Czekali na powrót dziecka ze spaceru.

Wyjrzałem przez okno. Istotnie Craig wyjmował dziecko z wózka i podzuchwał je w górę, czemu ze wzruszeniem przyglądała się pani Craig.

Chodź, kochanie — powiedziała do męża — spóźnimy się. Chwilę później służąca wprowadziła ich do pokoju. Uścisknęli rękę panny Gray i moją, po czym pani domu przedstawiła ich sędziemu.

A oto Sir Edward Landon — państwo Craig.

Należało się spodziewać, że sędzia zrobi jakiś ruch, że wyciągnie rękę na powitanie, ale nawet nie drgnął. Wyjął z kieszeni monoki, założył go i zaczął wpatrywać się w nowoprzybyłych.

Ależ wstrętny facet — pomyślałem. Wyjął monoki z oka.

Dzień dobry — powiedział. — Czy omyle się twierdząc, żeśmy się już kiedyś spotkali?

Spotrzałem na Craigów. Stali przylutnieni do siebie. Nie powiedzieli ani słowa. Pani Craig robiła wrażenie przerażonej. Craig był czerwony, wydawało się, że oczy wyskoczą mu z orbit. Lecz to wszystko trwało może sekundę.

Nie, nie sądzę, abyśmy się kiedykolwiek widzieli — powiedział Craig głębokim ciepłym głosem. — Oczywiście, słyszałem o panu, Sir Edwardzie.

W tym czasie panna Gray przygotowywała cocktaila i nie zauważyła niczego. Nie umiałem sobie wyjaśnić, co to wszystko miało znaczyć. Incydent, o ile w ogóle to był incydent — minął tak szybko, iż nie byłem pewien czy go sobie nie wymyśliłem. Może po prostu Craigowie byli zażenowani spotkaniem z tak sławnym człowiekiem. Postanowiłem być specjalnie uprzejmy. Spytałem, jak im się podoba Riwiera, czy zadowoleni są ze swego domku. Panna Gray przyłączyła się do rozmowy, która — jak to zwykle bywa z obcymi — dotyczyła błahych, codziennych spraw. Pani Craig zachwycała się morzem i skarżyła na trudności kupienia ryb akurat na wybrzeżu. Sędzia nie przyłączył się do rozmowy, lecz miał spuszczone oczy, jakby się przyglądał własnym butom.

Podano do stołu. Było nas tylko pięć, siedzieliśmy wokół niewielkiego okrągłego stołu, rozmowa musiała więc być ogólna. Muszę przyznać, że toczyła się głównie między panną Gray a mną. Sędzia milczał, ale nie zwracałem na to specjalnej uwagi. Zauważyłem, że zjadł dużą porcję omeletu, a potem nawet dołożył sobie na talerz. Craigowie wydawali mi się nieśmiały, ale po pewnym czasie rozrządzali się. Nie byli to interesujący ludzie, nie umieli mówić o czymś innym jak o dziecku, służące, o jakimś wyskoku do Monte Carlo. W duchu uważałem, że panna

Gray popełniła błąd zapraszając ich. Aż nagle zdarzyło się coś niespodziewanego: Craig wstał z krzesła i runął głową na podłogę. Wstaliśmy gwałtownie. Pani Craig ukłękła obok męża, objęła jego głowę rękoma.

Wszystko w porządku, George — krzyknęła z rozpaczą w głosie — wszystko w porządku.

Ułóżcie go głową na dół — powiedziałem — to tylko omdlenie. Wzięłem go za puls, był niemal niewyczuwalny. Powiedziałem, że to omdlenie, ale nie byłem wcale pewien, czy to nie udar apoplektyczny. Panna Gray zmoczyła chusteczkę i zaczęła nacierać mu czoło. Pani Craig wyglądała, jak oszalała. Nagle zauważyłem, że Landon nie ruszył się nawet z miejsca.

Jeżeli zemdliał, to nie pomóżcie mu tłocząc się nad nim. Pani Craig spojrziała na niego z nienawiścią.

Zadzwonię po lekarza — powiedziała panna Gray.

Nie, to chyba niepotrzebne. Wraca już do przytomności. Czulem, że tętno staje się coraz mocniejsze, równiejsze. Po chwili otworzył oczy i próbował podnieść się.

Proszę się nie ruszać — powiedziałem — niech pan jeszcze chwilę poleży.

Podaliśmy mu kieliszek brandy, twarz jego zaczęła nabierać koloru.

Czuję się już zupełnie dobrze.

Zaprowadźmy pana do drugiego pokoju i połóż się pan na kanapie.

Nie, wolalibyśmy iść do domu. To tylko dwa kroki, — zaczął powoli wstawać.

Tak — powiedziała jego żona — pójdziemy. Strasznie mi przykro. Nigdy mu się jeszcze nie takiego nie zdarzyło. Ja sam też byłem zdania, że najlepiej będzie jeśli pójdą do domu.

Niech go pani wpakuje do łóżka. Jutro będzie zdrow jak ryba. Odprowadzę was i pomogę mu się rozebrać.

Gdy wróciłem do wili panny Gray zastałem ją i Landona przy leguminie.

Ciekawo dlaczego zemdliał — powiedziała panna Gray. — Wszystkie okna są otwarte i nie jest nawet specjalnie gorąco.

Ciekawe — potwierdził sędzia. Miał minę, jakby był zadowolony z siebie. Wypiliśmy po filiżance czarnej kawy, pogaliśmy panią domu i pojechaliśmy do domu.

Skąd ci ludzie do panny Gray? Wydają mi się najzupełniej nieciekawymi.

Wie pan, jakie są kobiety. Ona lubi spokój i miała zamiar nie zadawać się w ogóle z sąsiadami. Ale gdy zobaczyła, że oni się nią wcale nie interesują, nie miała spokoju aż ich do siebie nie ścignęła.

Obawiam się, że nasza przyjaciółka jest sentymentalną gąską. Mówią pa nu, kobiety powinny wychodzić za mąż i mieć pół tuzina barborów.

Co pan wie o Craigach? — spytałem.

Ja? A dlaczego miałbym coś o nich wiedzieć? Wydają mi się bardzo prostymi ludźmi — odpowiedział chłodno.

Landon miał dobrze ponad sześćdziesiąt lat, ale był ruchliwy i wysportowany. Pobit mnie w golfa, wieczorem wygrał kilka tysięcy franków w ruletce kasyna w Monte Carlo. Wprawiło go to w doskonały humor.

Bardzo przyjemny dzień — powiedział na dobranoc — doskonale się bawiliśmy.

Cały następny ranek zajęty byłem pracą i spotkałymi się dopiero podczas lunchu. Właśnie wstawaliśmy od stołu, gdy zadzwonił telefon.

Dzwoniła panna Gray.

Tak? I co miała do powiedzenia?

Craigowie ułotnili się. Zniknęli w ciągu nocy. Służące mieszkają w mia-

Spotkali się po wojnie. Dziewczyna była u kresu sił, lecz była piękna jak dawniej. „Gdzie moje dziecko?” — zapytała — „Dokąd je zaniósł?” Ale mężczyzna pragnął mieć ją tylko dla siebie, pragnął by tylko on liczył się w jej życiu, więc skłamał. Celowo i świadomie. Powiedział, że umarło, bo było wątłe i słabe, a ludzie bali się je przyjąć. Wędrował od wsi do wsi, aż spostrzegł, że jest zupełnie spokojne i kiedy to zrozumiał, pojął, że nie może już wrócić. Wówczas dziewczyna rozplakała się. Plakała nie za straconym dzieckiem, ale nad sobą i swoją umarłą młodością. A mężczyzna wziął ją delikatnie za rękę i zaprowadził do siebie.

Po co mi to opowiadasz, Janie? To mnie nie dotyczy, ja mam własne życie!

Toteż chcę byś je poznał dokładnie.

Chyba żartujesz?

Nie, to nie są żarty.

Janie!

Mówię ci, to prawda.

Bezczelne dziewczyny uśmiechały się pobłaźliwie. Gracie na chwilę odwróciły się w naszą stronę, lecz natychmiast wrócili do kart. Nasze podniesione głosy nie mogły ich zainteresować. Tu, w tej kawiarni, widywano nie takie rzeczy.

Jestes igrzemi! — krzychałem nachylony przez stółik. — Zazdrośnym, starym igrzemi!

Jan siedział zgarbiony i mały. Jego żółte policzki zapadły się jeszcze bardziej, a starcze ręce drgały na blacie stolika własnym, ukrytym życiem. Ale oczy pozostały spokojne. Spoglądał na mnie smutno, jakby wybierał się w daleką podróż i usiłował przypomnieć, czy wszystko zostało powiedziane. W końcu poruszył kilkakrotnie ustami, przesuwał językiem po wargach i wyszeptał ledwo dosłyszalnym głosem: To prawda. Ta dziewczyna, to Irena, moja żona...

EUGENIUSZ IWANICKI

WYZNANIE

Dalszy ciąg ze str. 8

mnie i moje sprawy. Początkowo usiłowałem tłumaczyć to względami emocjonalnymi: Jan nie miał dzieci, więc może dlatego. Ale jego przywiązanie nie miało w sobie nic z ojcostwa. Udawanie mecenatu? Też nie, bo sam musiał staczać nieraz zwycięskie walki o przerwanie swoich obrazów na różne wystawy. Analizując jego stosunek do innych, przekonałem się, że ma dużo przyjaciół, więc i ten rodzaj uczuć także nie wchodził w rachubę. W końcu przypisałem to jego bezinteresowności, wielkoduszności i swojemu talentowi, o którym Jan mówił z ogromnym przekonaniem. Chociaż nie wszystkim o Jana było dla mnie zrozumiałe, darzyłem go prawdziwym uczuciem i o naszej przyjaźni mówiono jak o czymś niezwykłym w dzisiejszych czasach. Jedynie od momentu, kiedy portrety Ireny stały się dominującym tematem moich prac, Jan przycichł i posmutniał. Ale milczał. Był taktowny i jak dawniej poświęcał wiele uwagi mojej grafice. Dopiero wizyta Ireny w moim mieszkaniu zdecydowała, że Jan zaprosił mnie do „Luny”.

Spoglądam ponownie na Jana i dostrzegam, że z trudem usiłuje opanować drżenie rąk. Jestem przekonany, że ukrywa coś bardzo ważnego, o czym nawet mnie, przyjacielowi, boi się powiedzieć.

Rozumiesz mnie chyba, Jan — mówię, choć wydaje mi się, iż słowa nie docierają do niego. — Nie zawniżliśmy przecież, ani ty, ani ja.

Tak, tak — mówi raptem. — Posłuchaj, czy ty dobrze znasz własne życie?

— No, chodzi o to, czy mógłbyś przypomnieć swoje dzieciństwo, lata szkolne i tak dalej?

— No, coś niecoś...

Węc posłuchaj. Opowiem pewną historię, jaka wydarzyła się daleko stąd, dwadzieścia pięć lat temu. Będzie to historia o tragedii chłopca, który dzisiaj jest sławnym grafikiem. Będzie to także opowieść o tragedii jego bliźniego przyjaciela i pięknej kobiety.

Co to mnie wszystko obchodzi? — zaczynam niecierpliwie się. — Przecież mówimy o Irenie!

Pozwól skończyć. W 1943 roku, w małym miasteczku na pograniczu Warthegau, pewna bardzo piękna i bardzo młoda dziewczyna urodziła chłopca. Dziewczyna była Polką, co w owych czasach nie ułatwiało życia. Wyobraź sobie więc, że ta dziewczyna, zatrudniona w niemieckim przedsiębiorstwie o charakterze wojskowym, którejś tam nocy rodzi chłopca, Polaka. Dzisiaj nie można z całą pewnością ustalić kto był ojcem dziecka: Polak? Niemiec? Ale matka jest Polką i to wystarczy. Spłoszone koleżanki proponują ukrycie dziecka na wsi, by w ten nieskomplikowany sposób uratować matkę od gniewu nadzorującego Niemca. Nad ranem kwilące zawiątko dają pewnemu mężczyźnie zesłanemu tu na roboty aby przeniósł je do wsi. Mężczyzna niósł chłopca przez cały dzień omijając uczęszczane drogi. Niósł i płakał, bo dziewczyna była jego wielką i jedyną miłością. Kochał ją skrycie, po swojemu, więc płakał, że nie miał dotąd odwagi by powiedzieć jej o tym. Z trudem znalazł bezdzietną rodzinę, zostawił pieniądze, a potem zaczął wędrować przez lasy. Nie mógł wrócić do miasteczka, bo tam czekała śmierć.

Owa dziewczyna nigdy nie dowiedziała się gdzie jest jej syn, a młody człowiek nie chciał o tym wspominać. I tak trwali: ona szycząc mundury dla Wehrmachtu, on strzelając do ludzi, którzy je nosili.

stęchła. Gdy przyszły dzisiaj rano, zastały dom pusty. Ulotnili się — Craigowie, mianka i dziecko — zabrali ze sobą bagaże. Na stole leżały pieniądze dla służących, na komodzie i zaplacie różnych rachunków.

Sędzia nie powiedział ani słowa. Wyrwał starannie cygaro ze skrzynki i spokojnie je zapalił.

— I co pan ma do powiedzenia w tej sprawie? — spytał. — Czuję się idiotą, że nie zauważyłem, iż pan i Craigowie musieliście się znać z dawniejszych czasów. I jeżeli tak nagłe rozplynęli się w powietrzu świadcy to chyba, że wasze poprzednie spotkanie nie należało do przyjemnych.

— Czy pan pamięta sprawę o morderstwie panny Wingford?

— Nie.

— Może nie był pan wówczas w Anglii. Szkoda — był to ciekawy proces, zainteresowałby pana. Wywołał szalone podniecenie, gazety nie piły o niczym innym.

Panna Wingford była zamożną osobą w starszym wieku, mieszkającą na wsi razem z panną do towarzysstwa. Była jak na swoje lata zupełnie zdrowa, tak, że gdy nagłe zmarła, przyjaciele jej byli bardzo zaskoczeni. Lekarz jej, Brandon, podpisał akt zgonu, więc została pochowana bez żadnych dochodzeń. Otwarto testament i okazało się, że zapisała wszystko co posiadała — sześćdziesiąt cztery siedemdziesiąt tysięcy — swojemu panu do towarzysstwa. Krewni byli oczywiście bardzo oczarowani, lecz nie nie mogli na to poradzić. Testament był spisany u notariusza, poświadczony przez jego pracowników i przez doktora Brandona.

Ale panna Wingford miała przez trzy dni przed śmiercią, której obiecała, że jej zapisze coś w testamentie. Kiedy służąca dowiedziała się, że nie została nawet wymieniona w ostatniej woli, padła po prostu w pasję. Powiedziała siostrzeńcowi i dwóm siostrzencom, którzy przyjechali na pogrzeb, że panna Wingford została otruta, że jest tego zupełnie pewna, że pójdzie głosić to na policję. Krownicy nie poszli na policję, ale odwieźli doktora Brandona. On tylko się zorientował. Stwierdził, że panna Wingford cierpiała na chorobę serca, na którą chorzył ją od wielu lat. Zmarła tak, jak chorowała, że, umrze, spokojnie, podczas snu. Radził aby nie zwracać uwagi na adaninę służącą. Nie cierpiała ona nigdy do towarzysstwa i była o nią zdrowsza. Doktor Brandon był bardzo anonimowym lekarzem, obie siostrzenki narci dobrze go znaly. Testament nie był spisany na jego korzyść, nie było powodu, aby wątpić w prawdziwość jego zbrodni. Tak więc rodzina nie więcej nie zwróciła i wróciła do Londynu.

— Ale służąca nie przestawała mówić. Mówiła tak dużo i tak długo, że wreszcie policja — niechętnie — musiała zainteresować się tą sprawą. Wydał nakaz ekshumacji zwłok. Odbyło się śledztwo, które wykazało, że panna Wingford zmarła z powodu zatrucia wronalem. Sąd przysięgłych uznał, że wronal został podany przez towarzyszkę zmarłej panny Sterling i aresztowano ją. Detektywi przysłany ze Scotland Yardu wykrył zadziwiająco rzetelnie. Okazało się, że w miasteczku rzekło plotkowano na temat doktora Brandona i panny Sterling. Widywano ich w różnych miejscach, w których byli zapewne tylko dlatego, że chcieli być razem.

W miasteczku panowała opinia, że zekaja tylko na śmierć panny Wingford, aby się pobrać. To rzuciło całkiem inne światło na całą sprawę. Jed-

nym słowem policja zebrała tylko dowody, że ostatecznie zaarrestowano doktora i oskarżono go o to, że wraz z panną Sterling zamordował starą panią.

Sprawa trafiła do mnie. Prokurator twierdził, że oskarżeni byli szaleńcami w sobie zakochani i zamordowali starą panią, aby pobrać się i korzystać z majątku, który panna Sterling odziedziczyła po zmarłej. Panna Wingford była zawsze fliżanką kakao przed północnym spać. Prokurator uważał, że właśnie w takim kakao panna Sterling rozpuściła śmiertelną dawkę wronalu. Oskarżeni zeznawali sami i kłamali jak z nut. Chociaż byli świadkami, którzy zeznali, że spotykali ich spacerujących po nocy, przytulonych do siebie chociaż służąca Brandona zeznała, że całowali się w gabinecie doktora, oboje przysięgli, że nie byli niczym więcej, jak dobytymi przyjaciółmi. I — co było dość zadziwiające — badanie lekarskie wykazało, że panna Sterling jest virgo intacta.

Brandon zeznał, że dał zmarłej pastylki wronalu, ponieważ skrzyżowała się z bezsensowność lecz twierdził, że ją ostrzegł, że nie wolno zażywać więcej jak jedną pastylkę i to tylko w ostateczności. Obrona starała się dowiedzieć, że zmarła połknęła pastylki albo przez omyłkę, albo aby popełnić samobójstwo. To było bezsensowne. Panna Wingford była pogodną, normalną starszą panią, w pełni zadowoloną z życia. Śmierć jej nastąpiła na dwa dni przed przyjęciem bardzo oczekiwanej przyjaciółki. Nigdy nie skrzyżowała się przed nikim na bezsensowność — w rzeczywistości służąca uważała, że jej pani sypia wyjątkowo dobrze. Nie można było przypuszczać, że przypadkowo połknęła taką dawkę wronalu, która by mogła ją zabić. Osobiście nie miałem najmniejszej wątpliwości, że morderstwo było ukutte przez doktora i pannę do towarzysstwa. Podsumowałem sprawę dokładnie i uczciwie. Motyw był wyraźny i dostateczny. Przedstawiłem fakty lawie przysięgłych — i w moim mniemaniu dowody winy były wystarczające. Przysięgli wyszli z sali. Nie wiem czy pan sobie zdaje sprawę, że jak się przedwiończy sądowi, to w jakiej mierze wie się, co powie lawa przysięgłych. Nie miałem ani cienia wątpliwości, że tych dwoje ludzi popełniło zbrodnię, o którą ich oskarżano. Byłem pewien, że przysięgli uznają ich za winnych. Ale lawa przysięgłych zawsze może sprawić niespodziankę. Obradowałem przez trzy godziny i gdy wróciłem na salę, wiedziałem, że się pomyliłem. W procesie o morderstwo, jeżeli sędziowie przysięgli wydają wyrok skazujący, to starają się nie patrzeć na oskarżonego. Patrzą w inną stronę. Zauważyłem, że trzech spośród sędziów przysięgłych rzuciło okiem na więźniów, oczekujących wyroku. Wyrok brzmiał: niewinni. Prawdziwe nazwiska państwa Craig są: doktor Brandon i pani Brandon. Jestem najgłębiej przekonany, że popełnili wspólnie ohydne morderstwo i że zasłużyli na to, aby zawisnąć na szubienicy.

— A jak pań myśli, co spowodowało, że lawa przysięgłych uznała ich za niewinnych?

— Zastanawiałem się już nad tym. I wie pan, znajduję tylko jedno wytłumaczenie, a mianowicie fakt, że zostało dowiedzione, iż nigdy nie byli kochankami. Jak się zastanowić, jest to rzeczywiste zadziwienie. Ta kobieta była gotowa do popełnienia morderstwa, by zdobyć ukochanego mężczyznę, ale nie zgodziła się mieć z nim romansu.

— Natura ludzka jest czymś zadziwiającym, czy nie?

— Bardzo zadziwiającym — potwierdził Landon nalewając sobie kieliszek brandy.

Film 1968

CZY FESTIWAL PRZEZWYCHODZI SWOJE KRYZYSY

Wielkim hitem zakończyły się niemal wszystkie festiwale filmowe roku 1968, to festiwale, które mimo wszystkich „ale” są jednak znakomitemi zapowiedziami tego, co w świecie się robi.

Przerwaną w polowie festiwal w Cannes, miesiąc, anty-rządową demonstrację we Francji wspanięły również na festiwalową salę. Grupa filmowców na czele z Godardem, Truffautem i Lelouchem ogłosiła solidarność z demonstracjami w całej Francji. Wycofał swój film „Kocham cię, kocham cię” Resnais, zeznali się juniorzy, festiwal się skończył, a mógł być ciekawy, gdyż większość zakwalifikowanych filmów była dziełami twórców młodych, często debiutantów (wśród nich „Żywo! Matuzszu” Leszczyńskiego).

Widownię demonstracji stał się też festiwal w Pesaro, w tej samej atmosferze zaczynał się najstarszy na świecie festiwal filmowy w Wenecji, który i tak rozpoczął się z opóźnieniem. Główny ton wszystkich tych demonstracji był ogólnie negacji wartości festiwalu jako imprezy komercyjnej a nie artystycznej, jako imprezy będącej targowiskiem próżności, kupceństw sztuki, a nie walką o jej jakość i cel. Wytkano podważanie się woli producentów i traktowanie artysty festiwalowej jako politycznych rozgrywsek (znamienny może być fakt nieprzyjęcia na wenecki konkurs festiwalowy „Żywo! Matuzszu”, który spotkał się z tak dobitnym przyjęciem w Cannes).

Festiwal w Wenecji mimo wielu skandali (Zawattnego wyniesiono z sali wraz z krzesłem, Pasolini protestował przeciw wyświetleniu swego filmu „Teoremat”) doznał do skutku, ale potwierdził w całej niemal rozciągłości, iż stawiane zarzuty nie są pozbawione prawdy. Ollarowanie A. Klugemu Złotego Ława Weneckiego za film „Atyści pod cyrkową kopułą” wzbudziło wiele kontrowersyjnych ocen i opinii.

Z udziałem zawodów opuścili też uczestnicy festiwalu w Karłowcach, niewiele zmieniło się bowiem w systemie działania tego festiwalu, który kilkakrotnie poddawano już ostrej ocenie. Zbyt wiele w tym festiwalu nagród, zbyt mało przy tym filmów ich godnych. Niewątpliwie zasługują na Prix uzyskali czeski film „Kapryśne lato” w reżyserii znakomitego Z. Menzla (twórcy „Pociągów pod specjalnym nadzorem” — tegoroczny Oskar).

Sumując to krótkie przypomnienie tegorocznych konkursowych boję filmowych można powiedzieć, że trudno na ich podstawie ocenić w pełni to, co działo się w kinematografii. Niewątpliwie jednak rok 1968 był przykładem jakiegoś ogólnego kryzysu światowego filmu.

CZYMI ŻYŁO KINO 1968 r.

Szerokie spożycie na tegoroczny film światowy powołało uwolnić o sobie przede wszystkim taki, że poza dość nielicznymi wyjątkami był to głównie rok dalszej pogoni twórców za nowymi środkami wyrazowymi, których efekty nie zawsze współgrały z wartościami problemowymi tych filmów. Coraz częściej to, co było artystycznym odkryciem „nowego kina” wielu kinematografii, staje się dziś codzienną pożywką wielu filmów klasy B czy C. Ludzie się przyzwyczajają, a filmowcy dostarczają treści i tematy podane w eleganckim, modnym „nowożytnym” opakowaniu, zaskakują i odwołują. W dalszym ciągu celem się perfekcji rzemiosła i umiejętności wyrażania tematów atrakcyjnych dla szerokiej publiczności, która zapelnia sale kinowa. Nowa tendencją jest na pewno, zauważalna zwłaszcza na gruncie amerykańskim, ściśła współpraca producentów filmowych i telewizyjnych. Coraz silniej zacierają się różnice między tym co jest kinem, a tym co telewizją. Temi gatunku, za ocenami coraz rzadziej mówi się o tej konkurencji, która dla europejskiego kina jest jeszcze wielkim zagrożeniem.

Ekranu całego świata zachodniego zalewają w dalszym ciągu setki filmów szpęgowsko-bondowskich; ludzie stale to jeszcze akceptują, choć coraz większym zainteresowaniem cieszą się filmy utrzymane w sensacyjnej konwencji typu znanych u nas „Dział Nawarony”. Na te filmy czeka się tak samo jak na „Piękne Angeliki” i wszystkie inne historyczne super-giganty.

Filmy, o których w 1968 roku pisano się i czytano najwięcej, to w dalszym ciągu te powstałe, wypracowane w różnych narodowych wydaniach do problemów, którymi żyła ambienta kina ostatnich lat. Są to filmy, wypracowane niezgodnie na system społeczny, w którym trzeba żyć oraz bunt przeciw istniejącej rzeczywistości. Są to obrazy pokazujące przeraźliwą pustkę i samotność, w której musi żyć jednostka ludzka, bezsilność przewyższająca niemożność międrzydzkich kontaktów i jednoczesną walkę o zachowanie humanizmu, człowieczeństwa. Wraca do tych problemów kino amerykańskie — „Twarze” — Cassavetesa, „Potilla” — Leziera, włoskie — „Dziękuję ci, ciociu” — Samperiego, francuskie — „Kocham cię, kocham cię” — Resnaisa, „Żyć aby żyć” — Leloucha, „Błękitne gauloisy” — Cournota, „Weekend” — Godarda, węgierskie — „Siraż w głowę” — Bascó, jugosłowiańskie — „Gdy będę już martwy i błądy” — Pavlovića, czeskie — „O uroczystościach i gościach” — Nemecka, „Kapryśne lato” — Menzla. Najwięcej w tym roku mieliż nowo do powiedzenia

ROK 1968 NIE ZAPISZE SIĘ ZŁOTYMI GŁOSKAMI W DZIEJACH ŚWIATOWEJ KINEMATOGRAFII. NIE BYŁ TO ROK ZŁYCH FILMÓW, DAŁOBY SIĘ WYLICZYĆ WIĘCEJ INTERESUJĄCYCH PROPOZYCJI, I TYCH ZA OCEANU I TYCH Z „BROSOPY, NIE BYŁ TO JEDNAKŻE ROK, KÓRY PRZYNIOSŁBY CHOCIAZ JEDNO ARCYDZIEŁO, NIM KÓRY WPISAŁBY SIĘ NA ZŁOTĄ LISTĘ FILMÓW, KTÓRE WYTYCZAJĄ DROGI KINEMATOGRAFII.

BYŁ TO NAWIĄKOWY ROK, W KTÓRYM MŁOCZELI NAJWIĘKSI DWÓRZY ŚWIATOWEGO KINA, NIE BYŁO FILMÓW ANTONIONIEGO, VISCONTIEGO, BUNUELA, BRESSONA, FEJLI NI BLYSNAŁ MISTRZOSIŁWEM JEDYNE W JEDNEJ Z NOWYCH BRAM „BIEZWAŁE-OBOWIESZKI”.

Czas i Francuzi. Za oceanu przybył do Entropy film, który szczególnie poruszył krytykę filmową i opinię publiczną. Film, którego reperkusje były zupełnie nieoczekiwane — myślę o filmie „Bonnie i Clyde” A. Penna. To autentyczna historia gangsterskiej pary z lat trzydziestych, opowiedziana i pokazana w błędnej formie artystycznej wywołującej negatywne i mity da oku wpływ na modę końca lat sześćdziesiątych i bardzo niebezpieczny wpływ, w światowej a zwłaszcza amerykańskiej opinii socjologów, na i tak trudny do opamiętania gangsterizm cechujący nie tylko amerykańskie środowiska młodzieżowe. Stare dziś „Riffl” okazało się blaskotką.

Ostatni rzut oka na rok 1968 także jeszcze wspomnę o tegorocznych Oscarach dla filmu „Jevisona” „W upale nocy”. Jeśli do tego tytułu dodalibyśmy film „Zgadnij”, kto przyjdzie dziś na obiad” i wchodzący na nasze ekrany film „W cieniu dobrego drzewa” to stwierdzić by można, nie ujmując nic tym filmom, że widać Hollywood również nie mogło pozostać bierno wobec spraw, które coraz silniej wstrząsają Ameryką. Kino próbuje dociec w ramach swych możliwości rekompensatę za bezsilnością problemowi Murzynów amerykańskich.

WUBASZ

Nim przejdziemy do krótkiego przypomnienia tego, co w tym roku zaproponowała nam polska kinematografia, przypomnijmy, że 1968 rok przyniósł wielką dyskusję na temat jej przyszłości. Dyskusja ogarnęła wszystkie środowiska związane bądź wprost, bądź pośrednio z polską twórczością filmową i podjęła wszystkie problemy z nią związane. Oceniono pracę zespołów i poszczególne twórców, dyskutowano nad samym środowiskiem ludzi filmu, wolano o film zaangażowany, o autentyczny, który trudno było dotąd znaleźć w polskim filmie. Domagano się filmów o prawdziwej Polsce współczesnej, filmów o problematyce wojennej, dzieł, które ukazywałyby wielki, dramatyczny temat walki narodu o wyzwolenie narodowe i społeczne, a także obrazów, które ukazywałyby drogę kształtowania się naszej ludowej państwowości. Przekonywującą ocenę dotychczasowych sukcesów i wielu porażek polskiego filmu znaleźd możemy w znanym wypowiedzi reżysera H. Kluby: „Aktualny stan naszej kinematografii to nic innego jak stał umysłowy, umiętleność i ideal ludzi, którzy robią filmy — suma działania, myślenia i wrażliwości wszystkich reżyserów. Nie kierownik artystyczny, nie minister robi filmy zle, lecz reżyser”.

Przypomnijmy zatem jak jest stan naszej kinematografii za rok 1968. Jedyną naprawdę liczącą się sukces artystyczny odniósł W. Leszczyński swym pięknym, poetyckim, pełnym zadumy nad ludzkim losem filmem „Żywo! Matuzszu”. Wielka szkoda, że ten naprawdę godny najwyższej oceny obraz, który przeszedł wśród polskiej publiczności bez większego echa. Bardzo trudno jak widać uznać wrażliwość na piękno, na poetyckie słowo czy obraz filmowy. To co nie udało się Leszczyńskiemu, udało się z oczywistych powodów dokonać J. Antczakowi, J. W. Hasowi. Klasyka literacka i film kinematografii to atuty, które zawsze ściągają publiczność do kina. Powtarzać w tym miejscu oceny „Hrabiny Coset” czy „Lalki” wprost nie wypada. Czytelniccy nasi w większości poznali te filmy, mają swoje własne opinie. Znajdą oceny ludzi parających się profesją krytyków literackich i filmowców. Opinie te w większości zgodne, nie przyjęły tych adaptacyjnych propozycji z pełnym aplauzem, padły nawet bardzo mocne zarzuty, których słuszność nie podlega większej rewizji. Pozostało nam teraz czekać na ostatni z tegorocznej serii filmów historyczno-kinematograficznych — na „Pana Wołodyjowskiego”.

Drugim godnym naszej uwagi filmem był dokumentalny „Rok Franka W.” K. Karabasa. Z charakterystycznym dla swej twórczości humanizmem i ciepłem dał nam Karabas obraz jednego roku życia wiejskiego chłopca, który znalazł w swym życiu szansę i którego dziele dorastania obserwujemy. Film dobry, ciekawy, lecz obciążony w dokumentalnej kształcie, a co za tym idzie, nie miał znow tak wielkiej szansy popularności jak choćby była jaka tabularna historia. A szkoda.

Z pewną porcją akceptacji odnotować możemy filmy Sokolowskiej „Julia, Anna, Genowefa”, Komorowskiego „Ostatniego po Bogu”, Ziarnika „Wycieczka w nieznane”, mając głęboką nadzieję, iż nie są to wysiły możliwości naszych reżyserów, o których tak celnie mówił H. Kluby. Ludziny się też bliżej podziela, że nikt z nich nie uzyskał już filmem podobnym do „Paradnika matrymonialnego”.

Z przykrością stwierdzamy, że kilka filmów zapowiedzianych na rok 1968 nie weszło na nasze ekrany, a co za tym idzie zbyt wielką ilością filmów tegoroczna kinematografia polska nas nie obdarowała.

Z pełną nadzieją nadziejemy czekamy na rok 1969, ohy szybko zatulił dotychczasowe romanety i dał nam filmy, z których naprawdę moglibyśmy być dumni, narzekania nikomu jak dotąd nie daly jeszcze satysfakcji. Pamiętajmy, że przedzjadowa dyskusja obdłowała nie tyle w narzekaniu, co w oceny i postulaty. Czekamy zatem na jej efekty.



Lewym okiem

BEZ WŁAZENIA POD STÓŁ

Każda czynność społeczna, to znaczy po prostu dziejąca się pomiędzy ludźmi i angażująca wielu uczestników, obojętna jest siatką tradycji i konwenansów, przy każdej coś „wypada” a czegoś „nie wypada”, coś musi być konieczne, nie spełnione, co innego uważa się za niedopuszczalne, i właśnie nie chyba nie zmienia się w sposób tak widoczny. Jak namiętny, jak codzienny, społeczny, towarzyski konwencja. Najłatwiej to stwierdzić, studiując stare podręczniki dobrego wychowania, w których tak wielu rzeczy śmiertelnie ważnych niespełna pół wieku temu, dziś śmieje się i rozrzewnia jak poczołwka z gołąbkami nad celną się parą.

Kamyczek uczy nas demokratycznego savoir-vivre'a od dwudziestu lat, z dużym przywiązaniem oka, ale jednak uczy. Nieopisane wkroczył przy tym w dziedzinę porad sercowych, które do tytułu tej przybiczki nie pasują, mniemam, że tym, są dowcipnie, przyzywałyśmy się. W międzywojennym dwudziestolecu najlepszym chyba odpo-

wiednikiem Kamyczkowego dzieła były „zasady i nakazy dobrego wychowania” Marii Veuban i Michała Kurciewicza, wydane wiele razy przez Arcta, utrzymane w pięknym stylu, rzeczowe i poważne, bez filuterych, przekrojowych smaczków. Mnóstwo podanych tam reguł nie straciło nic na aktualności, a wiele jest takich, których nie zawadzi z rąk wzmożonego, świeżego życia towarzyskiego, przypomnieć. Na przykład: „Serwetkę rozkłada się na kolanach natychmiast po zajęciu miejsca przy stole i używa się jej wyłącznie do wycierania ust lub wypadkiem zbrudzonych palców. Nie wolno w nią ucierać nosa ani spoconego czoła!” „Lepiej strząsnąć popiół do własnego pudełka od napolek i tamże włożyć niedopałek, niż gasić go, jak to niektórzy czynią, o podaszewy i rzucić na podłogę”.

„Kiebanie, kaszanie, usteranie nosa przy stole jest nieapetyczne dla gościów, w razie konieczności należy to zalać dyskretnie, zasłaniając twarz czysią chustką do nosa. Byłoby śmieszne i niewłaściwie ukrywać głowę pod stół lub zasłaniać ją serwetką”.

Nie wlaźmy tedy pod stół dla zwykłego kłębienia. Najlepiej nie chodzić z katemem w odwiedziny do cioci. A już jak pojedziemy, pamiętajmy, że „sąsied przy stole też jest głodny, nie należy więc nobilitać zbyt wiele na swój talerz”. Wszystkie teza. Tyle, że pani Veuban i pan Kurciewicz inaczej swoje rady motywują, mianowicie tym, że — służba będzie się śmiała! „Uważajmy, by się nie narazić na drwiny podającą służby!”

I to jest też aktualne, że śledząc należy trzymać się prostego, zgrabnego postawa naszych nastolatków, zwłaszcza dziewcząt, okazuje się nie tylko niedrowa, jest także nieprzywitoła. Posłuchajcie, panienki, dobrej rady:

„Wyobrazmy sobie, że do klątki pierświowej kobiety, na tzw. moszku, czyli kocią łączącą zebra, jest przywiernięta dziewczona Hanka. Której drągi konieci sięga aż do nieba. Te linie trzymają w dłoni onkol opiekunki — podobno każda niewiasta takiego posiada — leciutko pościąga, gdy tylko zauważy, że się jego pupilka garbi. Kobieta, która to sobie dokładnie uprzytomni, nie zechce

przysparzać pracy niebłufskiemu opiekunowi i natychmiast się wyprostuje...”

Cale szczęście natomiast, że przelaty obowiązywać nie-etykiety nie byłyby reguły, dotyczące stroju. Na każdą okazję musiał być strój tylko taki, a nie inny, pod groźbą wykluczenia z grona uczestników. „Frak jest statym wieczornym ubiorem” — stwierdza się bezapelacyjnie, ale: „nie wychodzi się na ulicę w fraku, nawet w lecia. Wkłada się doń ciemny, najlepiej czarny palto, melonik czarny lub cylinder”.

„Higienicznie i lekko” jest chodzić z gołą głową, co lansuje wśród panów zagranicą, jednakże „kapelusze trzeba mieć zawsze przy sobie i trzymać go w ręku. To samo można powiedzieć o rękawiczkach”. Brak kravatki dopuszczalny wyłącznie na „wielogodzinie”, na wst. „Po ulicach miasta nie należy chodzić w tym neglizmowym stroju, nie składa się w nim również wizy!”

Niestety, nie rozumiemy już, co znaczy krawat włączony w regatę i co to jest „atek sportowy, zastępujący laske”. Elegancy starł panowie zapomnieli już, że nosili przecież „kaszne” (cache-nez, szalik) i „kaszkoł” (cache-col, kołnierzyk), z trędziami spójnymi na pierś. Panie nie pamiętają, że dopiero trzydziestki parę lat temu „w niektórych zwykłych nadmorskich miejscowościach Francji panie zaczęły uczestniczyć na dancyni popołudniowej bez pończochi!” „Może niejednej Polce wyda się to dziwnym” — zastrzega się z zakaptowaniem para nauczycieli dobrego wychowania, nie wiedząc, że przez parę dziesiątków następných lat od marca do listopada nie widział w Europie damy w ponczochach.

Mamy swoje mini, swoje pletczy, rajstopki, golly i polo — słowa, które za następných trzydziści lat nie nie będą znaczyły nawet dla nas, jeśli dożyjemy. Trudno zgodzić, co będzie wówczas doradził Kamyczek, czy widać się najpierw z młodszą ciocią starszej kuzynki, czy to, czy z szellem kuzyna przysięgli (kciowej). Ale to o kichaniu, serwetkach i niedopałkach zapamiętajcie. Chyba się utrzyma.

CWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, Hetonozse oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk. Prasa Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 3169. XII. P-S.

ŚWIĄTECZNY
KONKURS
"ODGŁOSÓW"

SPOTKANIE W NOC WIGILIJNĄ

Stara Łódzka legenda mówi o tym, że co roku w noc wigilijną spotykają się na Placu Wolności wybitne postacie związane z Łodzią, zasłużone dla naszego miasta. Te właśnie historyczne cienie ludzi, których nazwiska znane są na pewno każdemu — uwidocznił na rysunku artysta-grafik Stanisław Ibis-Gratkowski, oznaczając każdą z nich literą alfabetu. Cyframi natomiast oznaczyliśmy publikowany obok zestaw cytatów z prac, publikacji i wypowiedzi wielkich łodzian.

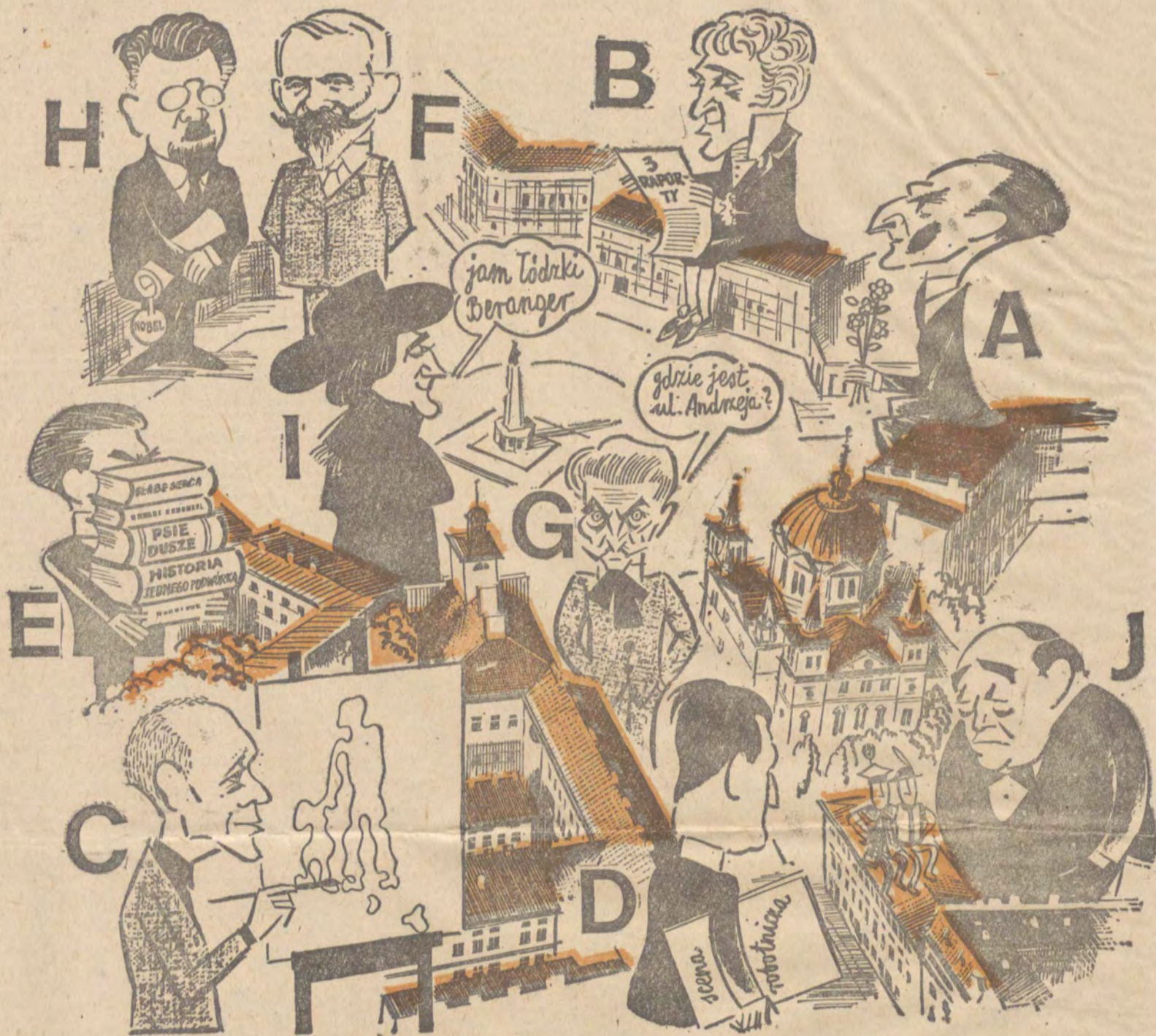
Zadanie dla naszych Czytelników jest proste — wystarczy rozszyfrować sylwetki i portrety z rysunku, a następnie skojarzyć je z cytatami. Aby nasz konkurs nie był zbyt trudny dodatkowo publikujemy (nazwiska postaci z Placu Wolności), które pomogą w ustaleniu o kogo chodzi.

Potem już tylko wystarczy w kupon wpisać obok liter nazwiska wielkich łodzian, w następną rubrykę wstawić cyfry którymi oznaczyliśmy cytaty. Prawda, że proste? Jeszcze tylko włożyć kupon do koperty, zaadresować: *Łódź, Piotrkowska 96 „ODGŁOSY”* — konkurs świąteczny — i już można oczekiwać na nagrodę.

A na zwycięzców konkursu czekają naprawdę cenne nagrody, a mianowicie:

- ★ ROBOT KUCHENNY
- ★ WIRÓWKA DO SOKÓW
- ★ ZEGAREK MĘSKI

oraz trzy wyróżnienia w postaci upominków-niespodzianek.



1

Jest w Polsce takie miasto — zle. I jakże obłudne, bo, jakby w welon żałobny spowite, a drwiąco ze śmierci. Tysiące szczytów wyniosło w podniebia wysoko, a spodem we krwi się pluży. Nieugięta moc czerpie z wiotkich kwiatów bawelny a z martwego złota życie.

2

Niech sobie Ganges, Sorrento, Krym
Pod niebo inni wynoszą
A ja Łódź wolę! Jej brud i dym
Szczęściem mi są i rozkoszą.

3

Za pół godziny
zanuć piesz męczynny
syreny fabryk
i wierni — robotnicy i robotnice —
z Karolewa — Pańskiej — Radwańskiej
wyjdą na ciche ulice
niewyspani, lecz mądrzy i przed.

4

Na jednym z rogów ulicy Wólczańskiej w mieście Łódź jest restauracja braci Jerka. Bracia żyją z tkaczy od Drajera, którzy tam spuszczały swoje krwawo zapracowane pieniądze, bawią się, jedzą, piją, kłocą się i politykują (...). Bracia byli to ludzie rozsądni, zapobiegliwi i sprytni... Choć obydwa byli Niemcami, jednak Fryc był Polakiem, Moryc był Niemcem. Moryc gardził Polską i uważał Łódź za odwiecznie niemieckie miasto (...). Fryc nazywał Niemców „szwabami” i „kartoflarzami”, choć sam szędnie wystawiał się po polsku.

5

Wysoko świeciło słońce i zalewało potokami włosennego ciepła rynek cały. Podnosiło barwy, złoćło szędnie, wycięzione twarze, obnażało rudery, zapalało złote ogniska w szybach okien i w błocie przepojonym wodą, w oczach ludzi, którzy stali pod domami i grzali się i pokrywało jakby złotawą giazrą brzydotę, jaka tutaj królowała, wszystkie te rzeczy i ludzi i wszystkie te głosy co się trzymały spośród bud, wozów, straganów, błota i obrzytmym wirum, krążyły nad Ryńkiem, odbijały się o czworokąt domów i plynęły w boczne ulice w świat, w pola, ku fabrykom, które niedaleko stały panując kombinami i jakąś cichą, mliczącą grozą, w jakiej były zatopione i patrząc blizszymi w słońcu, wytrzeszczonymi oczami na te roje robocze.

6

Muczą warsztaty, warczą maszyny
I grzmi piekielny toskot i wrzawa...
W powietrzu salł dym i kurzawa
Jak obłok kłębią się srebrnosiny.
Także duma, marzy, z maszyną gwarzy,
Zwiera jej troski, lzy i nadzieje;
Smat czasu duży przecież jej służy
I wiecznie dzielił zmienne koleje...

7

Z miasta Zgierza udałem się do miasta Łódź równie jak Zgierz na tymże samym trakcie piotrkowskim, nad Inną rzeką, także wśród borów i różnych kolonów położonego. (...) Bór do miasta należy jest dość znaczny, ale za czasów Księstwa Warszawskiego przez brak urządzenia do szczeru prawie spustoszony. (...) Ponieważ rynek na którym odbywają się jarmarki, jest bardzo nierówny, przeto polecił burmistrzowi miejscowemu ażeby przyzwolono splantowanym został (...) Kolonia Ozorków zasługuje ze wszech miar na uwagę Rządu. (...) Z początku osiadali tylko w Ozorkowie ubodzy sukiennicy, ale od trzech lat tak się ich liczba powiększyła, że już 299 majstrów wynosi...

8

W pewnych porach roku robotnicy pracują zazwyczaj od 6 do 12 w nocy, z przerwą co najwyżej jedno lub dwugodzinną, a więc 16 do 17 godzin. Robotnicy ponoszą tu szkodę na zdrowiu, prócz tego — wskutek ciasných, źle przewietrzanych warsztatów, wskutek braku ruchu, krótkich przerw i na koniec zakorzenionego zwyczaju, że robotnicy w czasie przerw nie wychodzą z warsztatów. (...) Bezpośrednio zauważone choroby, jako skutki tego, są: reumatyzm stawów, cierpienia oczne, płucne, zapalenie stawów i zapalenie kieszek.

9

Pomyśl „Pastorałki” powstał na wiele lat przed wojną. Misterium o Bożym Narodzeniu miało rozpocząć tańczących widowisk obrzędowych, w skład których weszłyby misteria pasyjne i wielkanocne, obrzędy czterech pór roku, wesele wiejskie oraz tzw. „laniec śmierci”. (...) Temat zasadniczy „Pastorałki” ozdobił licznymi intermediami i bardziej szopkowo niż misteryjnie ujęty, ukazał się po raz pierwszy na scenie Teatru Polskiego w Warszawie w roku 1919.

10

Zastójmy określony typ świadomości wzrokowej — a będziemy mieli określony typ plastyki. (...) Przedmioty formalne w plastyce wynikają nie z pobudek woluntarystycznych, jak to twierdzą idealści lecz z narastania obserwacji, z przemian świadomości wzrokowej.

WŁADYSŁAW REYMONT

JULIAN TUWIM

ARTUR GLISZCZYŃSKI

ANDRZEJ STRUG

LEON SCHILLER

RAJMUND REMBIELŃSKI

ZYGMUNT BARTKIEWICZ

WITOLD WANDURSKI

JULIAN MARCHLEWSKI

WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI

Nazwisko i imię

Adres

A	
B	
C	
D	
E	
F	
G	
H	
I	
J	